

OPÓR PRZECIW
KULTOWI „WYKLĘTYCH”

DR MARCIN WALTER
WOLNY WYBÓR SZCZEPIONKI

NIEZAPOMNIANY
KAZIMIERZ GÓRSKI

MASKI – SKĄD,
JAKIE, DLACZEGO

We Francji prawie 7 mln ofiar, a ile u nas?

KAZIRODZTWO

OKRUTNY SEKRET



Kalendarz ścienny 2021



- Reprezentacyjny
- W ekskluzywnym formacie B2 (68×48 cm)
- Na najwyższej klasy papierze kredowym
- Z wyjątkowymi zdjęciami zwierząt

~~49 zł~~
teraz tylko 29 zł
plus koszt przesyłki



Dochody ze sprzedaży kalendarza zasilają, prowadzone od ponad dziesięciu lat, programy edukacyjne, badawcze oraz ochronę najcenniejsze ostoi głuszców i cietrzewi w Polsce



Po szczegóły zapraszamy na stronę www.wildmen.pl



Demony pandemii

Kiedy będzie normalnie? Właśnie mija rok, jak o to pytamy. Niestety, ciągle brakuje odpowiedzi. Nie-wiele wiemy my, potencjalne ofiary wirusa. Co gorsza, nie za dużo wiedzą także liderzy Unii Europejskiej z całą jej machiną. I to jest gigantyczny problem. Bo przecież jesteśmy zdani na to, co i jak zrobią politycy.

A w Polsce są to ludzie o wyjątkowo skromnej wiedzy i małym doświadczeniu w zarządzaniu skomplikowanymi procesami. Wiadomo, że kryzysy są wpisane w nasze życie. Że były i są nieuchronne. Dlaczego więc dobrowolnie powierzamy nasze życie i przyszłość kolejnym ekipom amatorów, którzy nie potrafią temu sprostać? A oni, skoro im pozwalamy, czerpią z władzy pełnymi garściami. Nie biorąc odpowiedzialności za własne czyny i efekty rządów. Ukuto nawet takie bałamutne określenie: odpowiedzialność polityczna. W polskich realiach oznacza to hulaj dusza, piekła nie ma – pełną bezkarność.

Czy śmierć ponad 40 tys. ofiar pandemii też pójdzie na konto fatum? Czy naprawdę nie można było wielu z nich uratować? Ktoś przecież zarządza państwem. I nie są to wolontariusze, tylko funkcjonariusze opłacani z budżetu. Rozliczmy więc ich z tego, za co odpowiadają. A nie

z liczby konferencji prasowych i występów w mediach rządowych. Jeśli jako społeczeństwo nie chcemy mieć tak wielu ofiar śmiertelnych, to nie możemy bez końca tolerować przypadkowych ludzi, którzy na nas eksperymentują. I nawet nie uczą się na własnych błędach.

Po roku życia z pandemią wiemy, że prostego powrotu do tych czasów, jakie pamiętamy, nie będzie. Świat bardzo się zmienił. A co z nami? Jak się zmieniliśmy? Mało o tym wiemy. Coraz więcej statystyk, analiz, badań i porównań, ale gdy je czytam, mam wrażenie, że ciągle daleko nam do pełnej wiedzy.

Każda i każdy z nas od roku niesie swój osobisty bagaż. Coraz cięższy. Są w nim liczne demony. Obawy o przyszłość. Samotność. Bezradność.

Przeżywamy pandemię na swój sposób. Im bliżej grupy wysokiego ryzyka, tym więcej stresu i smutku. Nadzieją na odmianę są szczepienia. A że jest ich mniej niż chętnych, rząd ma usprawiedliwienie bałaganu i ciągłej improwizacji. Polacy są przyzwyczajani do tego, że mogą liczyć głównie na siebie. Ale taki stan nie będzie trwał długo. Bo i po co komu taka władza? Bezradna i zajmująca się głównie sobą.



CYTATY

PROF. RAFAŁ MATYJA, politolog

W czasach Kongresu Liberalno-Demokratycznego Tusk był jawnie antyklerykalny.

„Polska The Times”

IGOR TRACZ, mistrz świata

w wyścigach psich zaprzęgów

Najsłabszym ogniwnem zaprzęgu jest człowiek, więc ja muszę szczególnie ciężko pracować, by dorównać psom.

„Angora”

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Kaziroddstwo – okrutny sekret**
W Polsce to temat tabu
- 13 To miały być dwa tygodnie...**
Rok z koronawirusem
- 18 Noś maseczkę, dbaj o środowisko**
Jak nie zadusić planety
- 21 MSZ od środka. Ciąg dalszy...**
Izydorczyk wygrywa z Papierzem
- 22 Nasza flota jest zwycięska**
Jak szorujemy po dnie kadłubem
- 26 Kto (naprawdę) nas namierza?**
– rozmowa z Karoliną Iwańską
- 41 Czy skutkiem polityki IPN będzie**
przybywanie fałszywych „wyklętych“?

OPINIE

- 16 Marcin Walter**
Szczepionkowy szkielet w szafie
- 42 Bohdan Piętko**
Opór przeciw mitologii
- 46 Krzysztof Pilawski**
Niepoważna historia

SPORT

- 30 Magia nazwiska wielkiego trenera**
nie przemija
Stulecie urodzin Kazimierza Górskiego

ZAGRANICA

- 34 Bezradność kowbojów**
Dlaczego Teksas zamarzł
- 38 Kalabryjska ośmiornica przed sądem**
Największy od lat proces mafii
we Włoszech

KULTURA

- 48 Luz jest słowem kluczem**
Rozmowa z Grażyną Misiorowską
i Sylwestrem Piechurą
- 51 Kulturalia**
- 52 Najdrożej kupione obrazy na świecie**
- 66 17. Międzynarodowe Triennale**
Małe Formy Grafiki Polska – Łódź 2020

PSYCHOLOGIA

- 54 Depresja zaburza każdą sferę życia**
– rozmowa z prof. Piotrem Galeckim

EKOLOGIA

- 58 Nie wszystko jest biało-czarne**
Cała prawda o srokach

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Demony pandemii
- 25 Jan Widacki**
Kraj pod znakiem szczęśliwej wróżby
- 29 Andrzej Romanowski**
Bezwiedność
- 37 Tomasz Jastrun**
Stypa
- 45 Roman Kurkiewicz**
Nacjonalizm – to się leczy
- 57 Wojciech Kuczok**
Opowiadania na czas przeczekiwania



NOŚ MASECZKĘ, DBAJ O ŚRODOWISKO

Jak nie zadusić planety



BEZRADNOŚĆ KOWBOJÓW

Dlaczego Teksas zamarzł



NIE WSZYSTKO JEST BIAŁO-CZARNE

Cała prawda o srokach

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK



✉ Nadużycia semantyczne

W interesującym felietonie prof. Jana Widackiego „Nadużycia semantyczne” (PRZEGLĄD nr 6) zabrakło mi odniesienia do sankcjonującego wprowadzenie określenia „dziecko poczęte” orzeczenia nr K26/96 Trybunału Konstytucyjnego. To w tym orzeczeniu omawiane nadużycia semantyczne zostały wprowadzone do polskiego systemu prawnego. Zdania odrębne trzech sędziów Trybunału dobitnie wskazały brak konstytucyjnych i trak-



tatowych podstaw do takiego rozstrzygnięcia i zwracały uwagę na jego ideologiczne (dominującego wyznania) uzasadnienie.

Czy orzeczenie grupy partyjnych nominatów pod wodzą pani Przyłębskiej, tzw. Trybunału Konstytucyjnego, nie wynika bezpośrednio z orzeczenia wydanego przez Trybunał pod przewodnictwem pana Andrzeja Zolla? Czy protesty nie powinny być odniesione do orzeczenia nie tylko pani Julii Przyłębskiej, ale również pana Andrzeja Zolla?

Niezrozumiałe jest dla mnie całkowite pominięcie przez Trybunał Konstytucyjny oraz jego atrapę w ich orzeczeniach aspektu praw kobiet. Dlaczego – przyjmując ideologiczne uzasadnienie – wyraźnie nie zapisano, że po każdym stosunku, do momentu potwierdzenia braku zapłodnienia lub urodzenia dziecka (poronieniu płodu), kobieta traci prawa człowieka i staje się wyłącznie inkubatorem, który może ponieść konsekwencje przyczynienia się do złego funkcjonowania tegoż inkubatora?

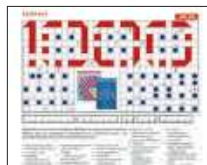
Na koniec pytanie retoryczne: czyimi funkcjonariuszami są sędziowie wydający wspomniane wyżej orzeczenia, bo raczej nie państwa polskiego?

Andrzej Tomasik

f Zapis TVN na PRZEGLĄD

TVN zbiera owoce tego, co zasiała – przez minione lata zwalczała lewicę z wielką determinacją, wmawiała ludziom, że popieranie polityków tej opcji to obciach, wstyd i zdrada narodowa (choćby mówili mądrze i robili coś dobrego). Liczyli się wyłącznie neoliberalawie i postsolidarnościowcy. Zamiast lewicy miejsce orędownika prostego ludu zajęło PiS ze swoim 500+. No i jest, jak jest... Wspaniała jest wielkoduszność lewicowego tygodnika wobec małostkowej TVN.

Anna Kremiec



f 1000 jolek

Z pewnością fani jolek zwrócili uwagę w 8. numerze PRZEGLĄDU na piękną szatę graficzną jolki z zaakcentowaną liczbą 1000. Twórcy życzymy następnych równie ciekawych jolek z dającymi do myślenia hasłami i ku zabawie czytelników.

Dorota Kaczmarek

Uwaga na oszustów!

Zadzwonił do nas czytelnik z ważną informacją. Ktoś podszywa się pod redakcję PRZEGLĄDU i rozsyła SMS-y zawiadamiające o wygranej pieniężnej w naszej jolce oraz prosi o przekazanie danych. Redakcja rozlosowuje jedynie nagrody rzeczowe. Gdyby otrzymali Państwo wiadomość o wygranej pieniężnej z prośbą o podanie numeru konta i innych danych, w żadnym razie nie należy tego robić. Lepiej skontaktować się z policją.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Od szczęśliwego lądowania minął ponad tydzień. Zdaje się, że łazik Perseverance zadomowił się na Marsie. Jeszcze się nie porusza, ale już rozgląda i przesyła na Ziemię zachwycające zdjęcia.



PYTANIE TYGODNIA

Czy skutkiem polityki IPN będzie przybywanie fałszywych „wyklętych”?

WOJCIECH KONIECZNY,
senator PPS

Już można zaobserwować wzrost liczby osób, które uważają się za „wyklętych”, i nie jestem tym zaskoczony. Przypomina to sytuację z czasów PRL, kiedy mówiono, że im dalej od wojny, tym więcej zbawidowców, gdyż nawet po dekadach ludzie zgłaszali się po różne świadectwa. Obecnie kult „żołnierzy wyklętych” jest przez instytucje publiczne budowany wszelkimi możliwymi sposobami i znajdują się tacy, którzy chcą pod niego w jakiś sposób się podłączyć. Uważam to za bardzo złe zjawisko. Cokolwiek by powiedzieć o powojennym podziemiu antykomunistycznym, nie reprezentowało ono państwa polskiego. To nie były oddziały Armii Krajowej, które podlegały rządowi londyńskiemu, mającemu legitymację wynikającą m.in. z uznawania go przez inne kraje. To były grupy wojskowe, które walczyły, posługując się zresztą bardzo różnymi metodami, poza kontrolą

jakiegokolwiek legalnej władzy. Dlatego trzeba bardzo starannie weryfikować podziemne „kariery” wszystkich osób, które dzisiaj zgłaszają się po świadectwa czy odszkodowania. Pamiętajmy jednocześnie, że wielu świadczeń pozbawione są osoby, które walczyły w szeregach Wojska Polskiego i wyzwalały nasz kraj, ale nie są mile widziane przez obecnie rządzących. Mam tu na myśli żołnierzy, którzy zdobywali Berlin czy Wał Pomorski.

MICHAŁ SYSKA,
Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a

Pojęcie „żołnierze wyklęci” przez swoją niejasność jest bardzo pojemne. Współczesna propaganda obejmuje nim zarówno ważne postacie historyczne (np. Witolda Pileckiego), jak i morderców zabijających cywilów (w tym kobiety i dzieci). Także kryterium czasu jest nieostre. Oficjalna polityka historyczna uznaje, że ostatni „żołnierz wyklęty” poległ w czasach, gdy Włodzimierz Lu-

bański strzelał już bramki dla reprezentacji narodowej. Nie może więc dziwić, że do szeregu „wyklętych” zgłaszają akces osoby, które nie pamiętają czasów wojny, ale mają na koncie przestępstwa na milicjantach czy listonoszach. Nie dziwi też, że inni nabierają się na te bajki.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
MICHAŁ CZARNOWSKI

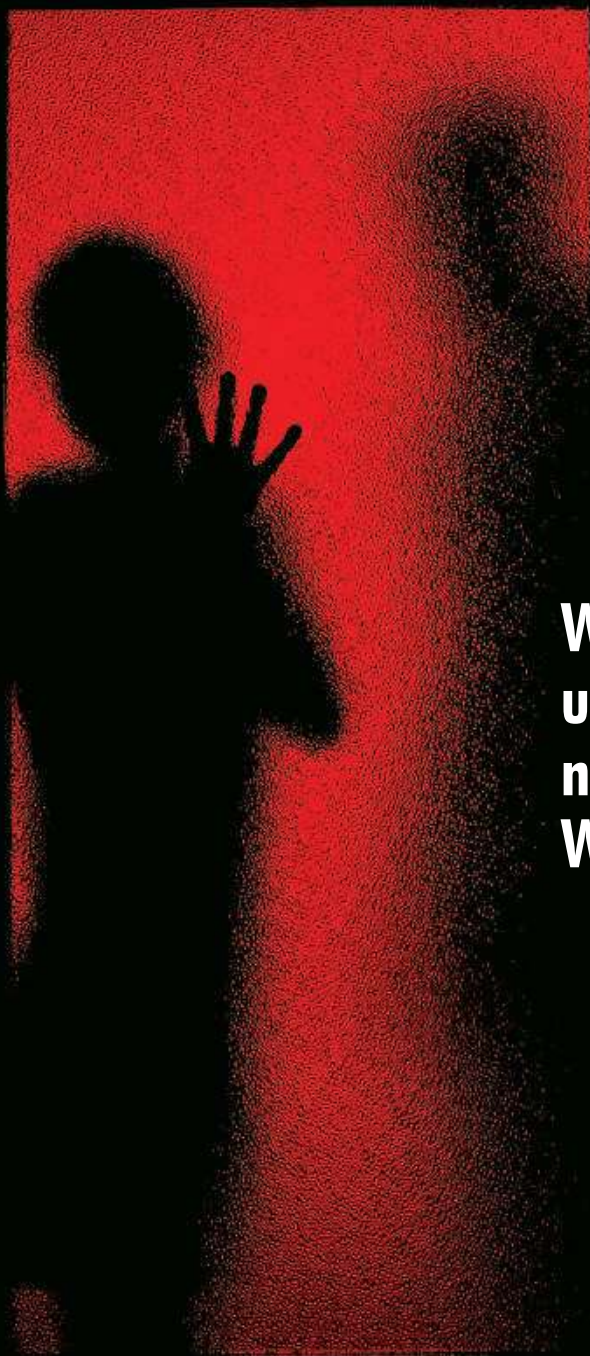
Żeby zostać „wyklętym”, wystarczy wykazać pajacom z IPN, że działało się na szkodę PRL i ówczesnej władzy. Wszyscy mordercy, rabusie, wandy, złodzieje i aferzyści, którzy zostali skazani przez PRL-owski sąd i siedzieli w „komunistycznych” aresztach śledczych czy więzieniach, spełniają te wymagania. Wystarczy podciągnąć zwykły bandytyzm pod śpiewkę patriotyczną i mamy kolejnego „wyklętego”.

Not. Michał Sobczyk

Więcej wypowiedzi na s. 41

KAZIRODZTWO

OKRUTNY SEKRET



**We Francji prawie 7 mln osób
ucierpiało w dzieciństwie
na skutek kazirodztwa.
W Polsce to wciąż temat tabu**

Anna Brzeska

Pierwsza sprawa, na którą trafiam w Systemie Analizy Orzeczeń Sądowych: mała miejscowość w południowo-zachodniej Polsce, rodzice ośmiolatka są w trakcie rozwodu – ojciec wyprowadza się i odwiedza syna w mieszkaniu matki, gdy ta jest w pracy. Kobieta nie ma pojęcia, że w tym czasie ojciec „najpierw grał z synem w gry planszowe, potem zaprowadzał go do łazienki, gdzie rozbierał siebie i jego”, a następnie „dotykał małoletniego członkiem i odbywał z nim stosunek analny”. Ojciec gwałcił synka co najmniej osmiokrotnie.

Chłopiec nie mówi o tym mamie nawet wtedy, gdy po orzeczeniu rozwodu zaczyna jeździć do mieszkania ojca – choć „obawiał się spotkań z ojcem i nie chciał do niego jechać”, a „po każdej wizycie u ojca u małoletniego występowało moczenie nocne”. Z piekła udaje mu się uwolnić dopiero dwa lata po rozstaniu rodziców – podczas kolejnego spotkania z ojcem dzwoni do matki i – nie podając przyczyny – prosi, aby zabrała go do domu.

Dlaczego dziecko tak długo milczało? „U pokrzywdzonego stwierdzono chroniczny smutek, napięcie, kłopoty w bliskich kontaktach z rówieśnikami, brak zaufania do dorosłych – czytamy w opisie sprawy. – Więź z matką nie była na tyle silna, aby chłopiec »otwarciem komunikował jej swoje przeżycia«. Nie wspomniał o gwałtach również psycholog podczas wizyty w poradni psychologiczno-pedagogicznej – matka zaprowadziła go tam kilka miesięcy po ostatnim spotkaniu z ojcem gwałcicielem, ponieważ nakryła syna na masturbacji w trakcie oglądania pornografii.

Dopiero trzy lata później chłopiec, podczas rodzinnego spotkania, używając dziecięcego języka, opowiada o tym, że ojciec gwałcił go niemal podczas każdej wizyty. Matka jednak wciąż zwleka ze zgłoszeniem sprawy na policję – robi to dopiero za namową kolejnej psycholożki, której tym razem dziecko o wszystkim opowiada. Ojciec zostaje zatrzymany po następnych kilku miesiącach, w areszcie spędza niecały rok. Wyrok w jego sprawie zapada łącznie osiem lat od popełnienia przestępstwa.

Co jeszcze bardziej szokujące – fakt, że od przestępstw minęło tak dużo czasu, wpłynął na złagodzenie kary. „Upływ ośmiu lat od popełnienia zarzucanego czynu spowodował, że Sąd uznał, iż należy wymierzyć oskarżonemu karę mimo wszystko w dolnych granicach ustawowego zagrożenia, a mianowicie karę czterech lat”. Dlaczego? – Na wymiar kary ma także wpływ prognoza kryminologiczna. Jeśli przez te osiem lat oskarżony w domyśle nie popełnił już żadnego czynu zabronionego, jest to brane pod uwagę przez sąd – wyjaśnia mi prawniczka, występująca jako obrończyni z urzędu. Tłumaczy też, że sprawy tego rodzaju ciągną się nie tylko z powodu obłożenia sądów, ale również ze względu na długotrwałość gromadzenia materiału dowodowego, np. opinii psychologów czy psychiatrów. Biegłych mogących ocenić np. wiarygodność zeznań świadków czy pokrzywdzonych jest wciąż zbyt mało.

Skala cierpienia – danych brak

We Francji aż 6,7 mln osób ucierpiało w dzieciństwie na skutek kazirodztwa – te przerażające dane przyniosło badanie przeprowadzone przez Ipsos ubiegłej jesieni. Chwilę potem Francuzi przeżyli kolejny szok

Prof. Zbigniew Lew-Starowicz: z różnymi formami molestowania seksualnego w dzieciństwie musiało się zmierzyć 16% kobiet i 12% mężczyzn.

– adwokatka Camille Kouchner opublikowała książkę, w której opisała, jak jej ojczym, prof. Olivier Duhamel – znany i powszechnie szanowany politolog, obracający się w najwyższych kręgach politycznych – gwałcił przed laty jej brata bliźniaka, a swojego pasierba. Co gorsza, Bernard Kouchner, ojciec pokrzywdzonego, był ministrem spraw zagranicznych, przyznał, że od dawna wiedział o wszystkim i podziwiał za odwagę swoją córkę, która ujawniła ów – jak to określił – „ciężki sekret”.

Jak jest w Polsce? Nie wiadomo. Badań na próbie reprezentatywnej

dla całego społeczeństwa nikt u nas nie zleca. CBOS regularnie pyta Polaków o stosunek do aborcji, religijność czy zadowolenie z życia – ale nikt z rządzących nie uznaje za zasadne sprawdzić, jak duża jest skala „ciężkich sekretów” wśród Polaków.

Czyżby polskie elity bały się prawdy? Wszak przykład Francji pokazuje, że pojawienie się tematu w przestrzeni publicznej może wywołać dalszą falę ujawnień przestępstw z przeszłości. Po ukazaniu się książki Camille Kouchner wybuchł tam kolejny skandal – córka popularnego komika Richarda Berry'ego poinformowała policję, że w wieku sześciu-dziesięciu lat była wykorzystywana przez ojca i jego partnerkę. Zaraz potem aresztowany został Dominique Boutonnat, prezes Narodowego Centrum Kinematografii, za wykorzystywanie seksualne chrześnicy. Media społecznościowe ogarnęła fala podobna do Me Too – wiele wykorzystywanych seksualnie dzieci, dziś już dorosłych, przerwało milczenie. Posypały się kolejne zgłoszenia na policję i aresztowania.

Ktoś powie: ale to Francja, z jej wyzwoleniem seksualnym i rozpamiętaniem elit artystyczno-politycznych – u nas tego nie ma. Tyle że to zaklinanie rzeczywistości, wystarczy obejrzeć filmy braci Sekielskich, by się przekonać, że od czynów pedofilskich nie stroni nawet kler, a więc środowisko, które swobodę seksualną deklaratywnie potępia. W dodatku uwikłanie kulturalno-religijne sprawia, że seksualność wciąż jest tabu, szczególnie jeśli chodzi o sferę komunikacji z dziećmi. Choć wydaje się, że to problem całkowicie odwrotny

do patologicznych, skrajnych efektów zachodniej rewolucji seksualnej lat 70. – gdy podejmowano próby legitymizowania stosunków seksualnych dorosłych z nieletnimi – skutki dla krzywdzonych dzieci mogą być podobne. Są nimi brak społecznej świadomości szkodliwości wykorzystywania seksualnego oraz związana z nim obojętność otoczenia i brak reakcji na czyny pedofilskie, co pociąga za sobą również milczenie dzieci.

Problem tabuizacji dobrze ilustruje fragment stanowiska Grupy Ponton w sprawie projektu „Stop Pedofilii” przygotowanego przez fundację Kai ▶

► Godek w 2014 r., penalizującego edukację seksualną i spychającego seks do strefy „zakazanej”: „Ludzie straszeni edukacją seksualną [przez skrajnie konserwatywne organizacje pozarządowe] (...) uwierzyli, że odcinanie młodych ludzi od informacji z zakresu wiedzy o seksualności człowieka zapewni młodzieży ochronę przed przemocą seksualną. W rzeczywistości efekt jest wręcz przeciwny. Właściwie

Wykorzystania seksualnego doświadczyło 7% procent badanych w wieku 13-17 lat, a więc około pół miliona polskich dzieci w tym wieku.

prowadzona i dostosowana do wieku odbiorców edukacja seksualna przyczynia się do zwiększenia świadomości zagrożeń związanych z przemocą na tle seksualnym, również tych dotyczących zjawiska pedofilii. Odcinanie dzieci i młodzieży od wiedzy z zakresu seksualności, do której na mocy ustaleń międzynarodowych mają prawo, jest łamaniem tych praw i w istocie narażaniem dzieci na przemoc”.

Od 2014 r. niewiele się zmieniło. Wciąż jedyną liczącą się organizacją w Polsce, która kompleksowo zajmuje się problemem wykorzystywania seksualnego nieletnich, jest Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. Z badania wykonanego w 2018 r. w ramach „Ogólnopolskiej diagnozy skali i uwarunkowań problemu krzywdzenia dzieci” wynika, że wykorzystania seksualnego doświadczyło 7% badanych w wieku 13-17 lat, a więc około pół miliona polskich dzieci w tym wieku. Znacznie częściej są to dziewczynki niż chłopcy. 80-95% sprawców wykorzystywania seksualnego dzieci to osoby z bliskiego otoczenia. Co może dziwić, rzadko są to osoby z zaburzeniami preferencji seksualnych. 70-80% wykorzystuje dzieci jako tzw. obiekt zastępczy.

Polskich danych nie sposób porównać z francuskimi – badanie FDDS dotyczy bowiem wyłącznie dzieci ze wskazanej grupy wiekowej. Doświadczenia dorosłych

Polaków zbierał prof. Zbigniew Lew-Starowicz (2002), ale tu chodziło o doznana w dzieciństwie przemoc seksualną różnego typu, nie tylko kazirodztwo, także namawianie do oglądania pornografii czy ekshibicjonizmu, współżycia seksualnego. Okazało się, że musiało się z nimi zmierzyć 16% kobiet i 12% mężczyzn.

W nowszym badaniu, z 2016 r., „Adverse Childhood Experiences” (negatywne doświadczenia w dzieciństwie), przeprowadzonym przez FDDS przy współpracy z uczelniami na próbie ponad 1,7 tys. studentów, niemal 5% przyznało, że jako dziecko padło ofiarą wykorzystywania seksualnego przez osobę dorosłą lub co najmniej pięć lat od siebie starszą. Co ważne, nie stwierdzono istotnego związku wykorzystywania seksualnego z wiekiem i wykształceniem rodziców. Ten ostatni wniosek aż nazbyt wyraźnie potwierdza doniesienia z Francji, dlaczego mielibyśmy więc sądzić, że w polskich tzw. dobrych domach jest lepiej?

Jak to się ma do danych zbieranych przez państwo? Eksperti z organizacji pozarządowych od dawna



Krzysztof Bartoszek, nazwany przez media „podlaskim Fritzlem”, w 2010 r. został skazany na 12 lat więzienia. Zatrzymano go dwa lata wcześniej – to wówczas jego córka zawiadomiła policję w Siemiatyczach, że wielokrotnie była przez ojca gwałcona, więziona i straszana. Owocem kazirodztwa było dwoje dzieci, które Bartoszek nakazał jej zostawić w szpitalu. Oskarżony nigdy nie przyznał się do winy – twierdził, że córka zgadzała się na seks. Sprawa trafiła w 2011 r. do Sądu Najwyższego, jednak ten odrzucił wniosek obrońcy o kasację wyroku.

alarmują, że różnice między statystykami zgłoszonych spraw a faktyczną liczbą przestępstw mogą być bardzo znaczne. Jak czytamy w jednym z raportów FDDS, dane z procedury Niebieskich Kart, stosowanej w przypadkach małoletnich doświadczających różnego rodzaju przemocy, „nie stanowią nawet 1% populacji dzieci w Polsce”. Ponieważ ma się to nijak do wyników powyższych badań, wniosek może być tylko jeden – ogromna większość dzieci będących ofiarami własnych bliskich w ogóle nie doczekała się interwencji instytucjonalnej.

Dwa pokolenia traumy

Jednym z ważniejszych – i chyba najbardziej przerażających – powodów, dla których wielu sprawców nigdy nie trafia przed oblicze sądu lub dzieje się to po wielu latach, jest wiek osoby pokrzywdzonej. Maluch, który nie chodzi jeszcze do przedszkola czy szkoły, nie ma przecież wielu kontaktów z dorosłymi spoza kręgu rodzinnego, którzy mogliby udzielić mu pomocy, w dodatku nie wie, że to, co robią najbliższe mu osoby, jest złe. Jednak praktyka pokazuje, że dzieci milczą nawet wtedy, gdy teoretycznie mogą już opowiedzieć o wszystkim choćby wychowawcy w szkole. Skutki są straszne – dzieci cierpią latami, sprawcy pozostają w rodzinach, a czasem krzywdzą kolejne pokolenia.

Inna przerażająca sprawa – dramat, który zaczął się w latach 90., miał finał w roku 2016. Dziewczynka porzucona przez matkę w wieku czterech lat i wychowywana przez ojca alkoholika zaczyna II klasę podstawówki. To wtedy ojciec zaczyna się do niej dobierać. Wkłada jej dłonie w majtki, wsuwa palec do pochwy, dotyka jej piersi. Robi to wielokrotnie – gdy córka ogląda bajki, leży chora w łóżku, je posiłek. Wykorzystuje każdą okazję. Trwa to latami.

Ojca przypapuje wreszcie babcia dziewczynki – matka sprawcy. Robi mu wprowadzić awanturę, ale potem, podczas wieczornej kąpieli, mówi dziecku, że pozwalając na takie zachowania, „popełnia grzech”. Niepokojące



postępowanie sprawcy widzi również ciocia dziewczynki, ale poza zwróceniem mu uwagi nie robi nic.

Przyczyna milczenia rodziny jest boleśnie stereotypowa – zarówno kobiety, jak i dziewczynka pod ich presją chronią sprawcę, ponieważ ten w międzyczasie zostaje przyłapano na dotykaniu krocza innego dziecka – kuzynki swojej córki. Zostaje aresztowany i skazany na dwa lata i dziesięć miesięcy więzienia. Zgłoszenie kolejnej sprawy pogorszyłoby jego sytuację.

Córka, już jako nastolatka, poznaje chłopaka i zachodzi w ciążę. Mówi innej kuzynce, że chciałaby, aby urodził się syn, a nie córka, ponieważ mogłaby ją spotkać „ta sama krzywda co ją”. Niestety, urodzenie synka nie jest ratunkiem. Po powrocie z więzienia ojciec pomaga opiekować się dzieckiem, gdy córka jest w pracy. Odbiera chłopca z przedszkola, zajmuje się nim i gdy zostaje z nim sam na sam, wielokrotnie wkłada mu ręce do majtek, porusza jego członkiem, powodując ból. Dramat trwa kilka lat i obejmuje w końcu także kolegę chłopca. Nadal nikt nie reaguje. Matka chłopca robi to dopiero wtedy, gdy jej syn, wówczas ośmioletni, zaczyna zachowywać się agresywnie i dotykać jej miejsc intymnych, mówiąc, że „udaje dziadka”. Sąd skazuje ostatecznie oprawcę na 15 lat więzienia.

Nie chciałam psuć mamie związku

Problem niezgłaszania spraw nie dotyczy wyłącznie rodzin, gdzie brakuje bezpiecznych więzi. O swoim doświadczeniu wykorzystania

80-95% sprawców wykorzystywania seksualnego dzieci to osoby z bliskiego otoczenia dziecka.

seksualnego przez najbliższą osobę opowiada mi Justyna, która zarówno z matką, jak i ze sprawcą miała bardzo dobre relacje.

– To zdarzyło się raz, gdy miałam 12 lat. Ojczym, którego moja mama poznała, gdy byłam trzylatką, był bardzo bliską mi osobą. Któregoś razu mama wróciła z pracy bardzo zmęczona i położyła się spać na kanapie. Ja spałam na dużym łóżku w tym samym pokoju. Obudziłam się, ponieważ poczułam, że jestem dotykana w miejsca intymne. Nie wiedziałam, co zrobić, leżałam jak kłoda i udawałam, że śpię, czekając, aż to się skończy, choć wszystko trwało dłuższy czas. Martwiłam się też, że... mama się obudzi. Cała sytuacja była dla mnie trochę jak film, który oglądałam gdzieś z góry, jakby spoza własnego ciała. Do tej pory nie wiem, co się wtedy stało. Podczas rozmów z psychologiem ustaliliśmy, że mogło dojść do gwałtu, który po prostu wyparłam z pamięci. Później bowiem nie doświadczyłam już momentu utraty dziewictwa – krwawienia czy bolesności.

Mama Justyny zauważyła zmianę w zachowaniu córki, która np. nie chciała iść z ojczymem na basen, jednak dziewczyna nie opowiedziała jej o zdarzeniu. – Nie chciałam jej mówić ze względu na jej dobro. Nie

chciałam psuć jej związku, mieszać w życiu – tłumaczy.

Justyna napisała za to o zdarzeniu w pamiętniku, który po jakimś czasie znalazła babcia i przeczytała jej matkę. Ta zapytała córkę, czy zgłaszać sprawę na policję. Ponieważ w międzyczasie matka rozstała się z partnerem (z innych przyczyn), ustaliły, że nikomu o niczym nie powiedzą. I to Justyna nie widziała sensu w zgłaszaniu sprawy – chciała chronić ojczyma, który, jak stwierdziła, „po prostu się pogubił”. Bała się poza tym, że sam udział w procesie przeciwko niemu będzie dla niej zbyt bolesny.

Skutki trudne do wyobrażenia

Skala zniszczeń w psychice dziecka wykorzystywanego seksualnie przez rodzica czy inną bardzo bliską osobę jest trudna do wyobrażenia. Prof. dr hab. Maria Beisert

Obojętność otoczenia i brak reakcji na czyny pedofilskie pociągają za sobą również milczenie dzieci.

i dr Agnieszka Izdebska z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu jako długofalowe skutki wykorzystania seksualnego dzieci wymieniają: zaburzenia emocjonalne i zaburzenia obrazu własnej osoby (depresja, zachowania autodestrukcyjne); zaburzenia somatyczne i dysocjacyjne (lęk i napięcie, koszmary nocne, zaburzenia snu i odżywiania, ▶

► różne postacie dysocjacji); zaburzenia samooceny (poczucie izolacji i alienacji, skrajnie niska samoocena); zaburzenia interpersonalne (trudności w kontaktach z ludźmi, spadek zaufania wobec ludzi, poczucie zdrady, lęk wobec partnerów

Dzieci milczą nawet wtedy, gdy – teoretycznie – mogą już opowiedzieć o wszystkim choćby wychowawcy w szkole.

seksualnych, podatność na ponowne wykorzystanie); zaburzenia w funkcjonowaniu społecznym (uzależnienie od alkoholu i narkotyków, prostytucja); zaburzenia seksualne (lęki wobec seksualności, poczucie winy, brak satysfakcji, obniżenie pragnienia seksualnego, zaniżona ocena siebie jako partnera seksualnego, zaburzenia orgazmu, kompulsywne unikanie lub kompulsywne poszukiwanie kontaktów seksualnych).

Fakt, że wykorzystanie seksualne miało charakter kazirodczy, może się przyczynić do pogłębienia skutków. Cytat z uzasadnienia wyroku w jednej ze spraw przytaczanych powyżej: „Na pierwszy rzut oka ujemne konsekwencje kazirodztwa nie różnią się szczególnie od natury krzywdy, jaką niosą ze sobą przypadki nadużyć seksualnych. Są one jednak dotkliwsze, jako że wywołuje je ktoś bliski (...). Uczucie niepewności, brak poczucia bezpieczeństwa i brak kogokolwiek, o kim się wie, że można doń zwrócić się o pomoc, powodują bezsilność ofiary”. Z kolei prof. Maria Beisert („Charaktery”, nr 12/2020-01/2021) pisze: „Najczęstszym, i zarazem najbardziej obciążonym konsekwencjami, typem kazirodztwa jest wykorzystywanie seksualne córki przez ojca [badaczka nie wskazuje jednak, by wykorzystanie syna miało mniej zgubne skutki; zaznacza, że jest to po prostu rzadszy rodzaj kazirodztwa – przyp. red.] (...). Z punktu widzenia ofiary – małej dziewczynki czy też dorastającej nastolatki – więź z ojcem zawiera, poza miłością, ochronę, troskę i zachętę do angażowania się we wszystkie zadania życiowe typowe dla różnych

faz rozwoju dziecka. W bezpiecznych granicach wyznaczonych miłością ojca dziewczynka może poznawać świat, eksperymentować i się rozwijać – także w sferze seksualnej, zawsze licząc na ojcowskie wsparcie. (...) Skutki [czynności seksualnych] są dla dziecka podwójnie szkodliwe, ponieważ pochodzą od ojca i sprawcą jest osoba dorosła. Wpływ, jaki swoimi działaniami seksualnymi (nawet tymi o niskim poziomie inwazyjności) wywiera dorosły na seksualność dziecka, jest wpływem niekorzystnym, stanowiącym realne zagrożenie dla rozwoju seksualnego dziecka”.

Dlaczego nie chronimy dzieci?

Z analizy polskiego systemu ochrony dzieci przed krzywdzeniem (nie tylko o charakterze seksualnym), wykonanej przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę w 2017 r., wynika m.in., że „skala krzywdzenia dzieci w Polsce jest znacząca, wiele przypadków przemocy nie jest wykrywanych, a przyczyny obrażeń nie są rzetelnie przypisywane. Nie istnieje jedna służba odpowiedzialna za ochronę dzieci, koordynowanie działań, podnoszenie kompetencji profesjonalistów, wypracowywanie wytycznych i procedur, gromadzenie rzetelnych danych

Od 2016 r. Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę nie udaje się uzyskać środków z Funduszu Sprawiedliwości na pomoc dla dzieci wykorzystywanych seksualnie.

i opracowywanie interdyscyplinarnych, kompleksowych raportów. (...) Dziecko, które doznało krzywdzenia, musi być kierowane do kilku instytucji, by uzyskać niezbędną pomoc i ochronę. Istniejące przepisy prawa nie zawsze są w pełni realizowane. Działania podejmowane są przez wiele podmiotów, na różnych szczeblach, często bez koniecznej koordynacji czy adekwatnego finansowania, co rzutuje na ich efektywność. Pracownicy służb przeciążeni są liczbą spraw, którymi zajmują się w jednym czasie”.

W najnowszym artykule na temat problemu wykorzystywania seksualnego dzieci FDDS znów jest

zmuszona stwierdzić eufemistycznie, że przeciwdziałanie „nie jest priorytetem rządzących”. Ratyfikowana w 2014 r. Konwencja Rady Europy o ochronie dzieci przed seksualnym wykorzystywaniem i niegodziwym traktowaniem w celach seksualnych (tzw. konwencja z Lanzarote) nadal nie jest w pełni wdrażana.

Znaczną część rozwiązań, które powinny być wprowadzane lub przynajmniej finansowane przez państwo, zawdzięczamy właśnie fundacji – niemającej wsparcia ze strony rządu. Dr Monika Sajkowska, prezeska FDDS, wylicza listę systemowych zaniedbań: – Nie powstał narodowy program ochrony dzieci. Nie ma powszechnie dostępnej sieci profesjonalnych placówek pomocowych – nasze centra pomocy dzieciom są jednymi z niewielu specjalistycznych placówek, w których dzieci wykorzystywane seksualnie otrzymują kompleksową, bezpłatną pomoc, gdzie mają zapewnioną interdyscyplinarną diagnozę i interwencję. Dziś w Polsce funkcjonuje pięć tego typu placówek, ale naszym celem jest przynajmniej jedna w każdym województwie. Mimo ogromnego doświadczenia i wiedzy, które mamy jako organizacja, od 2016 r. nie udaje nam się uzyskać finansowania z Funduszu Sprawiedliwości na pomoc bezpośrednią dla dzieci pokrzywdzonych przestępstwem, w tym wykorzystywanych seksualnie.

Na razie doczekaliśmy się więc głównie działań pozorowanych. Jednym z nich jest dostępny w internecie od początku 2018 r. rejestr przestępstw seksualnych. Jednak eksperci zajmujący się problemem bardzo skrytykowali ten pomysł jako stygmatyzujący również pokrzywdzonych. Ofiary kazirodztwa noszą często to samo nazwisko co sprawcy, więc na podstawie danych przestępców figurujących w rejestrze (zawierających też ich zdjęcia) mogą zostać łatwo rozpoznane przez otoczenie, np. kolegów ze szkoły, jako osoby pokrzywdzone, zgwałcone czy molestowane. Ta przerażająca perspektywa tym bardziej może zniechęcić dzieci do powiedzenia komukolwiek o tym, co je spotkało, i poszerzyć skalę milczenia.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

To miały być dwa tygodnie...

Rok z koronawirusem

Anna Brzeska

4 marca mija rok od potwierdzenia przez ówczesnego ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego, że mamy w Polsce pierwszy przypadek zachorowania na koronawirusa. Nie spodziewaliśmy się, że przyjdzie nam przeżyć z pandemią rok i wciąż nie będzie widać jej końca.

Od marca 2020 r. liczba zachorowań w naszym kraju urosła do niemal 1,7 mln przypadków. Zmarło 43 tys. osób. Dotąd nie udało się znaleźć leku na COVID-19, którego skuteczność potwierdziłyby badania kliniczne. Nowa nadzieja na zakończenie pandemii przyszła jesienią wraz z doniesieniami o skuteczności szczepionki, nad którą naukowcy pracowali od wiosny. Od jej pojawienia się pod koniec grudnia udało się zaszczepić w naszym kraju już niemal 3 mln osób.

Co wiadomo o SARS-CoV-2

O tym, co już wiemy, a czego jeszcze nie, rozmawiam z naukowcami z Uniwersytetu Gdańskiego.

Prof. dr hab. Grzegorz Węgrzyn, biolog: – Mamy już setki tysięcy publikacji naukowych na temat SARS-CoV-2, co czyni go jednym z najlepiej poznanych wirusów w historii.

Zaskoczyła nas różnorodność objawów i ich nietypowość – np. utrata smaku czy węchu – oraz to, że mogą mieć różne natężenie.

Wiemy, że jest najgroźniejszy dla osób starszych i tych o obniżonej odporności. Czy mijający rok przyniósł światu naukowemu jakieś wielkie niespodzianki? Od strony biologicznej – niespecjalnie. Zaskoczyła nas nieco różnorodność objawów, które wirus może wywoływać, i ich nietypowość – np. utrata smaku czy węchu – oraz to, że mogą one mieć



bardzo różne natężenie, od przebiegu bezobjawowego po bardzo ciężki.

Prof. Krystyna Bieńkowska-Szewczyk, wirusolożka: – Niewątpliwie mamy dziś dużo więcej danych genetycznych, tzn. analiz składu genomowego wirusa SARS-CoV-2. Poznano dokładnie budowę samego białka kolca (S) i jego strukturę, tworzoną przez trzy cząsteczki tego białka. Potwierdzono kluczową rolę białka S w procesie wnikania wirusa

znakomicie przystosowuje się do komórki gospodarza (czyli nosiciela – przyp. red.), wykorzystując wszystko, co w niej znajdzie, jako materiał do budowy swoich własnych cząstek. Nasze komórki stają się więc dla niego czymś w rodzaju drukarki cząstek wirusowych, a zarówno „papieru”, jak i innych materiałów dostarcza nasza komórka.

Mimo że media przyciągają uwagę doniesieniami o rzekomym wynalezieniu leku na covid, przełomu nie ma. Tylko w pewnym stopniu pomocne w leczeniu choroby okazały się remdesivir – amerykański lek antywirusowy, oraz deksametazon – lek sterydowy. Trwają badania kliniczne nad skutecznością amantadyny – leku neurologicznego podawanego m.in. pacjentom z chorobą Parkinsona, ale na pierwsze wyniki trzeba poczekać do marca. Eksperci pozostają jednak sceptyczni. – Nie ma żadnych podstaw merytorycznych ani naukowych do stosowania amantadyny ▶

► w zakażeniach wywołanych przez koronawirusa SARS-CoV-2 – przekonuje prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych prof. Robert Flisiak w wypowiedzi dla PAP – Nauka w Polsce.

– Najlepszym lekiem byłby taki związek, który hamowałby działanie polimerazy, głównego enzymu wirusa, niezbędnego do powielania materiału genomowego. Na takich inhibitorach są oparte leki przeciwko HIV czy wirusowemu zapaleniu wątroby typu C – mówi prof. Bieńkowska-Szewczyk. – Na razie tu nie ma przełomu, ale im więcej będziemy wiedzieć o biologii molekularnej wirusa, tym większa szansa na znalezienie leku. Wierzę, że w końcu to się uda.

Czy dobre geny gwarantują odporność?

Trwają także poszukiwania czynników (poza wiekiem i obniżoną odpornością), które sprawiają, że część osób nie wykazuje żadnych objawów, u innych zaś choroba ma ciężki przebieg. Badanie brytyjskich naukowców, którego wyniki w grudniu 2020 r. opublikowano w „Nature”, wskazało, że warianty pięciu kluczowych genów odpowiedzialnych za odporność przeciwwirusową i skłonność do zapalenia płuc są powiązane z ciężkim COVID-19. Jak przyznają jednak badacze, odkrycie genów to dopiero początek drogi do ewentualnej terapii. Oprócz nich istnieje wiele innych czynników,

mówić, że czynniki genetyczne aż tak determinują wrażliwość na wirusa. O odpowiedzi immunologicznej mogą decydować nawet drobne różnice między czynnikami wpływającymi na naszą odporność.

Typowe objawy wirusa to kaszel, gorączka, duszności, utrata węchu i smaku, ale niektórzy skarżą się również na objawy neurologiczne: trudności z koncentracją, a nawet zaburzenia świadomości. Czy to znaczy, że SARS-CoV-2 zagraża nam

Obecnie największe nadzieje należy pokładać w szczepionce.

w o wiele większym stopniu niż dotychczas znane wirusy?

– Mamy już ogromną liczbę opisów indywidualnych przypadków nieprzewidywanych wcześniej powikłań. Nie przeceniłabym jednak wagi tych doniesień, ponieważ od dawna wiemy, że każdy poznany dotąd wirus może dać objawy nietypowe, zależne od kondycji pacjenta i od tego, w jakim stopniu uda się wirusowi namnożyć. Pamiętajmy, że wirus grypy też może dać powikłania neurologiczne czy choroby nerek – tłumaczy prof. Bieńkowska-Szewczyk.

Wirusolożka zaznacza, że nie należy tych doniesień lekceważyć: – Wiemy, że wirus SARS-CoV-2 może teoretycznie wnikać do innych komórek niż komórki dróg oddechowych. Zidentyfikowano już receptor ACE2 wykorzystywany przez SARS-CoV-2 (wirusy mogą wnikać do komórki m.in. za pośrednictwem obecnych na niej

oddechowych, ale nie mamy dostatecznych danych na temat tego, jak się przenosi przez komórki krwi, co jest naturalnym sposobem transportu wirusa wewnątrz organizmu. Na razie obserwujemy, że w przypadku pacjentów ze sprawnym układem immunologicznym SARS-CoV-2 ogranicza się do komórek dróg oddechowych, choć uszkodzenia tkanki płucnej mogą być bardzo rozległe. I to wciąż jest uważane za największe zagrożenie wynikające z zakażenia koronawirusem.

Skąd zatem opisywane przez pacjentów powikłania ze strony innych układów? – Te mogą być związane nie tyle z wnikaniem wirusa do komórek innych układów, ile z dłuższym przebiegiem choroby, np. działaniem długiego stresu, przemęczenia, osłabienia. Objawy neurologiczne mogą też wynikać z niedotlenienia, bo za natlenienie organizmu odpowiadają płuca. Nic na razie nie wiadomo o tym, by SARS-CoV-2 mógł wnikać do neuronów – wyjaśnia wirusolożka.

Mutacje – czym grożą?

Prof. Bieńkowska-Szewczyk tłumaczy, że mutacje pojawiały się już od początku pandemii, ale ponieważ niektóre sprzyjały rozprzestrzenianiu się wirusa, stały się dominujące, tak jak wariant brytyjski: – Porównując SARS-CoV-2 z wirusami HIV czy HCV, widzimy, że jego zmienność jest niewielka. Ponieważ jednak szybko się przenosi z człowieka na człowieka, dzięki czemu nasza populacja stała się dla niego globalną „hodowlą”, nawet jeśli tych mutacji nie jest wiele, i tak będą się masowo rozprzestrzeniać. Łatwość przenoszenia się to na razie najgroźniejsza dla nas cecha SARS-CoV-2. Paradoksalnie dla zahamowania rozprzestrzeniania się problematyczna jest jego niska śmiertelność – gdyby powodował u większości osób bardzo ciężką chorobę – jak wirus Ebola czy pierwszy wirus SARS – łatwiej byłoby izolować chorych i ograniczać kontakty międzyludzkie.

Wirusolożka zaznacza jednak, że znane nam obecnie mutacje nie zmieniły ani procesu wnikania

Wirus przystosowuje się do komórki gospodarza, wykorzystując wszystko, co w niej znajdzie, jako materiał do budowy własnych cząstek.

które decydują, na ile poważne będą objawy. Świadczą o tym takie przypadki jak ten przytaczany przez prof. Węgrzyną: – Niedawno ukazała się ciekawa praca opisująca przebieg choroby u bliźniaków po pięćdziesiątce, mieszkających i pracujących razem. Zarazili się koronawirusem najprawdopodobniej od tej samej osoby, w tym samym miejscu i czasie. Jeden z nich przeszedł chorobę bardzo łagodnie, bez poważniejszych objawów, drugiego zaś ledwo udało się uratować. Nie można więc

receptorów – przyp. red.), który występuje także na innych komórkach, np. nerek czy jelit. Trzeba jednak pamiętać, że aby wirus mógł wnikać do komórki, potrzebuje jeszcze enzymu, zwanego proteazą, który musi przeciąć główne białko kolca wirusa (jest to niezbędne dla jego zakaźności). Warunkiem wniknięcia wirusa do komórki jest zatem obecność dwóch czynników – białka receptorowego ACE2 i proteazy. SARS-CoV-2 może więc teoretycznie wnikać do innych komórek niż komórki dróg

wirusa do komórki, ani przebiegu infekcji: – Wirus nieco lepiej dopasował swoje białko do oddziaływania z receptorem komórki, dzięki czemu łatwiej do niej wnika i szybciej może się namnażać. To powoduje nie tylko cięższy przebieg choroby, ale też szybsze wydalenie wirusa – i zakażenie innych osób.

Czy obecnie znane mutacje mogą zagrozić skuteczności szczepionki? – Nie ma na razie żadnych danych, które wskazywałyby, że pojawiła się jakaś mutacja wirusa odpornego na obecne szczepionki – mówi prof. Węgrzyn. – Pamiętajmy, że aby szczepionka pozostała skuteczna, mutacje wirusa nie mogą zmienić jego białek w takim stopniu, by nie mogły ich rozpoznać przeciwciała wytworzone po szczepieniu przez nasz układ immunologiczny. Jeśli natomiast białka wirusa zmieniają się na skutek mutacji na tyle, że szczepionka przestanie być skuteczna, istnieje z kolei duże prawdopodobieństwo, że te białka w ogóle nie będą funkcjonowały dostatecznie dobrze, by wirus mógł się namnażać. Wirusowi nie jest bowiem łatwo „znaleźć” takie białko, które z jednej strony umożliwiłoby namnażanie, a z drugiej byłoby nierozpoznawalne dla naszych przeciwciał. Co ciekawe, białka, których nasze przeciwciała nie rozpoznają, zapewne cały czas się tworzą w przebiegu kolejnych mutacji wirusa, ale jeśli nie zachowują swojej funkcji, te wirusy w ogóle się nie namnażają. Nie wiemy więc nawet o ich istnieniu, ponieważ nie powodują rozwoju choroby. Mogę powiedzieć, że w toku ewolucji ogromna większość mutacji powoduje właśnie utratę funkcji białek.

Według eksperta niepokojące mogą być nie tyle nowe mutacje koronawirusa, ile jego łatwość zakażenia oraz dezorganizacji naszego systemu ochrony zdrowia.

Co będzie dalej? Czy ta pandemia to sygnał, że grożą nam coraz bardziej zjadliwe wirusy, a my jesteśmy coraz mniej na nie odporni? – Tak nie jest – uspokaja prof. Węgrzyn. – Dzisiejsze wirusy nie są bardziej zjadliwe niż te, które pojawiały się dawniej. Z historii wiemy, że np. wirus ospy dziesiątkował ludzkie populacje znacznie bardziej niż SARS-CoV-2. Teraz jednak wirusom o wiele łatwiej się rozprzestrzeniać ze względu na

większe zagęszczenie populacji. Dawniejszym wirusom dużo trudniej było „znaleźć” kolejnych gospodarzy, w których komórkach mogłyby się namnażać. Prawdopodobnie dawne lokalne epidemie także urosłyby do skali pandemii, gdyby wówczas ludzie tak masowo się przemieszczali i żyli w tak dużym zagęszczeniu jak dziś. Nie powiedziałbym też, że jako populacja jesteśmy słabsi – choć rzeczywiście nie podlegamy już takiej presji selekcyjnej jak kiedyś. Pewnego rodzaju „utrudnieniem” jest nasza świadomość istnienia wirusów i próby chronienia się przed nimi (np. za pomocą lockdownu czy izolacji całych oddziałów szpitali), co daje skutek uboczny w postaci paraliżu naszego życia i systemu ochrony zdrowia.

Niepokojące mogą być nie tyle nowe mutacje wirusa, ile łatwość zakażenia oraz dezorganizacji naszego systemu ochrony zdrowia.

Jak podkreśla biolog, nasze szanse zwiększają o wiele lepsze niż dawniej metody diagnostyczne, dzięki którym łatwiej nam wcześniej wykryć choroby: – Znacznie więcej również wiemy o wirusach. 200 lat temu nawet nie pomyślelibyśmy o maseczkach czy lockdownie, przez co zapewne co najmniej 5% osób by umarło – i nie zrobiłoby nikomu różnicy, czy zmarli na skutek grypy, czy z powodu innych wirusów. I tak przecież żadnych nie znano. Jest też ogromnym sukcesem medycyny, że dziś, nawet jeśli pojawią się nowe mutacje SARS-CoV-2, szczepionki powinny nas przed nimi zabezpieczyć, chociaż jest za wcześniej, by mówić, na ile są skuteczne. Jeżeli zaś pojawi się zupełnie nowa odmiana wirusa – taka, która będzie odporna na obecnie stosowane szczepionki – to mając już przetestowaną technologię wykorzystaną do ich produkcji, z łatwością zamienimy obecne w nich mRNA na mRNA zmutowanego wirusa. Dzięki temu nasze komórki będą mogły wyprodukować białka nowej odmiany wirusa, a nasz układ immunologiczny odpowiednio przeciwciała.

Kiedy skończy się pandemia?

– Odpowiedziałabym na to pytanie, gdybym miała kryształową kulę

– stwierdza prof. Bieńkowska-Szewczyk. – Nie ma natomiast żadnych wątpliwości, że obecnie największe nadzieje należy pokładać w szczepionce. Z całą pewnością obostrzenia, dystans społeczny, maseczki itp. utrudniają rozprzestrzenianie się koronawirusa, ale wiemy już, że on od tego nie zginie, ponieważ nie mamy możliwości całkowitego zapobieżenia zakażeniom. Na ile zaś skuteczne są szczepionki, będziemy wiedzieć pod koniec marca, gdy zostanie wyszczepiona znaczna część ludności Izraela. Już teraz widać spadek liczby zakażeń i osób umierających w Izraelu, Wielkiej Brytanii czy w Stanach Zjednoczonych. Mam nadzieję, że pierwsze efekty wśród personelu medycznego i seniorów będą i u nas widoczne w ciągu kilku

tygodni, a pod koniec lata zaobserwujemy wyraźną poprawę sytuacji. Nawet jeśli reszta społeczeństwa wciąż pozostanie wtedy niezaszczepiona, nie będzie przynajmniej zarażać osób najbardziej zagrożonych ciężkim przebiegiem choroby. Dlatego uważam, że popełniono błąd, nie zaliczając do I etapu szczepień osób chorych np. na nowotwory czy choroby układu krążenia. Natomiast nie spodziewam się, żeby wirus SARS-CoV-2 zniknął całkowicie. Mam jednak nadzieję, że będzie się pojawiał jedynie sezonowo, a w międzyczasie uzyskamy skuteczny lek.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeгляд.pl

Zmarła

Michalina Nowak-Ginalska

Przez wiele lat publikowała w „Przeглядzie” i „Przeглядzie Tygodniowym” reportaże, najczęściej z Podkarpacia.

Zawsze wrażliwa na ludzką krzywdę, zaangażowana w życie społeczne, pełna humoru, piszcząca pięknym językiem.

Żegnamy Ją ze smutkiem

Zespół „Przeгляду”

Szczepionkowy szkielet w szafie

Prędzej czy później pacjenci powinni mieć prawo do wyboru rodzaju szczepionki



Szczepienia nauczycieli przeciw COVID-19, Gdańsk, 12 lutego 2021 r.

Marcin Walter

Śledząc dyskusję dotyczącą szczepień przeciw COVID-19, można odnieść wrażenie, że nie wiadomo, o co chodzi. Media donoszą o dużej nieufności środowisk medycznych w Niemczech i w Austrii do szczepionki firmy AstraZeneca (Szwajcaria odmówiła nawet jej rejestracji), w Polsce wątpliwości co do tej szczepionki zgłaszają m.in. nauczyciele. Spór toczy się o skuteczność tej szczepionki, bo dane o jej skuteczności są powszechnie dostępne. Jednak zacietrzewienie obu stron jest wysoce nieproporcjonalne do publikowanej różnicy skuteczności. Na zdrowy rozum, jeśli szczepionka zabezpiecza przed ciężką postacią choroby i związanym z tym ryzykiem zgonu (a takie są konkluzje z przeprowadzonych badań klinicznych szczepionki Astrazeneki), to – zważywszy na jej dostępność – nikt nie powinien wybrzydzać, tylko „brać to, co dają”.

Mało kto w dyskusji dotyka prawdziwego podłoża obaw związanych z tzw. szczepionką wektorową na bazie adenowirusa, czyli zagadnień dotyczących jej długofalowego (odległego o kilka lat) bezpieczeństwa. Spór w mediach toczy się zatem na

płaszczyźnie zastępczej, którą jest skuteczność, kiedy tak naprawdę z tytułu głowy czai się lęk przed nieznanym, pytanie o długofalowe bezpieczeństwo szczepienia tym preparatem.

Oliwy do ognia dolewa polityka informacyjna rządu i rządowych ekspertów, nieadekwatna do standardów XXI-wiecznej medycyny. Rząd i eksperci okopali się na dogmatycznych pozycjach i mają do zakomunikowania jeden przekaz: „szczepionki są w pełni bezpieczne” (wiceminister zdrowia), skoro zostały zarejestrowane przez odpowiednie władze (w Europie odpowiada za to European Medicines Agency – EMA). Społeczeństwo jest jednak świadome, że mamy tu do czynienia nie ze zwykłą rejestracją, ale z tzw. rejestracją *emergency*, kiedy z uwagi na ryzyko związane z pandemią pomija się niektóre elementy oceny w normalnym trybie. Dotąd

badania przedrejestracyjne szczepionek trwały zazwyczaj 10-15 lat i na tej podstawie można było ocenić bezpieczeństwo preparatu po upływie kilku lat od jego pierwszego podania.

Otwartość i transparentność w komunikacji jest w dzisiejszych czasach sprawą o znaczeniu kluczowym. Nawet dzieci w szkole podstawowej uczą się o DNA i RNA, a co dopiero uczniowie szkoły średniej. Nie można więc wszystkich traktować tak, jakby wiedza medyczna była zastrzeżona dla „ekspertów”, a wiedza innych osób nabyta w szkole bądź na studiach, np. przyrodniczych, była bezużyteczna. Właśnie takie podejście doprowadziło do ekstremalnej polaryzacji. Z jednej strony, osoby z przygotowaniem przyrodniczym i elementarną wiedzą o genetyce oraz onkogenezie czują się rozczarowane usztywnionym przekazem, że wszystko jest bezpieczne, z drugiej – osoby niemające żadnego przygotowania wpadają w sidła antyszczepionkowych proroków i sekt, którzy dla zaistnienia w mediach nie zawahają się przed najbardziej absurdalnymi teoriami, bez poparcia w badaniach.

Prędzej czy później w polityce informacyjnej nie uniknie się otwarcia szczelnie zamkniętej szafy, w której schowano pozytywne i negatywne analizy dotyczące długofalowego bezpieczeństwa szczepionek wektorowych oraz potencjalnych interakcji wektorowego DNA z ludzkim genomem. A co za tym idzie, umożliwienia każdej szczepionej osobie podjęcia w pełni świadomej decyzji co do szczepienia, przy poszanowaniu jej autonomii. W medycynie nie ma już

Dr n. med. Marcin Walter jest specjalistą chorób wewnętrznych i geriatрії, byłym wieloletnim dyrektorem ds. badań klinicznych firmy AstraZeneca i TTL Clinical, pierwszym prezesem Stowarzyszenia na rzecz Dobrej Praktyki Badań Klinicznych w Polsce, byłym kierownikiem Centrum Innowacyjnych Terapii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, byłym pracownikiem naukowym Zakładu Wirusologii Instytutu Mikrobiologii CM UJ w Krakowie oraz ośrodka naukowo-badawczego firmy Astra (później AstraZeneca) w Göteborgu, redaktorem naukowym podręcznika „Badania kliniczne. Organizacja, nadzór i monitorowanie”.

miejsca na XIX-wieczny lekarski paternalizm (pamiętam, że jeszcze w latach 60. chirurg udzielał przed operacją skróconej informacji typu „będzie dobrze”, zamiast – jak to jest dzisiaj wymagane – wyczerpująco przedstawić pacjentowi korzyści zabiegu i potencjalne ryzyko). Na razie „eksperci” oparli się o wyżej wspomnianą szafę plecami jak John Cleese w „Hotelu Zaczysze”, udając, że dobiegające z niej stuki są efektem flamenco tańczonego w innym miejscu. Korzystają z tego antyszczepionkowcy, przekonujący, że w szafie znajduje się szkielet, może nawet jeden.

ebola pojawia się w Europie. Ten wirus ma bardzo wysoką śmiertelność, ponad 60%. Jest wysoce prawdopodobne, że każda z osób zaszczepionych na COVID-19 szczepionką z wykorzystaniem wektora adenowirusowego będzie bezbronna, bo kolejna szczepionka z takim samym wektorem wywoła reakcję układu immunologicznego przede wszystkim przeciwko adenowirusowi.

Jednymi z najbardziej pożądanymi cech naukowca są wyobraźnia i pokora. Musimy sobie uświadomić, że nauka nie wie jeszcze wszystkiego i najprawdopodobniej

których medycyna jeszcze nie zna. Zgodę wydano warunkowo, dla badań na małej grupie pacjentów z rozsiasem nowotworowym. W dzisiejszej akcji szczepień w miejsce małej grupy podstawiona zostanie połowa światowej populacji. Dlatego wymaga to szczególnie odpowiedzialnej akcji informacyjnej i poszanowania indywidualnych decyzji.

27 grudnia 2020 r. wysłałem list do prezesa Naczelnej Rady Lekarskiej z prośbą o zawnioskowanie do rządu (w imieniu środowiska lekarskiego) o stworzenie warunków prawnych i logistycznych do wyboru rodzaju

W mediach toczy się zastępczy spór o skuteczność szczepionki, podczas gdy obawy dotyczą długofalowego bezpieczeństwa szczepienia preparatem AstraZeneki.

Szafę należy otworzyć, tak jak to zrobili media niemieckie, i pokazać, że nie ma w niej żadnego trupa, aczkolwiek nie jest ona do końca wysprzątana. Znakomitym przykładem takiej postawy jest artykuł z „Berliner Zeitung”, opublikowany 19 lutego 2021 r. (www.berliner-zeitung.de/gesundheit-oekologie/astrazeneco-wie-gross-ist-das-langzeitrisiko-bei-den-vektorimpfstoffen-li.140647), zatytułowany „AstraZeneca & Co: Jak duże jest odległe ryzyko szczepionek wektorowych?”. Artykuł nie ukrywa możliwości integracji DNA wektorowego z genomem osoby przyjmującej szczepionkę, ale podaje również prawdopodobieństwo takiego zdarzenia i jego potencjalne następstwa. Cytuje wielu specjalistów zajmujących się tym zagadnieniem, w tym prof. Christiana Münza z Uniwersytetu w Zurychu. Język niemiecki artykułu nie jest przeszkodą w dobie przeglądarek internetowych z automatycznym tłumaczem.

Oczywiście artykuł nie wyczerpuje wszystkich problemów związanych z nowymi szczepionkami. Przed pandemią COVID-19 szczepionki z wektorem adenowirusowym podano jedynie niewielkiej grupie osób zagrożonych infekcją ebolą i dengą (w prewencji zakażenia HIV szczepionka taka okazała się nieskuteczna). Posiadanie technologii z wektorem adenowirusowym do produkcji szczepionki przeciwko eboli znacznie przyspieszyło przedstawienie linii produkcyjnej na szczepionkę przeciw COVID-19. Wyobraźmy sobie jednak sytuację, kiedy

nigdy wszystkiego się nie dowie. W 1895 r. prof. Michelson z USA (późniejszy laureat Nagrody Nobla z fizyki) powiedział w trakcie kongresu, że w fizyce odkryto już wszystko i dalsze badania dokładniej opisać tylko to, co już wiadomo (było to przed teorią względności i przed fizyką kwantową). Podobna sytuacja jest w biologii i w medycynie. Pamiętam, że kiedy organizowałem badania kliniczne polegające na przeszczepianiu pacjentom modyfikowanych genetycznie komórek zwierzęcych, większość komisji bioetycznych nie debatowała już nawet na temat możliwej derepresji genów, ale na temat możliwości przeniesienia potencjalnych substancji,

szczepionki przez pacjenta. Oprócz wyżej wymienionych argumentów zacytowałem orzeczenie Sądu Apelacyjnego w Łodzi z 18 września 2013 r. (sygn. I ACa 355/13): „Przejawem autonomii jednostki i swobody dokonywanych wyborów jest prawo decydowania o sobie samym – w tym co do wyboru metody leczenia. Wybór ten, by był świadomy, musi zostać poprzedzony informacją o istniejących i dostępnych alternatywnych metodach leczenia czy diagnostyki. Ostateczna decyzja należy do pacjenta, a lekarz ma obowiązek ją uszanować, nawet jeśli w jego ocenie nie jest trafna”.

Jak dotąd bez odpowiedzi. ■

Zarząd Główny
Stowarzyszenia
Dziennikarzy
Rzeczypospolitej Polskiej
prosi o 1%
podatku dochodowego
dla dziennikarzy seniorów

KRS 0000043110



NOŚ MASECZKĘ, DBAJ O ŚRODOWISKO

Być może maseczki
zostaną z nami
na długo, ale musimy
szukać alternatyw
dla jednorazówek,
bo zadusimy planetę

Beata Igielska

Nieśmiałe jaskółki maseczkowej perspektywy wypuszcza wypowiedzią dla CNN dr Anthony Fauci, główny doradca medyczny prezydenta Joeego Bidena: – Możliwe, że Amerykanie będą nosić maseczki także w 2022 r.

– Należy wyrzucić te wszystkie pseudoochrony do kosza – mówi z kolei główny doradca premiera Mateusza Morawieckiego ds. COVID-19 prof. Andrzej Horban. Odnosi się w ten sposób do zastraszania ust i nosa przez Polaków szalikami, bandankami, chustami, a także przyłbicami. – Chodzi o to, żeby używać porządnych masek, przynajmniej tzw. chirurgicznych, nie mówiąc już o maskach z filtrem.

22 lutego br. minister zdrowia Adam Niedzielski doprecyzowuje, co dokładnie rząd chce zrobić, ale

łagodzi stanowisko Horbana. Dobrze wie, że suweren wścieknie się z powodu dodatkowych wydatków, więc noszenie masek z filtrem rekomenduje na miękko. Rząd powołuje się na badania, że kominy, szaliki, chusty, ale i przyłbice nie są skuteczną ochroną (nie blokują wyziewu).

Reakcja społeczeństwa na rządowe zapowiedzi nie powinna być zaskoczeniem. Ludzie są zmęczeni. Noszeniem maseczek, obostrzeniami. Chcą żyć, a nie wegetować. Nawet za cenę zakażenia covidem. Tylko 21% Polaków zapytanych, jakich decyzji rządu w sprawie polityki epidemicznej oczekują w najbliższych tygodniach

**Ludzie są zmęczeni. Noszeniem maseczek, obostrzeniami.
Chcą żyć, a nie wegetować. Nawet za cenę zakażenia.**

(badanie United Surveys dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF opublikowane 23 lutego), akceptuje większe obostrzenia pandemiczne. Z kolei badanie UCE Research i Syno Poland wykonane na zlecenie „Gazety Wyborczej” pokazało, że aż 44,8% rodaków nie aprobuje zmian. Natomiast 43,9% uważa, że rząd słusznie robi, zakazując używania przyłbic, szalików, chust. Na Allegro znów zaczęły się sprzedawać maski – zwłaszcza chirurgiczne.

Nie idźmy tą drogą

– Zakładanie maseczek bawełnianych słabo chroni przed zakażeniem, tak jak zakładanie przyłbicy z pleksi. Liczy się filtr: maseczki są filtrem, przyłbica nie – mówił kilka miesięcy temu w PRZEGLĄDZIE prof. Bolesław Samoliński, kierownik Zakładu Profilaktyki Zagrożeń Środowiskowych i Alergologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. I dodawał, że noszenie maseczki na pustej ulicy jest niepotrzebne. Ma ono uzasadnienie jedynie wtedy, gdy nie jesteśmy w stanie utrzymać odległości od innych osób. Na powietrzu rozrzedzenie wirusa

jest tak duże, że ryzyko zakażenia jest prawie zerowe. Na wszelki wypadek można zakładać maseczkę, gdy rozmawiamy z kimś na zewnątrz w odległości metra.

Zastanawiające jest zatem, dlaczego instytucje ds. zdrowia publicznego forsują noszenie maseczek na powietrzu, gdy nie ma tłumów, nie bacząc na koszty psychologiczne, ekonomiczne i ekologiczne. Niby jak mamy produkować naturalną

witaminę D ze słońca, skoro cała twarz jest wciąż zakryta?

Polak swój rozum ma, pamięta, że poprzednio rozporządzenie o noszeniu maseczek pojawiło się, gdy ówczesny minister zdrowia Łukasz Szumowski robił interes maseczkowy z producentem oscypków *ve/* instruktorem narciarskim. „Całe szczęście, że kolega narciarz miał maseczki, a nie pióropusze albo cewniki...”, kpią internauci. Teraz więc Polak widzi za szybkimi zmianami proponowanymi przez rząd czyjś intratny interes. Oto grupa CIECH, której większościowym

łagodniejszymi objawami tudzież bezobjawowością.

Z kolei Christopher Leffler ze Szkoły Medycznej Virginia Commonwealth University opublikował swoją analizę w sierpniu ub.r. – obserwowano 200 krajów, włączając w to Mongolię, gdzie od stycznia, kiedy nakazano używanie maseczek, do maja nie zanotowano żadnego zgonu z powodu covidu. Nie badano jednak wpływu genów ani innych czynników, np. środowiskowych.

Największym jednak zaskoczeniem okazało się duże badanie przeprowadzone w Danii (wyniki opublikowano

Żadne maski nie mogą być noszone na brodzie czy na bocią, pod nosem. WHO zaleca noszenie maseczek także w trakcie wizyty gości w domu.

Aby zrozumieć, dlaczego maseczki bywają nieskuteczne, trzeba wyjaśnić, że koronawirus (ma 0,1 mikrometra średnicy, dla porównania – włos ma 80 mikrometrów średnicy) nie fruwa sam w powietrzu. Długo utrzymuje się w drobinkach aerozoli. Zbyt drobnych, żeby zostały zatrzymane za pomocą maski chirurgicznej czy nawet tej z filtrem. Maski z filtrem N95 dobrze dopasowane do twarzy blokują ok. 90% aerozoli, ale są badania pokazujące, że zatrzymują jedynie 67%. Ponad wszelką wątpliwość maski są zaporą fizyczną w przypadku wydzielania śliny przy mówieniu, kichaniu czy parskaniu. A ponieważ jednorazowe maseczki chirurgiczne są luźne, odstają od twarzy, drobinka odpowiedzialna za zakażenie – minimalna dawka zakaźna jest mniejsza od jednej drobiny aerozolu – zawsze może się dostać do naszego układu oddechowego. Nawet chwilowe niedopasowanie maseczki chirurgicznej lub tej z filtrem powoduje, że przestają chronić. Zawsze coś może przeniknąć, niezależnie od maseczki, i zarazić się.

Wszelkie badania potwierdzają natomiast wpływ na ograniczenie transmisji covidu higieny rąk w połączeniu z noszeniem maseczek i zachowaniem dystansu społecznego.

WHO zaleca, aby nie nosić maski na nadgarstku, na podbródku, nie

W Niemczech maseczki ochronne FFP2 rozdano ok. 27 mln obywateli z grup wysokiego ryzyka.

akcjonariuszem jest grupa Kulczyk Investments, uruchamia w Bydgoszczy linię produkcyjną wytwarzającą certyfikowane maseczki ochronne klasy FFP2.

Z netu: „Trudno ustalić, gdzie przebiega granica idiotyzmu bezmyślnych zarządzeń. W Czechach chirurg wykonuje operację na otwartym sercu w jednej maseczce chirurgicznej, ale żeby kupić rogali, musi założyć dwie. Nie idźmy tą drogą”. „Na pewno suweren się ucieszy, jak na każde wyjście z domu będzie musiał nakupić kagańców za 10 zł”. Powoływanie się przez polski rząd na Austriaków, Niemców bądź Czechów, którzy wprowadzili nakaz noszenia masek z filtrem, jest nieporozumieniem. W Czechach na początku lutego na co najmniej dwa miesiące rząd zniósł 21-procentowy podatek VAT na maseczki. W Niemczech zaś maseczki ochronne FFP2 rozdano za darmo ok. 27 mln obywateli z grup wysokiego ryzyka.

W jakim stopniu maseczki chronią przed covidem?

Odpowiedź na to pytanie na podstawie badań: to zależy od rodzaju maseczki. – Działają, ale nie są niezawodne. Lepiej dodatkowo zachować dystans społeczny – rekomenduje Monica Gandhi z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco. Badanie z lipca ub.r. przeprowadzone przez jej zespół pokazuje, że maski redukują dawkę wirusa unoszącego się w aerozolach, co skutkuje

w „Annals of Internal Medicine”). Wzięto dwie grupy po 2,5 tys. osób, jedna chodziła w maseczkach, druga bez. Po miesiącu sprawdzono, ile ludzi w każdej grupie się zakażyło. Różnica była niewielka. Wyjaśnienia tej zagadki szukał Adam Kruszewski, z wykształcenia lekarz, specjalizował się w anestezjologii. Jego zdaniem zakażamy się najczęściej w pracy albo w domu. Ani w domu, ani w pracy nie nosimy zaś maseczek, jak podkreślał w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Czy warto zatem w imię tej nieznaczonej różnicy zaśmiecać bez umiaru planetę? Zresztą sama WHO nigdy nie nakazała noszenia maseczek, lecz jedynie rekomendowała, w komunikatach uczciwie przyznając, że badania

Maseczki to groźny odpad medyczny. Lądują na śmietniku, choć powinny być osobno segregowane.

problemu pokazują różne wyniki. Mimo nowych mutacji koronawirusa eksperci WHO nie są przeciwni noszeniu maseczek materiałowych, pod warunkiem że składają się z trzech warstw. Wewnętrzna może być wykonana z bawełny wchłaniającej wilgoć, środkowa, pełniąca funkcję filtra – z polipropylenu, a zewnętrzna – z wodoodpornego poliestru. Nie mówią jednak ci eksperci, jak przez tę kupę sztucznych tworzyw oddychać. Nie przypominają, że podstawą zdrowia jest dobre natlenienie komórek. Stulatkomie badani w tzw. blue zonach żyją tak długo m.in. dlatego, że ruszają się na powietrzu, ciężko pracując.

dotykać jej w trakcie noszenia, myć ręce po zdjęciu, bo na zewnątrz maski może być wirus. Prac w temperaturze 60 st. co najmniej raz dziennie. Inna sprawa, czy z maseczek jednorazowych nie uwalniają się włókna lub substancje szkodliwe, skoro bywają szyte byle jak i byle gdzie? Ten fakt dopiero niedawno stał się przedmiotem dyskusji. Wycofano ze sprzedaży całe partie zanieczyszczonych maseczek. Poza tym na używanej zbyt długo maseczce – wystarczy 30 minut noszenia, by była ciepła i wilgotna – dotykanej nieumytymi rękami, rozwijają się bakterie i grzyby. Kto w Polsce zmienia maskę co pół godziny, skoro

► nawet w bogatej Szwajcarii okazało się to problemem? Tam na zlecenie magazynu konsumenckiego „K-Tipp” przebadano 20 jednorazowych masek używanych przez dojeżdżających do Zurychu. Na 11 znaleziono ponad 100 tys. kolonii bakteryjnych, na 3 – ponad milion! Na 14 mikrobiolodzy stwierdzili groźne gronkowce. Na 15 maskach wykryto pleśń i drożdże. U osób z osłabionym układem odpornościowym wdychanie zarodników może prowadzić do alergii, astmy, zapalenia oskrzeli.

Zużyte maski zalegają wszędzie

Dzika kaczką dusi się sznurkiem od maseczki, bo omotała nim szyję, orzeł w szponach unosi maseczkę. Te fotografie krążące ostatnio na Facebooku przemawiają do wyobraźni. Już w czerwcu ub.r. Włoski Instytut Ochrony Środowiska obliczył, że do końca 2020 r. zostanie wyrzuconych nawet 300 tys. ton maseczek i rękawiczek. Z kolei resort środowiska podał, że dziennie Włosi porzucają 410 ton takich śmieci. W Rzymie wprowadzono mandat 500 euro za wyrzucanie maseczek na chodnik, jezdnię czy trawnik. W połowie zeszłego roku Włosi codziennie używali ok. 37,5 mln jednorazowych maseczek i 80 mln rękawiczek.

Na ulice, do lasów, mórz i oceanów trafiają też pojemniki po środkach dezynfekujących. Koronapadły już na początku pandemii dotarły na niezamieszkane Wyspy Soko. Zresztą w wodach Hongkongu pływają różowe delfiny i zielone żółwie, dla których plastik pachnie jak jedzenie, jeżeli tylko wystarczająco długo był w wodzie i obrósł algami.

Koronaśmieci niełatwo utylizować. Weźmy rękawiczki ochronne. Zgodnie z europejskim systemem recyklingu handel detaliczny i producenci muszą zapłacić za zbiórkę i recykling plastikowych opakowań. Jednorazowe rękawiczki nie są opakowaniem. Nie mogą również być wyrzucane do domowych pojemników na surowce wtórne. Nawet rękawiczki z lateksu – naturalnego produktu, nie są przyjazne dla środowiska, bo do ich produkcji stosuje się dodatki chemiczne. Środowisko zanieczyszcza także opakowania po żywności na wynos. Już przed pandemią rocznie do oceanów

trafiało 13 mln ton plastiku, a do Morza Śródziemnego 570 tys. ton. To tak, jakby co minutę wrzucać do morza 33,8 tys. plastikowych butelek. Maseczki to groźny odpad medyczny. Łądują na śmietniku, choć powinny być osobno segregowane, np. zbierane w foliowe worki i raz w miesiącu oddawane firmie recyklingowej. Szwecja znalazła wirusa w wodzie, bo najpewniej spłynął z tych brudnych maseczek. Skandynawowie są zresztą najbardziej

Jedne badania pokazują, że maseczki będą się rozkładać 350-400 lat, drugie – że 700 lat.

świadomi roznoszenia patogenów na zużytych maseczkach. Szwecja nakazuje wręcz, aby na zewnątrz masek nie nosić.

Jedne badania pokazują, że maseczki będą się rozkładać 350-400 lat, drugie – że 700 lat. Tak czy siak, proces będzie trwał stulecia. Wzrośnie zanieczyszczenie mikroplastikiem wód, pokarmu i na końcu naszych organizmów.

Szukajmy alternatyw

Prof. Hazem Kalaji z Katedry Fizjologii Roślin Instytutu Biologii SGGW i japoński uczony dr Seiya Sato, wirusolog, wynalazca z kilkunastoma patentami, m.in. szybkiego testu wykrywającego gripę, stworzyli maseczkę doskonałą, aktywną, oddychającą, z powszechnie dostępnych roślin, które filtrują wirusy. Dzięki wilgoci i dwutlenkowi węgla z wydechu odbywa się nasilony proces fotosyntezy tych roślin. Zapewnia on dłuższe życie aktywnej maseczki na kilka tygodni, a nawet miesięcy (badania w tym kierunku trwają). Maseczka pachnie „naturą”. Od czasu do czasu można by ją potraktować światłem ultravioletowym w celu dezynfekcji. Rozkładałaby się w środowisku od sześciu do ośmiu tygodni. Brzmi dobrze? Prof. Kalaji na początku pandemii był w wielu stacjach telewizyjnych, pisał o nim ponad 500 portali internetowych. Uśmiał swoim wynalazkiem zainteresować polski rząd.

– Pisałem do wszystkich kluczowych osób w państwie. Prosiłem o pomoc w opracowaniu tego wynalazku jako produktu polskiego. Nie było zainteresowania. Zgłosiliśmy

więc patent w Japonii. Obecnie jest w fazie rejestracji i niebawem będzie opublikowany – opowiada Hazem Kalaji, jeden z najczęściej na świecie cytowanych naukowców. – Teraz w razie potrzeby Polska będzie kupowała nasze maseczki z Japonii. Czy tak powinno być, skoro ludzkość już raczej nie odejdzie od maseczek? Zastanówmy się, co zostawimy na tej planecie naszym dzieciom i wnukom.

Ciekawa jest ta ignoranca postawa polskiego rządu wobec

obiecującego wynalazku. Pamiętajmy też, że po kilkudziesięciu milionów złotych dostały trzy zespoły badawcze: na szczepionkę, lek oraz szybkie testy. Czy ktoś dzisiaj pyta o efekty ich prac? Jest już podobno skuteczna w leczeniu covidu substancja chemiczna, ale proces rejestracji może potrwać nawet pięć lat. A wtedy możemy już mieć kolejną pandemię. Szukajmy zatem alternatyw niekoniecznie w stylu firmy Micrashell, która planuje produkować hełmy dla zamożnych, z systemem wypuszczania powietrza, filtrem N95, rurką do picia napojów, systemem dźwiękowym i kamerkami. Idźmy w kierunku, który wyznaczają prof. Kalaji czy maseczka Halloy Nano wynaleziona przez zespół polskich nanotechnologów. Wykonali już prototyp z tkaniny biologicznie aktywnej, pokrytej wymieszanymi cząsteczkami nanosrebra, tlenków cynku i tytanu, tworząc tzw. nanopłytki. Jest to pierwsza maseczka na świecie, która odkaża pyły i zanieczyszczenia z powietrza, a także grzyby, pleśnie i alergeny. Już otrzymała certyfikat skuteczności. Specjalna powłoka maski jest aktywna przez 15 tygodni, 24 godziny na dobę i w każdych warunkach. Można jej dotykać bez ryzyka przeniesienia wirusa. Można ją prac ręcznie, raz w tygodniu. Twórcy zbierają środki na masową produkcję. Gdzie jest rząd, skoro na podstawie opracowanej technologii naukowcy planują stworzenie m.in. fartuchów ochronnych, słuz medycznych i rękawiczek? Rząd lekką ręką daje pieniądze Tadeuszowi Rydzyskiemu i TVP.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

MSZ od środka. Ciąg dalszy...

Izydorczyk wygrywa z Papierzem

Robert Walenciak

Stało się. Jacek Izydorczyk, były ambasador RP w Japonii, został uniewinniony od zarzutu naruszenia dyscypliny finansów publicznych. Tak oto padł główny pretekst odwołania go z placówki.

Pretekstem tym był fakt, że ambasador jeździł w podróże służbowe, na spotkania oficjalne poza Tokio, na które był zaproszony razem z żoną. I że na koszt ambasady kupował żonie bilety kolejowe i lotnicze. Chodziło o sześć podróży do Kobe, Hiroszimy, Takaoki i Fukuoki. W sumie koszt tych biletów to równowartość... niecałych 5,5 tys. zł. Tę „nieprawidłowość” wykryły dwie trzyosobowe komisje, które w tej sprawie przylatywały do Tokio z Warszawy. Ile kosztowały ich loty, w jakiej klasie się odbywały, ile kosztowały hotele osób z komisji MSZ, to oczywiście już nikogo nie wzrusza. Warto tylko zauważyć, że koszt lotu na trasie Warszawa-Tokio może sięgać kilkadziesiąt tysięcy złotych.

W każdym razie po kontroli rachunków i dokumentów ambasady przeciw Izydorczykowi został skierowany wniosek do Międzyresortowej Komisji Orzekającej przy Ministerstwie Finansów o naruszenie dyscypliny finansów publicznych.

Sprawa ta posłużyła też jako uzasadnienie jego odwołania. Odpowiednio „oprawiona” została puszczona w świat – nagle pojawiły się plotki o rzekomych nadużyciach finansowych ambasadora. Trafiały one i do polityków, i do dziennikarzy. A w radiowych audycjach pytani o Izydorczyka wiceministrowie spraw zagranicznych Marcin Przydacz i Paweł Jabłoński dawali do zrozumienia, że za jego odwołaniem kryje się jakaś straszna afera.

Cóż, teraz możemy poznać jej wagę. 19 lutego Międzyresortowa Komisja Orzekająca w sprawach o naruszenie dyscypliny finansów publicznych wydała orzeczenie, w którym uniewinniła Izydorczyka.



Oczywiście MSZ od orzeczenia może się odwołać, ale już samo upublicznienie zarzutów czyni całą sprawę śmieszną.

Kilka tygodni temu na łamach PRZEGŁĄDU inny odwołany ambasador, Jarosław Suchoples, stawiał tezę, że wszystkie zarzuty finansowe wobec niego i Jacka Izydorczyka miały jedynie zapewnić dyrektorowi generalnemu MSZ Andrzejowi Papierzowi kwit, że słusznie

Międzyresortowa Komisja Orzekająca uniewinniła ambasadora Jacka Izydorczyka od zarzutu naruszenia dyscypliny finansów publicznych.

odwołano ambasadora. W całym tym działaniu chodzi zaś wyłącznie o to, aby obsadzić ambasadorskie funkcje „swoimi”.

A że jest to robione brutalnie? Jacek Izydorczyk na YouTube udostępnił nagranie rozmowy ze swoim zastępcą, który – gdy Izydorczyka odwołano i urlopowano – mianowany został kierownikiem placówki. Z tej rozmowy dowiadujemy się, że dyrektor generalny odciął Izydorczyka od poczty elektronicznej, nie tylko służbowej, ale i prywatnej. I że zabrania mu składania wizyt połączonych szefowi protokołu dyplomatycznego w japońskim MSZ, prezesowi Sądu Najwyższego i w Pałacu Cesarskim. „Wykastrowali pana i wyrzucili pana jaja na mrowisko”, „ja panu współczuję”, mówi *chargé d'affaires*

ad interim, dodając: „Mnie się z panem dobrze pracowało”. Ale to nie miało znaczenia.

Co dalej? Zbliży się termin sprawy, którą Andrzej Papierz wytoczył Jackowi Izydorczykowi. Chodzi o opowieść byłego ambasadora, że Papierz w szintoistycznej świątyni w Kamakurze popisywał się obscenicznymi gestami. Dyrektor generalny na poparcie pozwu zamieścił oświadczenie towarzyszących mu urzędników MSZ, że Jacka Izydorczyka w tym czasie z nimi nie było, bo był przy posągu Buddy, więc jego opowieści, siłą rzeczy, muszą być zmyślone.

Izydorczyk kontratakuje. Po pierwsze, mówi, w świątyniach szintoistycznych nie ma posągów Buddy, bo to dwie różne religie. Po drugie, świątynia buddyjska leży kilka kilometrów od szintoistycznej, nie sposób zatem zwiedzać ich równocześnie ani tak, że na chwilę odchodzi się od grupy. Po trzecie, Izydorczyk ma zdjęcie z tej wycieczki, na których widać, że

grupa wciąż jest razem. I przy jednej, i przy drugiej świątyni. Oskarża więc urzędników MSZ, że aby chronić Papierza, poświadczają nieprawdę, zresztą w nieudolny sposób.

Sprawa zatem wcale nie usycha, przeciwnie – rozwija się. O ile jednak kilka miesięcy temu Izydorczyk był w kiepskiej sytuacji jako osoba co najmniej niepoważna, na której ciążyły zarzuty machlojek finansowych, a Papierz mógł grać rolę niestusznie atakowanego dyplomaty, o tyle teraz role się odwróciły. Izydorczyk jest wolny od zarzutów o nadużycia finansowe, a oświadczenie obrońców Papierza w sprawie tzw. incydentu w Kamakurze rozłazi się w szwach. Ciąg dalszy nastąpi.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Nasza flota jest zwycięska

Czyli jak szorujemy po dnie kadłubem, stawiamy na fregatę i „pomostowe okręty podwodne”

Marek Czarkowski

Nocą 15 lutego br., bez oficjeli i fanfar holownik wyprowadził z Gdyni zbudowany dla Królewskiej Szwedzkiej Marynarki Wojennej w Stoczni Remontowej Nauta kadłub nowego okrętu rozpoznania radioelektronicznego. W przyszłości otrzyma on nazwę TBN „Artemis”, lecz obecnie to tylko niedokończona jednostka o numerze budowy B-104. Można by powiedzieć: okręt w stanie deweloperskim.

Portem docelowym była stocznia Saab Kockums w Karlskronie, w której dokończono by budowę i wyposażono okręt w supertajną aparaturę umożliwiającą podsłuchiwanie z bezpiecznej odległości Rosyjskiej Marynarki Wojennej. Przybycia niezwykłego konwoju spodziewano się w Szwecji następnego dnia.

Taki był finał jednej z większych kompromitacji rodzimego

państwowego przemysłu stocznio-
wego, który miał się odrodzić za rzą-
dów Beaty Szydło i Mateusza Mora-
wieckiego. Cel nie został osiągnięty,
a przy okazji utopiono setki milionów
złotych i zrujnowano reputację zasłu-
żonych niegdyś stoczni.

Antoni wzywa do broni

Sprawa ta miała początek 11 grud-
nia 2012 r., gdy rząd Donalda Tuska
zatwierdził plan modernizacji sił
zbrojnych na lata 2013-2022. Mimo
opatrzenia go klauzulą poufne szyb-
ko wyszło na jaw, że w ramach pro-
gramu „Orka” Polska chce kupić trzy,
w najlepszym wypadku cztery nowe
okręty podwodne. Miały one zastą-
pić pozyskane w latach 2002-2003
od Norwegów, w ramach „progra-
mu pomostowego”, jednostki klasy
Kobben oraz kupiony od Związku
Radzieckiego w roku 1985 okręt
klasy Kilo, który ochrzczono ORP
„Orzeł”. Dziś to jeden z najstarszych

pozostających w służbie okrętów te-
go typu na świecie.

W grę wchodziło trzech ofe-
rentów. Francuzi z okrętami klasy
Scorpène, Niemcy ze swoimi U-
-212CD/214 oraz Szwedzi z projekto-
waną przez concern Saab jednostką
Typ A-26. Wartość kontraktu sza-
cowano na ok. 10 mld zł. Do roku
2015 ekipie PO-PSL nie udało się
dokonać wyboru i zadanie to odzie-
dliczył rząd Beaty Szydło. Przez dwa
lata w tej sprawie przedstawiciele
resortu obrony kierowanego przez
Antoniego Macierewicza prowadzi-
li rozmowy techniczne i finansowe,
konsultowali się ze specjalistami
i potencjalnymi wykonawcami, lecz
decyzja nie zapadała.

Przedstawiciel niemieckiego Thys-
senKrupp Marine Systems zapewniał
stronę polską, że można rozważyć bu-
dowę okrętów podwodnych w Szcze-
cinie. Wszak spółka Vulcan-Werke
Hamburg und Stettin AG słynęła nie-
gdyś nie tylko z budowy pancerników

17 kwietnia 2019 r. w PGZ Stoczni Wojennej zwodowano częściowo wyposażony okręt rozpoznania radioelektronicznego dla Królewskiej Szwedzkiej Marynarki Wojennej.

dla Kriegsmarine. Francuzi gotowi byli zatrudnić polskich robotników w swojej stoczni przy budowie pierwszego okrętu i podjąć szeroką kooperację z naszymi firmami. Szwedzi proponowali udział naszych specjalistów w projektowaniu okrętu Typ A-26, a także nawiązanie bliskiej współpracy z polskimi stoczniami i spółkami przy budowie innych jednostek.

Tuż przed swoim odwołaniem w styczniu 2018 r. Antoni Macierewicz zapowiadał z właściwą sobie dziarskością, że w ciągu kilku tygodni zapadnie decyzja w sprawie pozyskania okrętów podwodnych. Nic takiego nie nastąpiło.

Jednym z efektów ubocznych programu „Orka” było złożenie przez szwedzki koncern Saab w państwowej Stoczni Remontowej Nauta zamówienia na wykonanie platformy statku rozpoznania radioelektronicznego. Czyli częściowo wyposażonego kadłuba okrętu. Ze strony Szwedów był to gest dobrej woli. Uważali, że z tak prostym zadaniem nasza państwowa stocznia sobie poradzi, a oni zyskają lepszą pozycję negocjacyjną. Umowę podpisano 26 kwietnia 2017 r. – To coś, czego w polskich stoczniach nie robiono od dawna, i na pewno krok do przodu – oświadczył ówczesny prezes Nauty Sławomir Latos. Prezes Grupy Saab Håkan Buskhe dodał: – Szukamy partnerów na całym świecie. I tego właściwego w tym przypadku znaleźliśmy wśród naszych sąsiadów.

Zakładano, że po zakończeniu budowy, wodowaniu, wyposażeniu jednostki i wstępnych próbach morskich kadłub statku o własnych siłach dojdzie do stoczni Saab Kockums w Karlskronie, gdzie zostanie ostatecznie wyposażony i przekazany dzielnej Svenska marinen.

Droga przez mękę

Na pierwsze palenie blach w Stoczni Wojennej w Gdyni, która została podwykonawcą Nauty, przyszło poczekać

prawie rok. Odbyło się ono w marcu 2018 r. Trzy miesiące później położono stępkę. 17 kwietnia 2019 r., w obecności polskich i szwedzkich oficjeli, częściowo wyposażony okręt – a właściwie kadłub – dotknął wody opuszczany na podnośniku dokowym PGZ Stoczni Wojennej. Procedurę tę nazwano wodowaniem, a obserwatorom wyjaśniono, że ostateczne wydokowanie odbędzie się za kilka godzin... albo w najbliższych dniach. Tak też się stało. Następnie okręt przeholowano do nabrzeża stoczni Nauta, gdzie miały zostać przeprowadzone prace wyposażeniowe oraz instalacyjne.

Na przełomie lat 2019/2020 podwykonawcy zaczęli schodzić z budowy kadłuba TBN „Artemis”. Nie chcieli dłużej kredytować stoczni.

Część polskich prywatnych podwykonawców, którzy mieli tym się zająć, znalazł Saab i zachęcił do udziału w projekcie. Zgodzili się, choć wiedzieli, że płynność finansowa Nauty, delikatnie mówiąc, może budzić zastrzeżenia. Naiwnie sądzili, że obecność Szwedów daje gwarancję terminowej zapłaty za wykonane prace.

Początkowo opóźnienia w przekazywaniu środków były niewielkie, lecz z czasem sytuacja się

pogorszyła. W końcu zostały jedynie obietnice szefostwa Nauty, że wkrótce pieniądze zostaną przebrane. Na przełomie lat 2019 i 2020 doszło do tego, że podwykonawcy zaczęli schodzić z budowy kadłuba TBN „Artemis”. Nie chcieli dłużej kredytować stoczni i zaczęli się zastanawiać nad złożeniem wniosku o ogłoszenie jej upadłości.

Jednak 15 kwietnia 2020 r. ruch wyprzedzający wykonał zarząd Nauty. Z jego inicjatywy przed sądem zostało otwarte przyspieszone postępowanie układowe. W praktyce oznaczało to, że stocznia stara się uciec przed upadłością poprzez

zawarcie układu z wierzycielami, którzy nie mogli otwarcie wystąpić z roszczeniami, lecz powinni się zgodzić na redukcję zobowiązań i rozłożenie pozostałej części na raty. Dla podwykonawców układ oznaczał straty liczone w dziesiątkach milionów złotych. Wpływu na jego kształt także nie mieli, gdyż największym wierzycielem Stoczni Remontowej Nauta okazała się państwowa Polska Grupa Zbrojeniowa. Koncern Saab ▶

Nie chcemy wierzyć, ale odszedł

Andrzej Kratiuk

wspaniały człowiek – życzliwy, pomocny i bezinteresowny, świetny prawnik, wspomagający tworzenie rynkowej gospodarki demokratycznej Polski, dzielny mąż i ojciec, walczący o życie żony i oddany w pełni swoim córkom, współzałożyciel wielu instytucji charytatywnych, pomagający potrzebującym, bezradnym w walce z chorobami nowotworowymi, wieloletni Prezes Rady Fundacji „Porozumienie Bez Barier”, dający nam bezgraniczne poczucie bezpieczeństwa i sensu naszych działań, a nade wszystko nasz niezawodny przyjaciel od ponad trzech dekad.

Wierny i szczery, pomocny, kochany.

Ani, Basi, bliskim składamy najgłębsze kondolencje

Żegnaj, Andrzeju

Będziesz z nami zawsze obecny

Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy

▶ znał sytuację, ale jedyne, co mógł zrobić... to pocieszyć prezesów prywatnych spółek, których wpuścił w kanał.

Nie wiemy dokładnie, co w roku 2020 działo się na niedokończonej jednostce B-104. Ani Nauta, ani tym bardziej Szwedzi nie komentowali wydarzeń. Odholowanie kadłuba TBN „Artemis” do Karlskrony zamknęło ten jakże krępujący etap w relacjach między szwedzkim koncernem a jego polskimi partnerami. Saab dzielnie przyjął cios i nawet nie pisnął, gdyż nadal otwarta była kwestia zakupu przez nasz kraj łodzi podwodnych. Może się okazać, że i tu się mylił.

Pomostowanie

Zwrot akcji nastąpił 23 lutego br., gdy w programie „Gość Wiadomości” w TVP Info minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak zapowiedział, że polski przemysł stoczniowy, przy zapewnieniu finansowania i „odpowiedniego” nadzoru, jest w stanie wybudować nowoczesną fregatę raketową przewidzianą w programie „Miecznik”. Dodał, że niedopuszczalne byłoby powtórzenie historii, jaka miała miejsce w przypadku korwety „Gawron”, która powstawała ponad 18 lat. Powołał się przy tym na odprawę z udziałem najwyższych dowódców Wojska Polskiego oraz konsultacje z wykonawcami z polskich stoczn. W założeniach programu „Miecznik” nasza Marynarka Wojenna miałaby

zamówić dwie fregaty. Miały one charakteryzować się możliwością obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej, ale na ich pokładzie planowano umieścić także rakiety przeciwokrętowe o zasięgu ok. 200 km.

Minister mówił o tym również w „Sygnałach Dnia” na antenie Programu I Polskiego Radia. I – co najistotniejsze – wyjaśnił, dlaczego będziemy budowali fregatę, a zamówienie okrętów podwodnych w ramach programu „Orka” odsuwamy w czasie. – Niestety, przeciągają się negocjacje z partnerem szwedzkim w sprawie kupienia zdolności pomostowej, a więc używanych okrętów podwodnych ze Szwecji. Negocjacje nie idą w dobrym kierunku. Zaniepokojeni jesteśmy czasem, jeśli chodzi o możliwość pozyskania tych okrętów, i ceną – powiedział minister.

Realizowany przez PiS „program odbudowy polskiego przemysłu stoczniowego” to pasmo kompromitujących wpadek.

Błaszczak mówił o dwóch wybudowanych przez koncern Saab jednostkach klasy A-17/Södermanland, które były nowoczesne na przełomie lat 80. i 90. Podobno Szwedzi gotowi byli odstąpić je nam za miliard złotych. Do tego należałoby dodać koszty remontów i ewentualnego wyposażenia w nowoczesne systemy uzbrojenia. A i tak nadal byłaby to „pomostowa flota okrętów podwodnych”, która wzbudzałaby uśmiech politowania potencjalnego

przeciwnika. Wydaje się, że ogłoszenie przez ministra Błaszczaka planów budowy fregaty w ramach programu „Miecznik” było próbą zmiękczenia Szwedów. Może odpuszczą i sprzedadzą taniej? Albo oddadzą w leasing lub prześlą za darmo w ramach odszkodowania za potop?

Bądźmy realistami. Realizowany przez Prawo i Sprawiedliwość „program odbudowy polskiego przemysłu stoczniowego” to pasmo kompromitujących wpadek, których symbolem jest oślawiona szczecińska stępka nieistniejącego promu. Już nie wspominam, że Stocznia Gdańska, szczecińska Gryfia czy właśnie Nauta bez potężnego, liczonego w setkach milionów złotych wsparcia ze strony państwowych spółek i funduszy dawno zostałyby zlicytowane i zaorane.

Wyobraźmy sobie, że zamówienie na fregatę zostanie ulokowane w takiej upadającej państwowej firmie. Pod hasłem „ratowania polskiego przemysłu”! A wtedy kadłub jednostki obiecanej przez ministra Błaszczaka zostanie zwodowany po dziesięciu latach. I to w wariantcie optymistycznym.

Znam tylko jedną polską stocznice, która mogłaby się podjąć takiego zadania. To dawna gdańska Stocznia Północna, obecnie Remontowa Shipbuilding SA, która ma jednak poważną wadę – to spółka prywatna i nie trzeba jej ratować.

Wykonawca musiałby też kupić projekt fregaty, zapewne od ThyssenKrupp Marine Systems lub francuskiej Naval Group, o blachach, rurach, silniku, farbie i całej reszcie nie wspominając. A koszt wyposażenia bojowego okrętu może sięgnąć 70% ceny. Lekko licząc, Marynarka Wojenna musiałaby więc wyłożyć od 1,5 mld do 2 mld zł za taką jednostkę. I to pod warunkiem, że nikt z dowództwa ani ministerstwa by się nie wtrącał! Bo inaczej po kilkunastu latach, w finale, zaśpiewamy chórem: „Nasza flota jest zwycięska...”. Każdy, kto służył, wie, co dalej.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Z ogromnym bólem i smutkiem żegnamy

Andrzeja Kratiuka

wspaniałego człowieka, wybitnego prawnika, wrażliwą osobę
bezinteresownie pomagającą setkom ludzi w potrzebie,
Prezesa Rady Fundacji „Porozumienie Bez Barier”.

**Jesteśmy wdzięczni, że mogliśmy się spotkać na wspólnej drodze,
zachowamy Cię na zawsze w naszej pamięci.**

*Fundatorzy, Członkowie Rad, pracownicy i współpracownicy
Fundacji Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie Bez Barier”
oraz
Fundacji Aleksandra Kwaśniewskiego „Amicus Europae”*

Z Galicji



Jan Widacki

Kraj pod znakiem szczęśliwej wroźby

Jeden z twórców socjologii, Émile Durkheim, twierdził, że z istnienia przestępczości jest przynajmniej taki pożytek, że dzięki niej wiemy, jakie są granice społecznie akceptowanych zachowań. Jeśli wiemy, co jest przestępstwem, tym samym wiemy, co przestępstwem nie jest.

Ale odróżnienie przestępstwa od nieprzestępstwa wcale nie musi być łatwe ani oczywiste. W takiej sytuacji to sądy swoim orzecznictwem dokonują oceny, czy czyjeś zachowanie podpada pod zakaz karny. Prawnicy powiedzieliby: czy wypełnia znamiona przestępstwa. Weźmy taki przepis Kodeksu karnego: „Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby – podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech”.

Albo taki: „Kto publicznie nawołuje do popełnienia występuku lub przestępstwa skarbowego”, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch. A gdy „nawołuje do popełnienia zbrodni” – podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech. Albo taki: „Kto nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych...” (tu grozi kara do dwóch lat pozbawienia wolności). Aby kogoś oskarżyć, a tym bardziej skazać za któreś z tych przestępstw, trzeba ocenić, czy jego zachowanie było rzeczywiście „znieważaniem”, „nawoływaniem”, czy powodem znieważenia była rzeczywiście przynależność narodowa, etniczna, rasowa itd. Czy to „nawoływanie” było rzeczywiście nawoływaniem do nienawiści...

Wiktoria „Viki” Gabor, romska dziewczyna reprezentująca Polskę, zwyciężyła w dziecięcym konkursie Eurowizji. Pogratiulował jej nawet prezydent Andrzej Duda. Ale prawdziwi Polacy nie lubią Romów. Nie lubią zresztą też Żydów, Ruskich, Pepików, Szwabów, Ukraińców... Mało kogo poza sobą lubią. Pojawiły się więc „patriotyczne” wpisy w internecie. Jeden wpisujący, którego żarliwy i wielki patriotyzm był odwrotnie proporcjonalny do znajomości ortografii, orzekł: „to nawet polka nie jest, tylko szwabska cyganka”. Nieładnie, panie patrioto, ojczyście ortografii pan nie zna, a to, że Polka pisze pan małą literą, to już grzech podwójny!

Inny patriota, dumny ze swojej polskości, byłby też dumny, gdyby konkurs Eurowizji wygrała prawdziwa

Polka („genetyczna Polka”, jak mawia czasem prawica). Nawet ma chyba pretensje do Viki Gabor, że to ona wygrała, bo może tym samym wyeliminowała jakąś prawdziwą Polkę z blond warkoczem. Zadumał się więc i tylko internetowo westchnął z rozżaleniem: „Dumni? My? Chyba Cyganie”.

Kolejny prawdziwy patriota idzie jeszcze dalej. Zwycięstwo romskiej dziewczyny w konkursie Eurowizji tak go zdenerwowało, że przyrównał ją (a może chodziło mu o wszystkich Romów, bo wyraził się niezbyt jasno, polszczyzna sprawia mu ewidentnie trudność) do chwastu i jeszcze dowcipnie zapytał, czy „nie ma kto kanistra z ropą”, bo trzeba wrywać chwasty.

Prokuratura, a w ślad za nią Sąd Rejonowy dla Krakowa-Krowodrzy uznały, że te wpisy znamion przestępstwa nie zawierają. Uzasadnienie sądu pomijam. Po trosze z liłości. Wszystkie te wpisy oczywiście nie miały żadnego związku z tym, że Viki Gabor jest Romką, czyli – jak wolą przywiązani do tradycji prawdziwi Polacy – Cyganką. Ale postanowienie sądu jest prawomocne. Wiemy zatem,

Ksenofobii nie wypienią prokuratura ani sąd. Dla takich postaw nie może być społecznego przyzwolenia. A jest!

co jest przestępstwem, a co nie. Wynika z tego, że bezkarnie można otworzyć drzwi sali rozpraw sądu rejonowego (byłe nie w czasie rozprawy, bo to już byłoby zupełnie inne przestępstwo) i na widok sędzi krzyknąć sobie radośnie: „A co to tam za stołem siedzi? Jakaś szwabska cyganka!”. Nazwanie kogoś „szwabską cyganką” nie jest bowiem obraźliwe.

Można również wejść do prokuratury i na widok prokuratorów krzyknąć: „Trzeba te chwasty wrywać! Nie ma kto kanistra z ropą?”. To też jest zachowanie dozwolone.

Można także na budynku prokuratury wymalować swastykę. Która w rozumieniu prokuratury (białostockiej, jeśli się nie mylę) jest tylko symbolem słońca lub znakiem szczęśliwej wroźby. A co? Nie życzymy prokuraturze, by jaśniała jak słońce? Nie życzymy jej szczęścia?

Inna rzecz, że chamstwa, głupoty czy ksenofobii nie wypienią prokuratura ani sąd. Dla takich postaw nie może być społecznego przyzwolenia. A jest! To zadanie dla szkoły (nawet tej nauczającej zdalnie) czy dla Kościoła. Nie bardzo jednak widać, aby się do takiej misji poczuwały.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Kto (naprawdę) nas namierza?

Platformami społecznościowymi kierują nie sympatie polityczne, ale logika zysku

Rozmawia Michał Sobczyk

Facebook, Twitter i YouTube stały się jednymi z głównych kanałów komunikacji. Ogromny zakres danych, jakie zbierają na temat użytkowników, oznacza dla polityków możliwość dopasowywania przekazu do indywidualnych poglądów czy obaw wyborców.

– Prześledzenie rzeczywistej skuteczności spersonalizowanych reklam politycznych jest niezwykle trudne, zwłaszcza że są one jedynie elementem szerszych strategii wyborczych. Badania pokazują jednak, że takie reklamy mogą być skuteczne w przypadku osób niezdecydowanych lub tych, które wcześniej nie głosowały. W sytuacji, gdy do wygrania wyborów (np. na szczeblu lokalnym) nie rzadko potrzebne jest zdobycie kilkuset dodatkowych głosów, może to być jęczyzkiem u wagi.

Specyfiką mediów społecznościowych jest także to, że w znacznej mierze decydują za użytkowników, jakie wpisy czy filmy oni zobaczą.

– Duże platformy internetowe są w praktyce kuratorami treści i uwagi. Obiecują nam usługę skrojoną zgodnie z naszymi zainteresowaniami i potrzebami, co wydaje się wartościowe w świecie nadmiaru informacji. Problem w tym, że działanie platform jest tak projektowane, by realizować komercyjne interesy ich twórców, a nie potrzeby użytkowników. Zadaniem serwisów społecznościowych jest zatrzymać naszą uwagę i sprawić, że



KAROLINA IWAŃSKA

– prawniczka, członkini zespołu Fundacji Panoptykon działającej na rzecz ochrony wolności obywatelskich przed zagrożeniami związanymi z rozwojem nowych technologii, zajmuje się koordynacją badań i rzecznictwem na szczeblu unijnym.

spędzimy na nich więcej czasu i zostawimy więcej danych, które wzbogacą nasze profile marketingowe oferowane reklamodawcom. Platformy żerują na podstawowych emocjach, dzięki czemu mogą manipulować naszymi potrzebami.

W 2014 r. wyszło na jaw, że Facebook przeprowadził eksperyment psychologiczny na 700 tys. użytkowników, bez ich wiedzy i zgody. Osoby, które widziały mniej pesymistycznych treści, rzadziej tworzyły negatywnie nacechowane posty. I analogicznie – im więcej pozytywnych treści, tym

więcej pozytywnych postów. To tylko przykład z większego eksperymentu, któremu jesteśmy poddawani – platformy nieustannie się uczą na podstawie naszych reakcji oraz reakcji innych i na bieżąco dostosowują swoje działanie.

Kontrola nad tym, jakie treści i w jakiej kolejności wyświetlają się poszczególnym użytkownikom, daje potężną władzę platformom, które stały się tak ważnym źródłem informacji.

– Media społecznościowe są graczami politycznymi w tym sensie, że mają udział w kształtowaniu naszego obrazu świata. I trzeba pamiętać, że tym, jak zarządzają one prezentowaną nam treścią, kierują nie sympatie polityczne, ale logika zysku, nawet jeśli efekt może się wydawać polityczny. Badacze z Northeastern University w Bostonie ustalili, że reklamodawcy polityczni muszą zapłacić więcej za dotarcie do użytkowników o przeciwnych poglądach. Nie oznacza to jednak dyskryminacji takiej czy innej opcji politycznej, lecz wynika z prostego rachunku zysków i strat – statystycznie użytkownicy chętniej zareagują na reklamę, która nie powoduje u nich dyskomfortu. Działanie platform jest tak zoptymalizowane, by nie wywoływać negatywnych emocji, które mogłyby spowodować wyjście z serwisu, dlatego premiuje one treści zgodne z poglądami poszczególnych użytkowników.

Taki model biznesowy mediów społecznościowych sprawia, że z czasem zaczynamy widzieć wyłącznie

argumenty „naszych”. Zagrożenia dla demokracji niektórzy widzą ponadto w zasadach publikacji treści czy blokowania kont. Zwłaszcza środowiska prawicowe widzą w nich współczesną formę cenzury.

– Wolność słowa nie oznacza przyzwolenia na mowę nienawiści czy nawoływanie do przemocy. Ważne jednak, by przy okazji walki ze szkodliwymi społecznie treściami nie zniknęły z internetu treści legalne. W tym kontekście kluczowe jest wprowadzenie mechanizmów, które zwiększą przejrzystość procesu moderacji oraz umożliwią użytkownikom skuteczne odwoływanie się od decyzji platform. Poza możliwością weryfikowania decyzji w sprawie blokad pojawiają się postulaty zewnętrznej kontroli nad samymi regulaminami platform, sprawowanej przez niezależny organ ponadnarodowy lub sąd.

W grudniu Komisja Europejska ogłosiła długo wyczekiwane propozycje w zakresie rynku cyfrowego. Obejmują one także kwestie ważne dla jakości życia publicznego.

– Mowa o dwóch aktach prawnych: o usługach cyfrowych (Digital Services Act, DSA) i o rynkach cyfrowych (Digital Markets Act, DMA). Ten pierwszy reguluje zasady odpowiedzialności platform za umieszczane na nich materiały i wprowadza rozwiązania mające zapewnić przejrzystość reklam oraz kryteriów rekomendowania treści. Jeśli zostanie przyjęty, wszystkie platformy będą musiały nam wyjaśniać, dlaczego zobaczyliśmy konkretny komunikat (np. w związku z przynależnością do jakiej kategorii). Platformy mające powyżej 45 mln użytkowników będą miały dodatkowe obowiązki, np. będą musiały prowadzić publicznie dostępne biblioteki reklam. Będą również zobowiązane wyjaśnić działanie swoich algorytmów personalizujących treść i umożliwić użytkownikom całkowitą rezygnację z personalizacji lub modyfikację jej parametrów. Na przykład samodzielny wybór tematyki postów, które będą pokazywane w pierwszej kolejności, lub decyzję o pokazywaniu postów znajomych przed postami obserwowanych stron.

Z kolei Digital Markets Act jest nastawiony na zwiększenie konkurencji. Formułuje konkretne zakazy i obowiązki dla największych platform, tzw. strażników dostępu. Kilka z tych

regulacji ma duży potencjał – np. zakaz łączenia danych z różnych źródeł może poważnie utrudnić Facebookowi czy Google’owi tworzenie głębokich profili użytkowników, opartych na obserwacji ich aktywności nie tylko na danej platformie, ale również w innych serwisach, które do niej należą (jak Instagram w przypadku FB), oraz na innych stronach internetowych (służą do tego choćby skrypty Google Analytics).

Jak oceniać zaprezentowany pakiet regulacji?

– Przepisy dotyczące moderacji treści mogą znacząco ograniczyć arbitralność platform. DSA wprowadza chociażby możliwość odwoływania się od ich decyzji, również do niezależnego organu, a także gwarancję, że ostatecznych rozstrzygnięć nie będzie dokonywała sztuczna inteligencja (jak często dzieje się obecnie). Niestety, wiele do życzenia pozostawiają projektowane przepisy dotyczące dopasowywania reklam oraz innych treści do użytkowników na podstawie informacji zebranych na ich temat. Dotychczasowe doświadczenia

Platformy żerują na podstawowych emocjach, dzięki czemu mogą manipulować naszymi potrzebami.

pokazują, że zaproponowane wymogi w odniesieniu do przejrzystości są zbyt ogólne i pozostawiają platformom zbyt szerokie pole do interpretacji, przez co istnieje ryzyko, że nie dowiemy się o ich praktykach dużo nowego. Dziwi też brak zakazu dopasowywania reklam do danych związanych ze zdrowiem czy bez wyraźnej zgody użytkownika. Sama przejrzystość, choć kluczowa do weryfikacji nadużyć, to za mało.

Czy nowym unijnym przepisom dotyczącym usług cyfrowych powinny towarzyszyć zmiany w innych sferach, np. w krajowym prawie wyborczym?

– W 2019 r. wspólnie z Fundacją ePaństwo i firmą badawczą Sotrender przeprowadziliśmy badanie „Kto (naprawdę) Cię namierzył?”, dotyczące reklamy politycznej na FB. Wynika z niego, że przepisy naszego Kodeksu wyborczego odnoszące się do prowadzenia agitacji w internecie nie są dostosowane do współczesnych realiów. Komitety wyborcze nie muszą składać osobnych sprawozdań z wydatków

w mediach społecznościowych. Nie ma też obowiązku przedstawiania faktur od platform, w związku z czym częste jest okazywanie zbiorczej faktury od domu mediowego za zarządzanie kampanią. Nie pozwala to zweryfikować, ile pieniędzy faktycznie zostało wydanych na reklamy na platformach ani czy ta kwota pokrywa się z kwotą wynikającą z bibliotek reklam. Nie wspominając o tym, że komitety wyborcze całą dokumentację dostarczają w wersji papierowej, przez co kompleksowa analiza i wykrycie nadużyć są niezwykle trudne.

Na razie władze deklarują jedynie wprowadzenie przepisów chroniących wolność słowa w sieci.

– Pełny tekst ustawy opublikowano dopiero 1 lutego. Niestety, szumne zapowiedzi ograniczenia arbitralności platform nie znalazły w nim odzwierciedlenia. W praktyce ta ustawa będzie chronić wolność słowa w stosunku do wybranych poglądów i niektórych grup, które dziś czują się dyskryminowane. A to dlatego, że nad decyzjami moderacyjnymi platform będzie czuwać Rada Wolności

Słowa, której członkowie mogą być wybierani zwykłą większością głosów w Sejmie, w dodatku nie muszą spełniać zbyt wyśrubowanych warunków (np. mogą być członkami partii). Jeśli dodamy do tego dość swobodne kryteria, którymi rada miałaby się kierować w swoich sądach (będzie mogła chociażby odmówić przywrócenia treści, jeśli uzna, że „naruszają dobre obyczaje”), rodzą się uzasadnione obawy, że poziom ochrony niekoniecznie będzie dla wszystkich równy. W obecnej rzeczywistości politycznej trudno ufać, że taka rada stanie w obronie np. narażonych na blokowanie kont przedstawicieli mniejszości seksualnych.

To nie wszystko – ustawa ministra Ziobry tylnymi drzwiami wprowadza masową inwigilację obywateli. Zgodnie z nią serwisy internetowe mają przez rok przechowywać takie dane jak adresy IP czy aktywność użytkowników w sieci i na żądanie udostępniać je służbom.

Wróćmy do ustaleń waszego projektu badawczego.

– Okazało się, że politycy nie wybierają wyrafinowanych kryteriów dopasowywania reklam, nie prezentują też sprzecznych komunikatów. Zaobserwowaliśmy jednak, że – przy bardzo ogólnych kryteriach adresowania – budżety na poszczególne reklamy były bardzo małe, a więc nie pozwalały na dotarcie do wszystkich użytkowników należących do danej grupy. Tym samym ogromną rolę w wyborze

– W tym momencie jesteśmy w dużej mierze zależni od tego, na co pozwolą nam platformy. Gdy zablokujemy pliki zbierające informacje na temat naszej aktywności, tzw. ciasteczka, możemy stracić dostęp do wielu stron, które nas interesują. Co więcej, nie jesteśmy w stanie zablokować możliwości obserwowania naszego zachowania przez platformy podczas korzystania

usługi, jaką jest platforma społecznościowa. Chodzi np. o funkcjonalne rozdzielenie usługi przechowywania treści (hostingu) od usług ich szeregowania czy personalizowania. Użytkownicy mogliby wówczas wybrać korzystanie z narzędzia dobierającego wyświetlane im posty i filmy dostarczonego przez zewnętrzną firmę lub organizację pozarządową. Byłoby to możliwe, gdyby przepisy nakładały na platformy obowiązek zapewnienia pełnej interoperacyjności danych i protokołów. W miejsce zamkniętych ekosystemów kontrolowanych przez kilka firm pojawiłby się otwarty rynek rozwiązań technologicznych, a użytkownicy mogliby się cieszyć większą kontrolą nad tym, co widzą, i nad tym, jak są wykorzystywane ich dane.

Znaczący i mało przejrysty wpływ na demokrację mogą wywierać także tradycyjne serwisy internetowe. Jakie nieoczywiste zagrożenia łączą się z przejściem portali regionalnych i lokalnych przez państwowy Orlen?

– Dostęp do danych czytelników tworzy ryzyko manipulacji niezależnie od tego, kto nim dysponuje. Wiedza o zainteresowaniach, preferencjach i obawach 17 mln użytkowników, należących do wielu zróżnicowanych grup społecznych, jest wartościowa i pozwala np. wyłapywać tematy o największym potencjale politycznym. Dodatkowo specjalne narzędzia, tzw. piksele, umożliwiają łączenie danych zebranych na temat poszczególnych osób odwiedzających portale z tym, co wiedzą o nich platformy. Dzięki temu właściciel portali może następnie pokazywać ich czytelnikom bardzo precyzyjnie dopasowane reklamy, m.in. polityczne, na samym FB czy w Google'u.

Problem jest jednak dużo szerszy: kupując portale należące do Polska Press, Orlen – a zarazem rząd, od którego ta spółka jest zależna – usankcjonował model działania oparty na masowym naruszaniu prywatności użytkowników. To jednocześnie wystanie innym firmom sygnału, że takie postępowanie jest w porządku, podobnie jak przysmykanie oka na realne problemy rynku mediów – dominację platform internetowych, malejące dochody, spadającą jakość treści.

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

Facebook nie daje użytkownikom realnej kontroli nad tym, jak wykorzystywane są ich dane.

osób, którym ostatecznie wyświetlono daną reklamę, odgrywał sam Facebook, którego oprogramowanie ustalało, dla kogo będzie ona najbardziej odpowiednia. Niestety, nie jesteśmy w stanie zweryfikować powodów, dla których tak się stało, ponieważ narzędzia przejrzystości oferowane przez FB są niewystarczające. Jednocześnie platforma nie daje użytkownikom realnej kontroli nad tym, jak wykorzystuje się ich dane: jakie wnioski są wyciągane na ich podstawie ani które są używane na potrzeby kampanii reklamowych, również politycznych.

Do jakiego stopnia możemy sami przeciwstawiać się praktykom portali społecznościowych – korzystając z udostępnianych przez nie opcji, ale także zewnętrznych narzędzi?

z ich serwisów. Jestem przekonana, że choć stosowanie mechanizmów samoobrony pozwala wysłać firmom sygnał pewnego niezadowolenia, skuteczną kontrolę może zapewnić wyłącznie silna regulacja.

Jeden z czytelników napisał, notabene na FB, że media społecznościowe powinny działać jak telefonia: publiczny protokół wymiany danych i możliwość wyboru aplikacji do obsługi. Pojawia się coraz więcej propozycji radykalnych ingerencji w rynek cyfrowy, łącznie z podziałem największych podmiotów na mniejsze, a nawet ich nacjonalizacją.

– W mojej opinii realna zmiana mogłaby się pojawić na skutek nie tyle podziału wielkich firm technologicznych, ile „rozwarstwienia” złożonej

GŁOSUJ NA STRONIE
WWW.MIESIECZNIK.KRAKOW.PL

PORTRETY 2020
LUDZIE. MIEJSCA. CZASY.
DOBRZE OPOWIEDZIANE.

ZŁOTA DWUDZIESTKA
- najlepsze dzieła biograficzne ubiegłego roku!

NAGRODA CZYTELNIKÓW MIESIĘCZNIKA
„KRAKÓW”

GŁOSUJ
NA SWEGO FAWORYTA!

Kraków
PORTRETY 2020
Szeroki Finał

zaczęty się
w Krakowie

PORTRETY 2020
Szeroki Finał

PORTRETY

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Bezwiedność

W jednym z ostatnich „Tygodników Powszechnych” czytam artykuł prowincjała zakonu augustianów, Wiesława Dawidowskiego. Dowiaduję się, że gdyby nie Jan Paweł II, „nigdy nie przeszlibyśmy przez czerwone morze komunizmu” i „nigdy nie doszłoby do pokojowej transformacji ustrojowej”. Zaraz potem czytam tamże wywiad z Agatą Buzek. W słowach najwyższego uznania rozplątywa się ona nad filmem „Rewers” Borysa Lankosza, w którym swego czasu zagrała główną rolę.

Cóż, każdy ma prawo do własnych poglądów. Wiesław Dawidowski mówi w swym artykule rzeczy słuszne i ważne, Agacie Buzek, renomowanej aktorce, także trudno cokolwiek zarzucić. O co zatem chodzi? O bezwiedność. O to, że mówimy bezwiednie i powtarzamy bezwiednie. I przemilczamy – też bezwiednie. Przy całym przecież szacunku dla Jana Pawła II największą zasługą dla „pokojowej transformacji” ma gen. Wojciech Jaruzelski, bo to on dzierżył wtedy władzę i to on miał do dyspozycji wszystkie resorty siłowe. A film Lankosza wbija się w pamięć akurat sceną, w której – przy oczekiwanej aprobacie widza – ciało zamordowanego przez kochankę Marcina Dorocińskiego rozpłaszcza się z wolna w wannie. Nie powinno się tak traktować ciała człowieka, lecz – jak widać – można tak traktować ciało ubeka.

Bezwiednie więc mówimy o zasługach Jana Pawła II, przemilczając zasługi „komunisty”. Bezwiednie chwalimy film (czy nie za jego „antykomunizm?”), przemilczając jego odrzucający wydźwięk moralny. Rozumiem, że bezwiednie rzucone zdanie o papieżu znajduje się u Dawidowskiego po to, by wzmocnić jego wywody, lecz czy musi iść za tym manipulacja historią (by nie powiedzieć jej fałszowanie)? Rozumiem też, że swego czasu bezwiednie uwiodła Agatę Buzek czarna groteska filmu Lankosza, lecz czy aktorka ta musi w dalszym ciągu zachowywać swój bezkrytycyzm? I czy taką postawę musi także prezentować osoba prowadząca z nią wywiad – Katarzyna Kubisiowska?

Niech nikt nie mówi, że odbieram ludziom prawo do ich poglądów. Gdy kładziemy na szali prawdę i fałsz, humanizm i dehumanizację, moralizm i immoralizm – nie możemy już (przynajmniej taką mam nadzieję) mówić o poglądach, ale o bezwiedności właśnie. Lecz na to też nie sposób się godzić. Bo nie można się godzić ani na automatyczne powtarzanie zastanych wyobrażeń, ani na przemilczanie tego, co do obrazu nie pasuje. Bezwiedność? Bezrefleksyjność? A może po prostu – bezmyślność? Do czegoż nas ona prowadzi, jak nie do moralnego daltonizmu?

**Bezmyślność – do czegoż nas ona prowadzi,
jak nie do moralnego daltonizmu?**

Oczywiście bezwiedność nie jest przypadłością ani „Tygodnika Powszechnego”, ani zaczepionych tu osób – to nasza polska przypadłość. Tymczasem słowa nie są niewinne. Pomyślmy: termin dla naszych rodaków kluczowy – to „komunizm”. Zmarły pół roku temu prof. Andrzej Walicki daremnie przekonywał, że system PRL-owski, a w każdym już razie ten, który ukształtował się po Październiku 1956 r., nie miał z komunizmem wiele wspólnego. Inny termin dla rodaków kluczowy – to „ubek”. Rozciąga się jego znaczenie na cały czas istnienia PRL (o ile nie dłużej), tymczasem UB to jednak nie to samo co SB, i nie chodzi tu tylko o zmianę nazwy. A słowo „opozycjonista”, którym określa się każdego, kto był w opozycji przed kilkudziesięciu laty? Pamiętam, jakie zdziwienie wzbudził kiedyś w Brukseli pewien polski europoseł, który słowo „opozycjonista” miał podczas panelu wypisane na swej wizytówce. Czy w Polsce – pytano w kularach – opozycjonistą jest się dożywotnio? A skróć „PRL”, który w potocznym obiegu oznacza państwo powstałe w roku 1944? Czy Stanisław Mikołajczyk był wicepremierem rządu PRL?

Słowa odarte ze znaczeń dotyczą przy tym nie tylko minionego ustroju, lecz i naszej współczesności. „Solidarność”? Brutalność walki ugrupowań postsolidarnościowych nie tylko z dawnym przeciwnikiem, lecz i między sobą, dawno już przeszła wszelkie wyobrażenia (zabawne, że dziś wszyscy tu sobie zarzucają... komunizm). „Konserwatyzm”? Gdy spojrzymy na „konserwatywne” PiS, ujrzymy w nim raczej rewolucjonizm niż konserwatyzm. Papiery ubecko-esbeckie awansowane do rangi pamięci narodowej, niegdyśjszy prokurator lustracyjny, nazwany rzecznikiem interesu publicznego... A na tym jeszcze siatka przemilczeń, na czele z przemilczeniem największym, najbardziej faryzejskim i najbardziej nikczemnym: odfajkowaniem problemu przerywania ciąży drogą ustaw – tyleż restrykcyjnych, co nieżyciowych. Oto droga, na której doszło do skorumpowania naszego języka i przetrącenia naszego kręgosłupa.

Jedna z części mojej ostatniej książki, „Antykomunizm, czyli upadek Polski”, nosi tytuł „Cywilizacja kłamstwa”. Nadal mieszkamy w tej cywilizacji. Niedawno Jan Hartman, rekonstruując w „Polityce” „oficjalną polską historię, taką z głowy Dudy i Morawieckiego”, napisał: „To czysta mitomania i megalomania, bez styczności z prawdą”. Nadal żyjemy w tej mitomanii. Żyjemy, choć co to za życie. Ale skoro żyjemy, to i wszystko zaklepujemy. Robimy to bezwiednie.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Magia nazwiska wielkiego trenera nie przemija

100-lecie urodzin Kazimierza Górskiego

Maciej Polkowski

Szanowany, lubiany i kochany – przez wszystkich, niezależnie od płci, wieku, wykształcenia i statusu społecznego. Urodził się 2 marca 1921 r. we Lwowie. Jak mówi anegdota, właśnie po to, by było gdzie opisywać jego życie, działalność oraz jakże liczne sukcesy, już 21 maja tegoż roku powstał popularny „Przegląd Sportowy”. Przyznawał: „Cieszę się, że miałem taką możliwość i poznałem wiele ciekawych postaci. Mam takie usposobienie, że bardzo lubię towarzystwo. Może dlatego wybrałem ze sportową dyscyplinę”.

Kiedy pracował w PZPN – i jako selekcjoner, i jako prominentny działacz, i wreszcie jako prezes – najchętniej do pracy szedł na piechotę albo jechał autobusem. Jak tłumaczył, w ten sposób nie musiał z drugiej ręki dowiadywać się, co tzw. przeciętni kibice sądzą o reprezentacji, związkowej centrali i całej naszej piłce. Nie odgrywał jakiegś fałszywej i w ogóle niepasującej do niego roli futbolowej osoby. Magia nazwiska Wielkiego Trenera nie przemija. KAZIMIERZ GÓRSKI – to niewytłumaczalny do końca fenomen jego charakteru, jego osobowości. Każdy, kto go znał, może o sobie powiedzieć, że był szczęściarzem. Ja także.

Nie sposób nie wspomnieć o harmonijnym, pełnym miłości, ciepła i zrozumienia małżeństwie z panią Marią, z którą przeżyli 60 lat! Powtarzała wielokrotnie: „Nie wyobrażam sobie, żeby Kazio przychodził o trzeciej, czwartej po południu z pracy do domu, zakładał kaptcie, zjadał obiad i zasiadał przed telewizorem. Piłka, cały sport jest dla niego drugim życiem”.



Dzięki wyrozumiałości pani Marii, która poświęciła się wychowaniu dwójki dzieci, Urszuli i Dariusza, to wszystko, co najlepsze, mogło się wydarzyć panu Kazimierzowi. Również jego podopieczni często podkreślali, że pani Maria była dla nich niczym druga mama. W książce „Piłka jest okrągła” wspominała: „Kazik to dziwny człowiek. Bardziej troszczył się o innych niż o siebie. Przesadzał, bo czasami ledwo wiązaliśmy koniec z końcem, a on powtarzał swoje – widocznie los tak chciał. Najbardziej wkurzył mnie po mistrzostwach świata w RFN, kiedy komuś z PZPN podarował lekką rączką samochód marki BMW, i to tylko dlatego, że sam otrzymał go w prezencie... Potem setki innych upominków porozdawał zupełnie obcym ludziom”.

Przypominam, w piłkę gramy w jedenastu

„Kazimierza Górskiego także zaliczam do grona gigantów – pisałem w PRZEGŁĄDZIE w lipcu 2017 r. – Wyjątkowa osobowość; prawie wszystko u pana Kazimierza było wyjątkowe. Potrafił się dostosować do każdych »okoliczności przyrody«. Jego charakterystyczne powiedzonka zapisaly się w historii. Trener tysiąclecia miał niezwykle poczucie humoru i umiejętność trafnego puentowania sytuacji. W 1994 r. pojechaliśmy do Stalowej Woli, by sprawdzić, jak przebiegają przygotowania do kolejnych mistrzostw świata drużyn polonijnych. W gabinecie jednego z dyrektorów pan Kazimierz w swoim stylu zasugerował: »Panowie, a może byśmy się piwka napili?«. Po chwili któryś z gospodarzy odrzekł: »Panie Kazimierzu, ale jest pewien kłopot, bo w najbliższym znanym nam browarze właśnie zmienia

ła się dyrekcja«. Minęło kilka minut i znów odezwał się pan Kazimierz: »Panowie, dyrekcja może się zmieniała, ale receptura to chyba nie?«.

Nieprzerwanie, rokrocznie od 2013 r., w pierwszą sobotę października w Kazimierzu Dolnym jest rozgrywany Memoriał im. Kazimierza Górskiego, w którym występują zespoły oldbojów. Podobno w 1974 r., kiedy odnosiliśmy sukcesy na mistrzostwach świata, przebywający wówczas ze znajomymi w Kazimierzu reżyser Janusz Zaorski miał wystąpić do tamtejszych władz, by przemianować nazwę miasta na Kazimierz Górski. Kiedy zapytałem pomysłodawcę, nie zaprzeczył. A tak na marginesie – tablica „Kazimierz Górski” jest przechowywana i już kilkakrotnie się przydała.

Pan Kazimierz bardzo chętnie odwiedzał to wyjątkowe miasteczko. Wiosną 2001 r. pojawił się po raz pierwszy ze swoją słynną armadą, i to w najsilniejszym składzie. Przeciwno miejscowym Orłom zagrali m.in. Grzegorz Lato, Jan Domarski, Włodzimierz Lubarski, Andrzej Szarmach... Podczas przedmeczowej odprawy szef, z charakterystycznym poczuciem humoru, poinstruował: „Panowie, przypominam, że wychodzimy na boisko i gramy w jedenastu”.

Potępiiony za srebrny medal

Rok 1976 był dziwnym rokiem... W ostatnim dniu lipca piłkarze wywalczyli pierwszy w historii srebrny medal olimpijski. W finale w Montrealu przegrali 1:3 z NRD. Oszalałymi sukcesy w poprzednich latach (1972 i 1974) pozbawiły prawie wszystkich racjonalnego spojrzenia. Niedosyt, rozczarowanie, klęska, atmosfera ostracyzmu dały znać o sobie już po przylocie. Były



reprezentacyjny napastnik Grzegorz Lato wspominał: „Powrót z kanadyjskich igrzysk mieliśmy fatalny. Lecieliśmy osobnymi liniami, nie z całą ekipą. Na lotnisku Okęcie nas, było nie było, srebrnych medalistów, potraktowano jak przemytników. Jakbyśmy Bóg wie co przewozili. Był kabaret. Wzięto na rewizję osobistą co drugiego, bo ktoś gdzieś »podkablował«, że przewozimy jakieś towary. Okazało się to wierutną bzdurą. Za srebrny medal dostaliśmy po niecałe 800 dol. plus kieszonkowe i każdy coś tam sobie kupił, dla żony, dzieci,

Kazimierz Górski – prezes PZPN i Maciej Polkowski – redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego”, pierwsza połowa lat 90.

znajomych. A nas potraktowano jak bandę rzezimieszków przewożących narkotyki czy nie wiadomo co”.

Jak się rychło okazało, kanadyjski finał był ostatnim, 68. meczem, w którym Kazimierz Górski poprowadził biało-czerwonych. Po latach z nieukrywaną goryczą wyznał: „Kiedy w 1992 r. Janusz Wójcik zdobył z zespołem srebrny medal olimpijski, zrobiono z tego wielkie hurra. Ale jak ja wywalczyłem taki sam srebrny medal w Montrealu, to mnie potępił... Ot, taka była różnica!”. Wtedy, niejako na ośłodę, otrzymał tytuł honorowego członka Polskiego Związku Piłki Nożnej i kiedy nadarzyła się sposobność – ukrywając rozżalenie – wyjechał pracować za granicę.

W latach 1976-1986 kontynuował trenerską karierę w Grecji, liczne sukcesy odnosił z Olimpiakosem Pireus ▶

LWÓW TO MOJE DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ

Aleksander Pauk

Korespondencja ze Lwowa

Pan Kazimierz wypytywany, czy tęskni za rodzinnym Lwowem, odpowiadał: „Może nie tyle tęsknię, ile często, bardzo często wspominam. Bo przecież Lwów to moje dzieciństwo i młodość. Oczywiście były związane z piłką nożną. Wyjechałem stamtąd do wojska w grudniu 1944 r., a po raz pierwszy odwiedziłem go prawie 50 latów”.

Licealista Górski zakochał się w skórzanej piłce, chociaż własnej nie miał. Z pomocą przyszli koledzy, z którymi kopał futbolówkę na placu za kościołem św. Elżbiety, gdzie został ochrzczony. Rósł i mieszał z rodzicami (ojciec Mieczysław pracował na kolei, matka Zofia była gospodynią domową) w dwupiętrowym budynku przy ulicy Gródeckiej (teraz na tym miejscu stoi uczelnia). To była zwykła robotnicza rodzina.

Od 1934 r. zaczął nosić koszulkę juniorskiej drużyny RKS, a w pierwszej

jedenastce w lwowskiej lidze okręgowej zadebiutował 7 listopada 1937 r. W sumie rozegrał około dwóch tuzinów meczów. Swoją pierwszą bramkę strzelił w ostatnim lwowskim meczu 2 lipca 1944 r., grając w reprezentacji Lwowa przeciwko drużynie KONA. W „Gazecie Lwowskiej” napisano: „Lewy łącznik Górski z podania Sawidowicza piękną główką lokuje piłkę w siatce”.

21 listopada 1990 r. do Lwowa przybyła reprezentacja Krakowa, z którą wrócił do domu Kazimierz Górski. Stało się to po 46-letnim rozstaniu, a dziennikarz z Kijowa Jurij Korzaczenko nazwał pana Kazimierza papieżem polskiej piłki nożnej. Tego dnia odbyło się moje pierwsze spotkanie z legendarnym trenerem. Pan Kazimierz wówczas szczerze obdarzał lwowskich kibiców plakatami, zdjęciami reprezentacji Polski, proporcami i odznakami PZPN, rozdawał też autografy. Dla mnie na książce „Z ławki trenera”.

Latem 2008 r. FC Lwów awansował do Ukraińskiej Premier-ligi. Podczas uroczystości w ratuszu zapytałem

burmistrza Andrija Sadowego, czy w naszym mieście któraś z ulic otrzyma imię Górskiego. Sadowy zawstydzony nic nie odpowiedział.

27 i 28 września 2003 r. we Lwowie spotkali się przedstawiciele polskiej i ukraińskiej federacji piłkarskiej i doszli do wniosku, że są w stanie wspólnie zorganizować finały mistrzostw Europy w 2012 r. Szefowie obu federacji Hryhorij Surkis i Michał Listkiewicz podpisali stosowny komunikat. Wszystko odbyło się pod czujnym okiem dwóch weteranów lwowskiego futbolu urodzonych w 1921 r. – Jurija Żubacha, byłego gracza ST Ukraina, i Kazimierza Górskiego z RKS.

Na budynku przy ulicy Chocimskiej 6, mieszczącym szkołę, do której uczęszczał kilkunastoletni Kazik, 27 maja 2017 r. umieszczono tablicę upamiętniającą słynnego syna Lwowa. Przykre, że od tamtej pory nikt z polskich środowisk i organizacji nie pojawił się chociaż z jednym kwiatkiem lub zniczem. Może w tych dniach?

Kazimierz Górski podczas treningu z piłkarzami warszawskiej Legii, 1981 r.

► i Panathinaikosem Ateny. Wywalczył w sumie pięć tytułów mistrzowskich i trzy puchary kraju, pracował także poza stolicą – w Kastorii i Ethnikosie. W styczniu 1983 r., będąc na zgrupowaniu w Grecji z reprezentacją olimpijską, doświadczyłem ciężaru popularności pana Kazimierza. Pójście z nim na spacer ateńskimi ulicami okazało się zadaniem niewykonalnym. To było powolne przemieszczanie się w otaczającej nas grupie kibiców. Każdy z nich czuł się zobowiązany co najmniej do pozdrowienia trenera, krótkiej wymiany zdań, a wielu dopraszało się uścisku dłoni. Podobnie było w jednej z licznych restauracyjek. Na szczęście znajdowaliśmy się przy placu Omonia, gdzie sklep futrzarski miał Paweł Passias. Były uciekinier z czasów junty czarnych pułkowników znalazł schronienie we Wrocławiu i ożenił się z Polką. Potem wrócił do Grecji



i współpracował z polskimi dziennikarzami, głównie informując właśnie o „Gorskim”. Paweł pomógł nam salwować się ucieczką z restauracji na

zaplecze sklepu. Konsumpcja z całym solidną (przyznaję) popitką odbywała się wśród błamów, futer i kozuchów. Kazimierz Górski promienia!

POCIĄG, ZNACZEK, BANKNOT, MEDAL, SZKOŁA

Adam Godlewski

Świętowanie 100. rocznicy urodzin Trenera Wszech Czasów rozpoczęli związkowcy z PKP Intercity, na wniosek których kolejowa spółka już 13 grudnia 2020 r. uruchomiła połączenie między Rzeszowem i Szczecinem, pod nazwą TLK Górski. Symbolicznego otwarcia linii dokonali na Dworcu Centralnym w Warszawie Dariusz Górski, syn Kazimierza, oraz dwóch jego ulubionych piłkarzy – Lesław Ćmikiewicz i Jerzy Kraska.

Większość wydarzeń związanych z rocznicą urodzin patrona koordynuje Fundacja Kazimierza Górskiego. Poczta Polska 26 lutego wypuściła w milionowym nakładzie poświęcony mu znaczek i koperty pierwszego dnia obiegu. Tego samego dnia swoją odsłonę obchodów – obejmującą całą 19. kolejkę spotkań – rozpoczęła PKO BP Ekstraklasa, która w porozumieniu z fundacją zaprojektowała rocznicową koszulkę. Dla upamiętnienia byłego selekcjonera, ale także trenera Legii i ŁKS, piłkarze wszystkich 16 klubów wybiegli w tym trykocie na przedmeczowe rozgrzewki.

Na 2 marca zaplanowana została emisja banknotu pamiątkowego o nominale 0 euro z wizerunkiem Kazimierza Górskiego. Tak zwany Euro Souvenir z podobizną polskiego selekcjonera ukaże się w limitowanym nakładzie 10 tys. sztuk i zapoczątkuje kolekcjonerską serię „Orły Górskiego”. W stołecznym Muzeum



Sportu zostanie otwarta wystawa „Łączy nas Kazimierz Górski”. Dwa dni później – w dniu imienin Kazimierza – swoją ekspozycję udostępni Muzeum Legii Warszawa. Mennica Polska przygotowała pamiątkowy medal w limitowanym nakładzie 100 egzemplarzy. Na 24 marca wydawnictwo Znak zapowiedziało premierę najnowszej biografii legendarnego selekcjonera, zatytułowaną „Górski. Wygramy my albo oni”, której autorem jest Mirosław Wlekły.

A 24 kwietnia ma się odbyć – przełożona ze względu na pandemiczne obostrzenia z 28 lutego – gala rocznicowa z udziałem wszystkich żyjących Orłów Górskiego. Nakręcone wówczas widowisko zostanie zaprezentowane publiczności – na antenach TVP – w majówkę.

15 lutego Polski Związek Piłki Nożnej ogłosił, że od tego dnia Szkoła Trenerów mieszcząca się w Białej Podlaskiej nosi imię Kazimierza Górskiego. I zapowiedział za pośrednictwem portalu łączy nas piłka dalsze działania dla upamiętnienia Trenera Tysiąclecia. To godne podkreślenia kroki, ale zaskakujące o tyle, że wcześniej prezes Zbigniew Boniek w imieniu PZPN odmówił wspólnych działań rocznicowych z fundacją, nie wsparł jej finansowo, nie przyjął również funkcji honorowego przewodniczącego komitetu obchodów. Jak twierdzą ludzie dobrze znający Zibiego, być może ze uwagi na urazę, jaką ma do trenera Górskiego za niepowołanie go na igryzka w Montrealu (trudno w to uwierzyć – przyp. aut.). Podobno ma własny pomysł na całe obchody.

Patronat honorowy nad obchodami 100. rocznicy urodzin Kazimierza Górskiego objął prezydent RP Andrzej Duda.

Był ubóstwiany – to fakt. Każda informacja o nim była natychmiast komentowana przez żywiołowo reagujących futbolowych fanów. Kiedyś w porannym wydaniu najpopularniejszego dziennika pojawił się tytuł: „Górski powiedział koniec!”. Wszyscy zachodzili w głowę, co to może oznaczać – czyżby coś się wydarzyło i wielki trener ich opuszcza? Kibice tłumnie zjawili się przy stadionie Panathinaikosu. Szybko okazało się, że pan Kazimierz powiedział... „koniec treningu”. Jak widać, chwytano się najróżniejszych sposobów zwiększenia sprzedaży.

Ostatni wywiad

Z Kazimierzem Górskim przeprowadziłem kilkanaście wywiadów. Dla dziennikarza nie tylko zaszczyt, ale i niezwykła przyjemność. Można było go słuchać bez końca. Choćby o tym, że od dzieciństwa bardzo lubił filmy kowbojskie i zawsze był

po stronie Indian. A jak bywa szczególnie zadowolony, to – od czasu do czasu – zapalił dobre cygaro, bo wtedy przy bezbramkowym wyniku z reguły padał gol. Natomiast co do trunków, zawsze twierdził, że jest monarchistą, bo bardzo chętnie pija napoleona.

Kazimierz Górski do pracy chodził na piechotę albo jechał autobusem. Dzięki temu od razu wiedział, co kibice sądzą o reprezentacji.

Wspominał o wyjątkowo przyjemnej dla niego wizycie: „Prawie rok temu (3 marca 2005 r. – przyp. aut.) pojawił się u mnie w mieszkaniu Michel Platini. Towarzyszył mu prezes Michał Listkiewicz. To była bardzo miła rozmowa – z tego, co pamiętam, nie tylko o piłce, ale i o życiowych sprawach. Francuz, jako specjalny wysłannik Seppa Blattera, przekazał serdeczne pozdrowienia od szefów FIFA i UEFA. Jak mi opowiadano po tej wizycie u mnie, chcąc uniknąć dziennikarzy, wymknął się tylnym

wyściem przez podwórko. Tak sobie pomyślałem, jak to dobrze, że nie zna polskiego, bo nie przeczytał tabliczki z napisem: »Zakaz gry w piłkę!«. Ot, proza życia...

Rozmawiałem z nim też 20 lutego 2006 r. Padło wtedy tradycyjne pytanie: „To jak dzisiaj – robimy krótko

czy puścimy longierka?”. W trakcie spotkania mówił jeszcze: „Panie Maćku, sprawdź pan, czy to się nam nagrywa. Nagrywa? No to jedziemy dalej...”. A na zakończenie: „To pan to wszystko później wyszlifuje...”.

Kiedy 23 maja 2006 r. około godz. 8 zatelefonował do mnie Darek Górski z wiadomością, że ojciec nie żyje, zdałem sobie sprawę, że opuszczając 20 lutego mieszkanie przy Madalińskiego 49/51, nawet mi przez myśl nie przeszło, że był to ostatni wywiad.

Maciej Polkowski

Pomóżmy sobie wzajemnie

1% PIT PODARUJ SENIOROM

KRS 0000161452



Fundacja „EMERYT”

ul. Ogrodowa 8, 00-896 Warszawa

tel.: (22) 620 40 44

www.fundacja-emeryt.org; e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org





Mieszkańcy Teksasu czekali godzinami na mrozie w kolejkach, by napełnić zbiorniki propanu.

Bezradność kowbojów

Teksas zamarzł. Trwający od ponad 20 lat eksperyment z prywatyzacją i deregulacją energetyki doprowadził do dramatu

Jakub Dymek

„Bóg dał wam dwie ręce do pracy i głowę, żeby sobie radzić! Ani rząd, ani władze lokalne nic wam nie są winne. Kto nie pracuje, ten nie je. Mam po dziurki w nosie leserów wyciągających łapy po zasiłki. Ruszcie dupsko z kanapy i zajmijcie się swoimi rodzinami, zamiast ciągle czekać na socjał!” – tak mniej więcej wyglądała niedawna wiadomość do mieszkańców miasteczka Colorado City w stanie Teksas, którą burmistrz zostawił na Facebooku. W zwyczajnych okolicznościach skandal, jaki wybuchł po tych słowach, byłby z pewnością dużo mniejszy. O ile w ogóle by kogoś oburzyły. W końcu Tim Boyd – bo tak burmistrz

się nazywał – zaprezentował po prostu nie najgorszą próbkę tradycyjnej teksańskiej ideologii. Według niej *grit*, czyli połączenie zaradności i uporu, oraz dwie sprawne ręce i chęć do pracy to wszystko, czego potrzeba, by sobie poradzić.

Tyle że Boyd postanowił popisać się twardą retoryką, gdy 3 mln gospodarstw domowych i firm było odciętych od prądu, w wielu miejscach tego stanu, większego od Polski, nie było dostępu do wody, władze nakazały mieszkańcom unikać niebezpiecznych i oblodzonych dróg. W Teksas uderzyła bowiem największa od dekad fala mrozów, która odcięła ludzi od podstawowych usług i ściągnęła na nich małą apokalipsę.

Wielu Teksasńczyków rzeczywiście ma niechętny stosunek do władzy,

każdej władzy, a lokalna historia i mitologia podkreślają tradycyjną niezależność stanu. Mówi się o nim nieraz jako o odrębnej „republice” czy „państwie” i chyba częściej niż gdziekolwiek sugeruje secesję. Lokalni politycy – przede wszystkim oczywiście republikanie – mają poglądy podobne do wygłaszanych przez Boyda. Jak gdyby trwały czasy kowbojów, kolonizacji, wojen granicznych i samowystarczalności z XVIII-XIX w.

Jednak Boyd jest już eksburmistrzem, a zimowa katastrofa pokazała, jak boleśnie fantazja na temat niezależności przegrywa z twardą rzeczywistością. Przeszło 20-letni trend prywatyzowania wszystkiego – od więziennictwa po energetykę – mści się dziś na Teksasńczykach w okrutny sposób.

Ropa nie wystarczyła

Gdy dziennikarz „New York Timesa” zadzwonił do kolegi w Teksasie, by nagrać rozmowę o sytuacji na miejscu, rozmówca z południa siedział w samochodzie w dwóch parach ciepłych dresów i polarnej kurtce. Okazało się, że w samochodzie

jest cieplej niż w domu, jest to też jedyne miejsce, gdzie można naładować baterię telefonu. W połowie lutego, w okolicy walentynkowego weekendu, nad tradycyjnie ciepły stan napłynęły burzowe chmury. Burze śnieżne, zamiecie i arktyczne powietrze znad bieguna północnego doprowadziły do poważnej, wielowymiarowej katastrofy w „stanie samotnej gwiazdy”.

Bo surowa pogoda to jedno. Spodziewanym i tragicznym rezultatem ataku zimy były zamarznięcia i przypadki skrajnego wychłodzenia,

próbując ogrzewać dom za pomocą odpalenia samochodu, albo truli się wodą – nieświadomi, że z braku prądu padła sieć jej uzdatniania. Jak to możliwe?

Nieroztropna niezależność

Tragiczną ironią sytuacji w Teksasie jest to, że właśnie duma i legenda tego stanu – jego niezależność – doprowadziła do tak koszmarnej w skutkach eskalacji problemu. „Przynajmniej część odpowiedzialności za niemalże kompletny kolaps

większej liczby źródeł – w przekonaniu, że nigdy jej nie zabraknie. Takie podejście doprowadziło obecnie do dotkliwej katastrofy.

Prywatni operatorzy konkurowali ceną, więc oszczędzali choćby na przygotowaniu swoich elektrowni i sieci na surowe warunki pogodowe. Nie było to zresztą aż tak zaskakujące, bo mrozy w Teksasie należą do rzadkości. Na przykład w Dakocie Północnej wiatraki i gazociągi od razu montuje się tak, by nie przestały pracować w przypadku oblodzenia. W Teksasie trzeba było je odśnieżać

w kosztowny i czasochłonny sposób z użyciem helikopterów. Nieprzystosowane do niskich

Ludzie dusili się, próbując ogrzewać dom za pomocą odpalenia samochodu, albo truli się wodą, gdyż z braku prądu padła sieć jej uzdatniania.

wypadki samochodowe na oblodzonych drogach, awarie i opóźnienia w dostawach wynikające z wiatru, mrozu i słabej widoczności. Już dziś „Texas Tribune” szacuje, że pod względem samych kosztów gospodarczych tegoroczny atak zimy może być najdotkliwszą katastrofą naturalną w stanie. To znaczy, że będzie bardziej kosztowny niż huragan Harvey z 2017 r., gdy straty wyceniono na 125 mld dol. „Skutki odczuje każde z 254 hrabstw stanu Teksas. To sytuacja bez precedensu w historii”, tłumaczył gazecie przedstawiciel jednej z lokalnych firm ubezpieczeniowych.

Jednak na obywateli i gospodarkę spadło coś gorszego niż sam mróz. Sieć energetyczna stanu, który ma

sieci przesyłowej leży po stronie najambitniejszego w skali kraju eksperymentu z deregulacją energetyki”, piszą w swojej analizie problemu reporterzy nowojorskiego „Timesa”. W 1999 r. w Teksasie zdecydowano się przekazać kontrolę nad elektrycznością pajęczynie najróżniejszych spółek i firm zajmujących się produkcją, dystrybucją i sprzedażą energii. „Branża energetyczna tego chciała. Ludzie tego chcieli. Chciały tego też obydwie partie”, przypominają dziennikarze. Ale zarazem pokazują, do czego prowadzi prywatyzacja i deregulacja podstawowych zasobów w sytuacji kryzysu. Nikt nad niczym nie panuje i nie ma do kogo zwrócić się o pomoc.

temperatur rury zamarały lub pękały. W wielu miejscach padły stacje uzdatniania wody albo zawiodły instalacje, więc pojawił się problem z dostępem do wody pitnej.

Jak piszą reporterzy „Timesa”, konieczność konkurencji cenowej i brak sztywnych regulacji skutkuje także tym, że nikt nie rozwija rezerw mocy (przydatnych w sytuacji większego zapotrzebowania właśnie z powodu mrozów) ani zapasowych środków bezpieczeństwa. Tam, gdzie energię dostarcza państwowy czy lokalny monopol, a infrastruktura krytyczna znajduje się w rękach publicznych, częściej też podejmuje się kosztowne inwestycje w stabilność sieci i jej

Teksas nie tylko oddał sektor energetyczny w prywatne ręce, sieć przesyłowa funkcjonuje tu wyłącznie w ramach stanu.

tak wielki potencjał przemysłowy, że w pojedynkę byłby jedną z ekonomicznych potęg świata, padła, jakby wróg zbombardował Teksas w serii śmiertelnych nalotów. Stan, który od ponad stulecia stoi przemyśłem energetycznym – ropę odkryto tu na początku XX w. – utracił dostęp do energii. Mimo że Teksasńczycy cieszą się przywilejem dywersyfikacji źródeł energii, czerpiąc ją z gazu, wiatru, węgla, atomu i słońca, w połowie lutego zamarzali we własnych domach, nie mogli się dodzwonić na pogotowie, internet i telefonia komórkowa zawodziły, a z kranów przestała płynąć woda. Ludzie dusili się,

Bo Teksas poszedł jeszcze dalej. Nie tylko oddał sektor energetyczny w prywatne ręce, ale i rozwijał niezależność energetyczną w jeszcze jednym wymiarze. Sieć przesyłowa nie jest częścią ogólnokrajowej infrastruktury pod federalnym nadzorem, ale w zdecydowanej większości funkcjonuje osobno i wyłącznie w ramach stanu. Od prawie stu lat Teksas rozwijał swoją energię niezależnie i choć kilka katastrof dawało pretekst, by podłączyć się do reszty kraju, nigdy tego nie zrobiono. Zamiast wymieniać się energią z sąsiadami, po prostu produkowano jej jeszcze więcej i z jeszcze

**W najnowszym numerze tygodnika „NIE”:
Kancelarz Hitler popełnia błąd młodości.**



► rozwój. W warunkach prywatnej konkurencji o klienta buduje się tak, by dostarczyć energię jak najmniejszym kosztem. Za cenę ryzyka, że może jej kiedyś zabraknąć lub nie będzie jak jej dostarczyć potrzebującym. I akurat do tego doszło.

Wytykanie wiatraków palcami

Gdy uderzyła zima, przestały pracować elektrownie gazowe i wstrzymany został przesył. Stała się również część wiatraków, a przez chwilę w nocy z 15 na 16 lutego ich udział w produkcji energii spadł niemal do zera. Wyłączono część mocy elektrowni jądrowych, a i węglowe zanotowały zakłócenia. Trzeba uczciwie powiedzieć, że nawet najlepsze prawo nie uchroniłoby części z nich przed awarią. Ale to brak centralnego nadzoru, procedur, środków bezpieczeństwa i połączeń sieci z resztą kraju ściągnął na Teksas największe nieszczęście. Z ofiarami śmiertelnymi włącznie.

Właściwie od razu wybuchł spór o to, czy winna jest energetyka

odnawialna czy tradycyjna. Konserwatywni politycy i gubernator stanu Greg Abbott pierwsi rzucili się do obwiniania „zielonej energii”. Na antenie prawicowej telewizji Fox News prześcigali się w potępianiu planów Zielonego Nowego Ładu Partii Demokratycznej, choć ten na razie istnieje wyłącznie na papierze. W tuzinach wypowiedzi medialnych i tweetów podkreślali, jak nieprzewidywalna i niestabilna jest ekologiczna energetyka, a jak dobre i bezpieczne są paliwa kopalne. Z polemiczną ofensywą ruszyła amerykańska lewica i duża część mediów głównego nurtu. Popularna kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez kazała Abbottowi „wziąć się do roboty na rzecz poszkodowanych przez katastrofę obywateli”, a „po-tem przeczytać jakąś książkę o tym, jak działa przemysł energetyczny w jego własnym stanie”.

Jednak oba te ujęcia nie dotykają sedna problemu. Odnawialna energia nie doprowadziła do katastrofy – bo zawiodły wszystkie źródła. Ale też nie wiatraki i panele

słoneczne uratowałyby Teksas – jest ich za mało, a i one mocno ucierpiały. Inwestycja w zieloną energetykę na pewno nie zaszkodzi, ale by na przyszłość uchronić Teksas przed podobną katastrofą, potrzebna będzie wielka i strukturalna zmiana. Być może przejście na bezpieczniejszy i dla mieszkańców, i dla środowiska model będzie paradoksalnie wymagał jeszcze większych mocy pozyskiwanych z gazu i węgla przynajmniej przez jakiś czas. A może więcej atomu?

To jednak nie z powodu braku energii Teksas dziś cierpi. Problem polega na tym, że przez 20 lat wszystkich interesowało to, czy będzie ona tania lub droga i jak zarobić na niej najwięcej. O resztę miały się zatroszczyć wolny rynek i tradycyjny teksański *grit*. Jak się okazało, nie wystarczyły. Teraz za tę niezależność i pomysł na energetyczną secesję Teksas zapłaci bardzo wysoką cenę.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl
dymek.substack.com




Daj z siebie 1%

Przeznacz 1% podatku i pomóż nam rejestrować nowych potencjalnych Dawców szpiku i skutecznie wspierać Pacjentów chorych na nowotwory krwi.

JAK PRZEKAZAĆ 1% FUNDACJI DKMS?



formularz ePIT



formularz w bezpłatnym programie



tradycyjny formularz papierowy

Wpisz w PIT KRS 0000 318 602
dkms.pl/1procent

1% - tyle wystarczy, by potencjalnych Dawców szpiku było więcej, a Pacjenci otrzymali odpowiednią pomoc!

Fundacja DKMS | ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa | T: +48 22 882 94 34 | darowizny@dkms.pl | dkms.pl



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Stypa

Kościółek jest z początku XVIII w., piękny, barokowy ołtarz, pełna wdzięku drewniana ambona. Trzech starszych panów przepasanych zielonymi szarfami stoi na baczność z chorągwią z napisem „Koło Łowickie Srebrny Lis”. Zmarły też był myśliwym. I porządnym człowiekiem, więc dużo ludzi mimo zarazy. Trumna otoczona wieńcami. Nie przepadam za myśliwymi, irytuje mnie, że tłumaczą się, że strzelają z miłości do zwierząt, a są myśliwymi, bo lubią zabijać, to jest przygoda i zabawa. Ale ta myśliwska warta staje się częścią pogrzebowej ceremonii, a pogrzeb bez ceremonii jeszcze smutniejszy. Idziemy na cmentarz, mały spacer, słońce, pachnie wiosną. Stoimy nad otwartym grobem, ksiądz się modli, obok grób wujka Mariana, żegnaliśmy go pół roku temu, jego imię i nazwisko na płycie, obok imię i nazwisko cici, która właśnie stoi obok mnie i musi je widzieć. Kiedyś pomyślałbym, że to w złym guście, teraz czuję, że nie miałbym na to dowodów, za to łatwo mogę dowiedzieć, że to racjonalne. Trzeźwe pogodzenie się ze stanem rzeczy, a nie udawanie, że śmierć dotyczy wszystkich wokół, a mnie nie.

Stypa w domu zmarłego, jak zawsze bezbrzeżnie smutne przedmioty opuszczone przez tego, co odszedł na zawsze. Kilkanaście osób. Patrzę jak zawsze z podziwem, jak z tych dwóch rodzin, które mają wiejskie korzenie, wyrosła obszer-na roślina, która ma już miejskie, inteligenckie kwiaty. Najpierw było smutno, potem nijako, a teraz, po zupie, w oczekiwaniu na drugie danie, zapanowało powszechne radosne poruszenie, jak zawsze, kiedy głodni za chwilę zaczynają biesiadę. Kulminacją będą ciastka i herbata, kawa i wino. Śmierć zostanie już wtedy zupełnie zajezdona, zagadana, a za chwilę zapita, jakby jej w ogóle nie było, jakby nie istniała. To błogostawione działanie stypy, dział-a na wiele zmysłów i znieczula śmierć.

Rozmawiam z A. – pracuje w MSZ, opowiada o zupełnej stagnacji tego urzędu, Polska już w ogóle nie ma polityki zagranicznej. PiS próbuje wstawiać tam swoich ludzi, nie tylko ministra spraw zagranicznych, który jest ociężałym nietolem, ale ten urząd, jak wiele innych, stawa też wielki opór siłą własnej inercji, na dobre i na złe.

Jaś Lityński utopił się, ratując swojego psa. Dramat rozegrał się na pękającym lodzie. Rozpaliło to wyobraźnię i uczucia ludzi, o ileż bardziej, niż gdyby umarł, jak się teraz pisze, po długiej walce z rakiem. Lubilem go i mam z nim sporo wspomnień, jeszcze z lat 70. Ale mam też żal, Janek był doradcą prezydenta Bronisława Komorowskiego, mam

żał do wszystkich jego doradców, także do kochanego Henia Wujca, że pozwolili mu przegrać z Dudą. Za starzy byli, za uczciwi, za słabo czuli zapach władzy. A ta klęska ma nie-zwykle poważne skutki polityczne i moralne. Rozmawiam z T., który się z nim przyjaźnił, wścieka się na te wszystkie banialuki, jakie opowiada się o Janku, robią z niego świętego, a święty nie był. T. ma rację, ale też wyczuwam w nim żal, że o nim, jak umrze, nie będą tyle mówić.

Oglądamy lądowanie łazika na Marsie, zrobiło to na moich chłopcach wrażenie, a nie byłem tego wcale pewny. Przecież oni ciągle lądują na różnych wirtualnych planetach. Coraz większy kontrast między tym, czego potrafimy dokonać w dziedzinie nauki i techniki, a przyziemną i powszechną głupotą.

Spacer w słońcu u nas, „na wsi”, śnieg na gwałt topnieje, ale jeszcze jest, jeszcze jest zimowy krajobraz. Piję go do dna, bo wiem, że tak białego świata długo nie będę widział. Pachnie przedwiośnią. Różnie pachną pory roku, jak różne zapachy mają kolejne etapy życia – dzieciństwo, młodość, wiek średni i starość. Dzieciństwo smakuje mlekiem i miodem, młodość pachnie świeżo ściętą trawą, wiek średni smakuje krwistym befsztykiem. Na starość zaczyna się czuć zapach siebie samego.

Platforma, jak się zdaje, nareszcie rezygnuje z kompromisu aborcyjnego i opowie się za liberalizacją ustawy. Dużo czasu im to zabrało.

Jestem u znajomej, pożyczam od niej „Judasza”, ostatnią powieść nieżyjącego już Amosa Oza. W domu otwieram książkę na przypadkowej stronie, zaczyna się od słów: „Jezus i wszyscy jego apostołowie byli Żydami z dziada pradziada. Ale w ludowej chrześcijańskiej wyobraźni jedynym, który upamiętnił się jako Żyd – i reprezentuje cały naród żydowski – jest Judasz Iskariota”. Tak. Potem wchodzę na Onet i – zbieg okoliczności – czytam, że Galia Oz, córka izraelskiego pisarza, napisała w swojej biografii: „W dzieciństwie ojciec bił mnie, wyzywał i upokarzał”. A ja uwielbiałem go jako człowieka i pisarza, spotkaliśmy się kilka razy. Promieniował dobrocią i mądrością. Ale czemu córka miałaby kłamać? Ach, te ludzkie piwnice, czasami lepiej ich nie znać, ale wtedy skazujemy się na wiarę w kłamstwo. Czy więc każde dobro jest podejrzane, a mądrość wątpliwa?

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

**Czy każde dobro jest podejrzane,
a mądrość wątpliwa?**

Kalabryjska ośmiornica przed sądem

Największy od lat proces mafii we Włoszech

Tomasz Skowronek

Patrole na skrzyżowaniach, uzbrojeni karabinierzy i policjanci na ulicach, pojazdy opancerzone oraz wojskowy helikopter patrolujący wyznaczony obszar – przy takich środkach bezpieczeństwa w połowie stycznia rozpoczynał się proces stulecia, przeciwko członkom kalabryjskiej mafii 'ndrangheta z Vibonese.

Akt oskarżenia liczy 13,5 tys. stron, a przed sądem stanie ponad 350 oskarżonych, których będzie broniło ok. 600 adwokatów. Wezwano 900 świadków. Ze względów bezpieczeństwa rozprawy będą się odbywać w przypominającej bunkier sali o powierzchni 3,3 tys. m kw. w miejscowości Lamezia Terme nad Morzem Tyrreńskim. Miasto uchodzi za jedno z biedniejszych, ale także za serce 'ndranghety. Oprócz mafiosów na ławie oskarżonych zasiądą przedsiębiorcy, politycy, urzędnicy i policjanci.

Nie byłoby tego procesu, gdyby nie operacja służb pod kryptonimem „Rinascita-Scott” w kilku włoskich regionach – w grudniu 2019 r. aresztowano 334 członków i zwolenników 'ndranghety z prowincji Vibo Valentia. „Wyeliminowaliśmy większość kierownictwa 'ndranghety z Vibo Valentia”, powiedział zaraz po nalożeniu Nicola Gratteri, najbardziej znany prokurator antymafijny na Półwyspie Apenińskim. Każdego roku Gratteri posyła za kratki setki gangsterów, z czego ponad 900 w samym 2018 r. Przez cztery lata monitorował podejrzanych, przesłuchiwał świadków i wyrzutek z mafii, a także śledził wątpliwe przepływy pieniężne. Kilka

znam sposób myślenia członków 'ndranghety, co pomaga mi w pracy”. Choć Gratteri przez prawie 30 lat zajmował się walką z organizacjami przestępczymi, jego największy sukces być może właśnie nadchodzi.

Słowo 'ndrangheta pochodzi z greckiego *andragathia*, co znaczy heroizm, odwaga albo człowiek honoru. Syndykat powstał w odległych górskich wioskach w XIX-wiecznej Kalabrii. Dziś kontroluje 80% europejskiego handlu kokainą, a jego wpływy rozciągają się od Ameryki Południowej przez Australię po Kanadę. Jak zauważa włoski dziennik biznesowy „Il Sole 24 Ore”, organizacja jest bogatsza niż Deutsche Bank i ma wyższe

Akt oskarżenia liczy 13,5 tys. stron, a przed sądem stanie ponad 350 oskarżonych, których będzie broniło ok. 600 adwokatów.

lat temu był też zaangażowany w rozbicie komórek Kalabryjczyków w szwajcarskim kantonie Turgowia oraz w różnych landach niemieckich.

Na łowcę mafii został przez 'ndranghetę wydany wyrok śmierci – od lat prokurator jest na celowniku organizacji przestępczych i musi być chroniony przez całą dobę. „To chodzący trup”, takie zdania pojawiały się wielokrotnie w czasie odsłuchań rozmów telefonicznych gangsterów. Dorastając w zdominowanej przez mafię Kalabrii, Gratteri gardził rodzinami mafijnymi, które terrorizowały społeczność, oraz ich dziećmi, które bezkarnie znęcały się nad rówieśnikami. Postanowił zostać prawnikiem i doprowadzić mafiosów przed oblicze sprawiedliwości. „Znałem mafię od dziecka – gdy jechałem do szkoły autostradą, często widziałem trupy na drodze – wspominał w rozmowie dla Francuskiej Agencji Prasowej, AFP. – Chodziłem do szkoły z dziećmi szefów mafii, na przerwach grałem z nimi w piłkę, a potem widziałem, jak stawały się gangsterami bądź handlarzami narkotyków. Dlatego

obroty niż McDonald's. Pod względem finansowym i wpływów już dawno wyprzedziła sycylijską cosa nostrę i neapolitańską kamorę.

Na temat 'ndranghety krąży wiele legend. Najbardziej rozpowszechnioną jest ta o sile więzów krwi. Wedle oczekiwań synowie mafiosów mają iść w ślady ojców, stopniowo wdrażać się, aby zostać *giovani d'onore* (chłopcami honoru), zanim staną się *uomini d'onore* (mężczyznami honoru). W innych mafiach struktura jest luźniejsza, a członkowie łatwiej się „odrywają”. Historycznie rzecz biorąc, niewielu zdradziło organizację. Z ponad tysiąca osób, które stały się świadkami we włoskich sprawach dotyczących przestępczości zorganizowanej w ostatnich latach, zaledwie ok. 15% to członkowie 'ndranghety. To stwarza poważną przeszkodę w pracowywaniu syndykatu.

„Dzieci z tych rodzin, z tymi nazwiskami, są skazane na śmierć lub uwięzienie – podkreślał w Channel News Roberto Di Bella, sędzia ds. nieletnich. – Te dzieci żyją i oddychają kulturą





Proces toczy się w hali specjalnie zbudowanej do tego celu.

mafijną od najmłodszych lat, kulturą ujarzmienia, przemocy, w tym przemocy, którą można stosować nawet wobec najbliższym krewnych, gdyby złamali zasady honoru”. „Więzy krwi przyczyniają się do tego, że ‘ndrangheta jest tak potężna”. Oderwanie się jest niezwykle trudne”, potwierdza w rozmowie z magazynem „Livepress” Luigi Bonaventura, który 13 lat temu opuścił swoją mafijną rodzinę i zaczął współpracować z policją. Jego dziadkiem był wysoko postawiony gangster Luigi Vrenna, ojciec zaś uczył go, jak zostać mafijnym żołnierzem: „Uczył mnie strzelać, zabijać, znosić ból, aby przyzwyczajać się do przemocy. Broń zastąpiła mi zabawki. W tym świecie nie masz dzieciństwa”.

Kalabria jest jednym z najbiedniejszych regionów Włoch, zapomnianym przez państwo. Mało urodzajne ziemie oraz słabo rozwinięty sektor turystyczny i przemysłowy spowodowały falę emigracji. Dzisiaj zarówno w innych rejonach Włoch, jak i za granicą mieszka cztery razy więcej Kalabryjczyków niż w samej Kalabrii.

‘Ndrangheta traktuje cały region jako feudalne imperium, którym próbuje rządzić poprzez groźby, szantaż, korupcję i, jeśli to konieczne, morderstwa. W wielu częściach Kalabrii jest obecna praktycznie we wszystkich dziedzinach życia publicznego – od ratusza i szpitali po cmentarze,

a nawet sądy. Udziela zamówień publicznych na roboty budowlane i obsadza stanowiska publiczne członkami klanu. Nie akceptuje, gdy na jej terenie rozwija się uczciwa gospodarka. Według szacunków włoskich służb ok. 40 tys. firm w samej Kalabrii płaci mafii *pizzo*, czyli haracz. „W ‘ndranghecie nie chodzi tylko o pieniądze, ale przede wszystkim o demonstrację potęgi, o kontrolowanie terytorium – tłumaczy antropolożka i aktywistka antymafijna Chiara Tommasello z Reggio Calabria. – ‘Ndrangheta próbuje zająć miejsce państwa. Płacenie *pizzo* jest tu prawie tak powszechne jak płacenie podatków”.

Korzystając z firm fasadowych, przestępcy piorą miliony zarobione na handlu narkotykami i inwestują te pieniądze w zakup hoteli, restauracji, salonów samochodowych i innych firm we Włoszech, zwłaszcza w Rzymie i w zamożnych regionach północnych. Kryminolog Federico Varese z Uniwersytetu Oksfordzkiego twierdzi, że nadchodzący proces ujawni, jak mafia jest osadzona w społeczności i zaangażowana w każdą legalną i nielegalną działalność. „Prawdziwą siłą tych rodzin mafijnych jest to, że mają kontrolę nad terytorium i mogą robić prawie wszystko – wyjaśnia Varese i dodaje. – Jeśli chcesz otworzyć sklep, jeśli chcesz coś zbudować, musisz mieć zgodę mafii. Oni tu są autorytetem”.

Ekstremalna brutalność to jeden ze znaków firmowych ‘ndranghety. Nawet jak na standardy mafii członkowie grupy stosują wyjątkowo okrutne metody mordowania lub torturowania. Pierwszy raz głośno o syndykacie zrobiło się w 1973 r., kiedy został porwany John Paul Getty III, 16-letni wnuk najbogatszego potentata naftowego Ameryki, mieszkający wówczas w Rzymie. Sprawa trafiła na pierwsze strony gazet. Kiedy dziadek chłopca odmówił zapłacenia okupu w wysokości 17 mln dol., ‘ndrangheta odcięła wnukowi ucho i wysłała rodzinie pocztą. Ostatecznie porywacze zgodzili się na 2,2 mln dol. okupu i uwolnili zakładnika.

W przeciwnieństwie do niektórych frakcji mafijnych ‘ndrangheta nie ma skrupułów w mordowaniu kobiet i dzieci. Przez lata zabiła ich dziesiątki. Wśród ofiar był trzyletni Nicola Campolongo, postrzelony w głowę w 2014 r., bo mafiosi bali się, że może ich rozpoznać. W 2012 r. sześciu członków gangu uwięziło, torturowało i zabiło 35-letnią Leę Garofalo, dziewczynę członka klanu, która zdradziła policji istotne informacje. Jej ciało gangsterzy rozpuścili w kwasie. Podobno przez trzy dni pilnowali 50-litrowej kadzi z kwasem w wiejskim magazynie, aby się upewnić, że zwłoki całkowicie zniknęły. Dwie inne informatorki zostały zmuszone do wypicia kubków kwasu ▶

► i zmarły w męczarniach. Takich historii jest znacznie więcej.

Obecny proces koncentruje się na jednej rodzinie – grupie Mancuso i jej sieci współpracowników, mających na koncie morderstwa kobiet z rodzin, które próbowały współpracować z prokuraturą. Luigi Mancuso i Giancarlo Pittelli to dwie kluczowe postacie w tym procesie. Obaj zostali sfilmowani przez tajnych agentów, kiedy

Organizacja jest bogatsza niż Deutsche Bank i ma wyższe obroty niż McDonald's.

omawiali interesy w drogich restauracjach w Rzymie. Pittelli jest prawnikiem i byłym posłem oraz senatorem partii Berlusconi Forza Italia. Mancuso natomiast jest szefem klanu o tej samej nazwie w miasteczku Limbadi. Uważany jest za kokainowego króla Kalabrii i według śledczych ma powiązania z kolumbijskimi kartelami narkotykowymi, ich szwadronami śmierci, a także z cosa nostrą, która pomaga rozprowadzać narkotyki. Mancuso utrzymuje kontakty z politykami,

instytucjami i administracją publiczną. Według policji rodzina ta żyła bardzo skromnie i nigdy nie obnosiła się z bogactwem.

Akt oskarżenia opiera się na zeznaniach ok. 20 byłych gangsterów, którzy stali się świadkami koronnymi, co w przypadku tej mafii jest liczbą rekordową. Szacuje się, że sam proces może trwać około dwóch lat.

Eksperti postrzegają go jako wyraźny sygnał ze strony państwa: sądownictwo może pokazać siłę w walce z przestępczością zorganizowaną. Prokuratorzy mają nadzieję,

że proces zada poważny cios nie tylko 'ndranghecie, ale i przestępczości zorganizowanej w południowych Włoszech.

Jeszcze przed jego rozpoczęciem włoskie media porównały obecny proces z tzw. maksiprocesem przeciwko sycylijskiej cosa nostrze – w 1987 r. kilkuset mafiosów zostało skazanych w Palermo na łączną karę 2665 lat więzienia. Jednak w 1992 r. dwóch sędziów śledczych

występujących przeciw mafii zapłaciło za to najwyższą cenę – kilka tygodni po procesie Giovanni Falcone i Paolo Borsellino zginęli w Palermo w zamachach bombowych, wraz z członkami policyjnej eskorty (w zamachu na tego pierwszego zginęła również jego żona). Ataki te należały do najdramatyczniejszych w wojennej historii Włoch, ale jednocześnie oznaczały początek końca starej cosa nostry i narodziny nowej: cichszej i bardziej zainteresowanej infiltracją instytucji niż mordowaniem prokuratorów i sędziów. Choć sycylijska mafia nie upadła, to nigdy nie odzyskała dawnego blasku.

Włosi są świadomi, że taki los nie spotka na razie syndykatu z Kalabrii – wciąż istnieją znacznie potężniejsze jednostki w 'ndranghecie, które nadal mogą działać. Jednak, jak wyjaśniał dziennikarzom Nicola Gratteri, „proces ten da światu wyobrażenie o tym, czym jest dziś kalabryjska mafia”, a także ujawni, jak bliskie są związki między mafią a włoską polityką i biznesem.

Tomasz Skowronek



Fundacja
Dziecięca
Fantazja

Twój 1%

daje siłę i nadzieję
nieuleczalnie
chorym dzieciom

KRS: 0000168783

Czy skutkiem polityki IPN będzie przybywanie fałszywych „wyklętych”?

PRZEMYSŁAW KMIECIAK,
*kampania Przywróćmy pamięć
o Patronach Wyklętych*

Masowy wysyp fałszywych kombatantów raczej nam nie grozi, ale pojedynczych przypadków rzeczywiście można się spodziewać. I choć IPN z pewnością nie zależy na kolejnych kompromitacjach, to właśnie jego polityka prezentowania historii w czarno-białych barwach otwiera pole do takich nadużyć. W kontekście okresu po roku 1945 mamy więc do czynienia z narracją przeciwstawiającą sobie „zło” w postaci osób związanych w jakiś sposób z porządkiem panującym w ówczesnej Polsce oraz „dobro” w postaci osób z różnych powodów występujących przeciwko owemu porządkowi. Tym pierwszym grozi gremialne potępienie, ci drudzy mogą liczyć na bezrefleksyjną gloryfikację. To naturalne, że pojawiają się szalbierze, którzy pragną wykorzystać tę sytuację dla własnych korzyści.

DR HAB. KRZYSZTOF WASILEWSKI,
*historyk, politolog,
Politechnika Koszalińska*

Pierwsze lata powojenne to niezwykle trudny okres w dziejach Polski. Nie sposób jednoznacznie wskazać, która postawa z moralnego punktu widzenia była poprawna, a która zasługiwała na potępienie. Rolą historyków jest dokładne zbadanie każdego przypadku i jego opisanie. Jeśli jednak badania będą prowadzone pod konkretną tezę, można oczekiwać, że lista uczestników zbrojnego podziemia będzie się wydłużać w nieskończoność. Nic bowiem nie stoi na przeszkodzie, aby każdy rabunek czy napad uznać za walkę z władzą komunistyczną. Historia opisana przez PRZEGLĄD (nr 9/2021) dobrze ilustruje, do czego prowadzi ideologiczne zacietrzewienie. Historycy muszą mieć swobodę pracy, inaczej podobnych przypadków będzie znacznie więcej.

DR MIKOŁAJ MIROWSKI,
historyk, publicysta

To pytanie przypomniało mi zabawną historię, gdy w 1924 r., w 10. rocznicę powstania Legionów, Józef

Piłsudski nieco ironicznie zauważył, jak to po latach namnożyło się zwolenników czynu legionowego. A mówiąc poważnie, zawsze znajdziemy ludzi, którzy będą chcieli podkolorować swoją przeszłość. Natomiast czy „moda” na „żołnierzy wyklętych” jest efektem działań IPN? Nie sądzę. Pragnę przypomnieć, że ten fenomen narodził się całkowicie odłownie i dlatego odniósł taki sukces. Mit „wyklętych” jest bardzo nośny. Ma potencjał „antysystemowy”, tragiczny (wielu z tych ludzi, np. autentyczny bohater gen. Fieldorf „Nil”, było w sytuacji bez wyjścia) i wreszcie „romantyczny” (straceńcza walka będąca świadectwem niezłomności). IPN zaczął badać losy „wyklętych” i może się pochwalić ważnymi dokonaniem, choćby „Atlasem polskiego podziemia niepodległościowego 1944-1956”. Takich syntez powinno być zresztą więcej. W pokazywaniu historii „wyklętych” wciąż brakuje mi dostatecznie poważnej rozmowy o nich i przedstawienia obok bohaterstwa także wielu dylematów i ciemnych stron.

DR HAB. KRZYSZTOF MALICKI,
sociolog, Uniwersytet Rzeszowski

Moim zdaniem kwestia „fałszywych »wyklętych«” to jedynie refleks kilku problemów o szerszym znaczeniu. Przywracanie pamięci o „żołnierzach wyklętych” (co jest obowiązkiem IPN) uważam za nie tylko potrzebne, ale wręcz konieczne. Na ich osądzie nadal ciąży balast polityki pamięci z okresu PRL: oczerniania i dezawuowania ludzi w olbrzymiej większości uczciwych i poświęcających życie dla wolnej ojczyzny. Również rodziny wówczas represjonowanych i zabijanych mają prawo dowiedzieć się całej prawdy o ich działalności. Państwo zaś ma obowiązek za pośrednictwem swoich instytucji przybliżyć się do niej i odpowiednio uhonorować swoich bohaterów. Jednocześnie dostrzegam dwa niebezpieczeństwa związane z heroiczno-martyrologiczną polityką pamięci w stosunku do „żołnierzy



wyklętych”. Pierwsze polega na doprowadzeniu do przesytu tym aspektem współczesnej historii Polski i wypaczeniu realnych proporcji w ruchu antykomunistycznym. Można wręcz odnieść wrażenie, że niektórzy kreatorzy polityki historycznej (polityków jeszcze da się tu jakoś

usprawiedliwić, ludzi nauki w żadnym przypadku!) pragnęliby właśnie w „żołnierzach wyklętych” widzieć główną siłę sprawczą polskiej niepodległości, co oczywiście nie pokrywałoby się z prawdą. Drugie niebezpieczeństwo widzę w próbie traktowania wszystkich „żołnierzy wyklętych” jako niepodzielnej całości: jednolicie sformatowanych bohaterów bez skazy, wobec działalności których nie wolno wyrażać żadnych wątpliwości. Tymczasem wiemy, że wśród żołnierzy antykomunistycznego podziemia byli niestety i tacy, którzy dopuszczali się zbrodni, które trzeba opisać i napiętnować. Ich obrona to żadna przysługa dla pamięci o pozostałych, to niebezpieczeństwo fałszerstw i naginania faktów. Pamięć wspólnoty to bowiem nie tylko pamięć o tym, co w jej przeszłości było chwalebne, lecz także o wstydlivych aspektach, które winny być nauką i przestrogą.

ALEKSY WÓJTOWICZ,
czytelnik PRZEGLĄDU



Problematyczne jest samo słowo „wyklęci”. Trudno nazwać w ten sposób te grupy partyzantów, których podobizny zdobią nie tylko naciągane sztuki, ale również fasady banków i którzy wspólnymi staraniami PO i PiS zostali wprowadzeni do kanonu bohaterów dla młodzieży, nawet jeśli mieli na koncie zbrodnie. Słowo „wyklęty” jest atrakcyjne, podobnie jak „antysystemowy”, a im bardziej jest atrakcyjne propagandowo, tym bardziej puste. Dlatego trudno myśleć o „fałszywych »wyklętych«”. Dziadka w NSZ mają rzecz jasna wszyscy, tak jak kiedyś w AK, Legionach Piłsudskiego i Solidarności.

Not. Michał Sobczyk

Bohdan Piętka

Kult powojennego podziemia antykomunistycznego, dla którego przyjęto propagandowe określenie „żołnierze wyklęci”, stał się razem z tzw. dekomunizacją fundamentem polityki historycznej Zjednoczonej Prawicy. Jej celem jest – jak to ujął prof. Bronisław Łagowski – delegalizacja PRL. Opowieść o antykomunistycznym podziemiu przybrała formy karykaturalne szczególnie po 2015 r. Za pomocą wykreowanego mitu o „powstaniu antykomunistycznym”, które miało trwać od 1944 do 1963 r., usunięto z pola widzenia opozycję mikołajczykowskiego PSL, powojenną odbudowę i rozwój kraju oraz Październik '56 i jego następstwa. Natomiast mitem o 180 tys. (a nawet 300 tys.) uczestników tego „powstania” usunięto w cień wojenny wysiłek Polski Podziemnej, w tym Armii Krajowej. Tworząc mitologię „wyklętych”, nie dbano o prawdę historyczną i zaliczono do tej grupy także ofiary stalinizmu, w tym tych, którzy w powojennym podziemiu nie uczestniczyli i byli mu przeciwni, np. gen. Fieldorfa.

Koresponduje to z zupełnym zafałszowaniem historii PRL. Cały okres lat 1944-1989 spięto klamrą z napisem „totalitaryzm” lub „okupacja sowiecka”. Nie ma tam stopniowej ewolucji ustrojowej PRL po 1956 r., awansu społecznego i cywilizacyjnego ogromnych rzesz społeczeństwa, rozwoju kultury czy industrializacji kraju. Jest wyłącznie terror komunistyczny, którym rozgrzesza się zbrodnie „żołnierzy wyklętych”. Dlatego słusznie prof. Andrzej Romanowski zauważył, że „PiS-owska »polityka historyczna« była w istocie wyzwaniem rzuconym Polsce i jej tradycji. Zarówno w Muzeum Powstania Warszawskiego, jak w wystąpieniach prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jak wreszcie w szerzonym przez Instytut Pamięci Narodowej kulcie powojennego »podziemia niepodległościowego«, »żołnierzy wyklętych« i »ostatnich leśnych«, liczyło się tak naprawdę tylko jedno: upływ krwi. To był ten jedyny miernik patriotyzmu (...)”¹.

Wzorzec nowego obywatela

W kulcie „żołnierzy wyklętych” chodzi nie tyle o oddanie sprawiedliwości

Opór przeciw mitologii

PiS i IPN coraz trudniej narzucić kult „żołnierzy wyklętych”



Marsze nacjonalistów napotykają opór mieszkańców Hajnówki, którzy upominają się o pamięć ofiar „Burego”.

uczestnikom podziemia antykomunistycznego i przywrócenie pamięci ofiarom stalinizmu (notabene już przywróconej w epoce przedpisowskiej), ile o wykreowanie nowego wzorca obywatela, nawiązującego do XIX-wiecznej tradycji powstańczej z jej hasłem „wszystko albo nic”. Wzorca wykorzeniającego myślenie w kategoriach realizmu politycznego. Drugim celem jest podsycanie niechęci do Rosji, utożsamianej z ZSRR. Bo przecież „wyklęci” walczyli z „okupacją sowiecką”.

W listopadzie 2015 r. na zebraniu inaugurującym pracę nad Strategią Polityki Historycznej odpowiedzialny za nią w PiS prof. Jan Żaryn stwierdził: „My wszyscy jako Polacy jesteśmy już dziećmi Żołnierzy Wyklętych”. Mylił się, ponieważ kult „wyklętych” spotkał się i nadal spotyka z oporem różnych środowisk, nie tylko lewicowych. Kult ten trafił do przekonania jedynie szeroko rozumianej katolickiej i nacjonalistycznej prawicy. Natomiast w pozostałej części społeczeństwa wywołał m.in. reakcję w postaci upomnienia się o pamięć ofiar zbrodni podziemia antykomunistycznego.

Już w 2007 r. prof. Romanowski stwierdził: „Obecna dziś w społecznym obiegu opowieść o narodowej historii przestaje być *magistra vitae*, staje się nauczycielką bezmyślności, papką dla maluczkich. Tu wszystko, co krwawe, uzyskuje automatyczną waloryzację dodatnią, a wszystko, co stanowi przejaw tak często niekonwencji, idącej pod prąd obiegowych opinii, myśli politycznej, jest automatycznie – jako nieatrakcyjne lub niewygodne – spychane w niebyt. Tymczasem, gdyby poważnie traktować konsekwencje polskiej polityki historycznej, zagraża ona wręcz bytowi narodowemu. Rozumiem bowiem, że można czcić Józefa Kurasia – »Ognia«. Jednak nie można go czcić bez Stanisława Mikołajczyka, Karola Popiela, Eugeniusza Kwiatkowskiego, Stanisława Stommy, bo różnie wyglądały polskie zmagania z niewolą”.

Rok później napisał: „Bo przecież to nie jest tak, że każdy partyzant walczący z bronią w ręku przeciw władzy ludowej zasługuje na automatyczne i bezwarunkowe uznanie. Ruch zbrojny pozbawiony (także przez działanie aparatu terroru) szerszego zaplecza

musiał nieuchronnie wyrodnieć, prze-
radzać się w bandytyzm. (...) Podej-
rzenie, że IPN manipuluje źródłami,
staje się tym bardziej zasadne, że na
konferencjach naukowych o Kura-
siu – »Ogniu« dwukrotnie (10 III 2007
i 25 XI 2008) uniemożliwiono wy-
stąpienie Ludomirowi Molitorisowi.
Człowiek ten, sekretarz generalny To-
warzystwa Słowaków w Polsce, utrzy-
muje, że IPN – szerzący oficjalnie kult
»Ognia« – dysponuje dokumentacją
jego zbrodni. Tyle że jej nie ujawnia”.

Zacieranie granic

Na inny aspekt gloryfikacji pod-
ziemia antykomunistycznego zwró-
cił uwagę publicysta Krzysztof Se-
rafiński. Jego zdaniem pierwotnym
skutkiem wypromowania pojęcia
„żołnierze wyklęci” i ich kultu „było
wrzucenie do jednego zbioru i trakto-
wanie jako jedność wszystkich anty-
komunistycznych partyzantów działa-
jących wtedy w Polsce. (...) Do jednej
grupy wrzucono zarówno tych, którzy
rzeczywiście chcieli żyć w wolnym
i demokratycznym kraju, jak i człon-
ków Narodowych Sił Zbrojnych, Na-
rodowego Zjednoczenia Wojskowego
i pomniejszych formacji, którzy ma-
rzyli o nacjonalistycznym państwie
katolickim i mordowali niczemu win-
nych obywateli polskich niepasują-
cych do tej wizji. Tym samym zaczęto

o narodowo-katolicką dyktaturę, tak
jak Romuald Rajs „Bury”. Jego kult
jest promowany przez obóz rządzą-
cy, pomimo że śledczy IPN stwierd-
zili w 2005 r., iż działania „Burego”
były czystą etniczną o znamionach
ludobójstwa. Ten kult, wraz z pro-
wokacyjnymi marszami nacjonalistów
w Hajnówce, budzi od lat sprzeciw
mieszkańców oraz władz Hajnówki.
„Nie odmawiamy hołdu walczącym
o niepodległą Polskę, ale nie za-
stępują hołd ci, którzy wystąpili
zbrojnie przeciwko ludności cywil-
nej”, napisali w lutym 2020 r. radni
Hajnówki. Od wielu lat tamtejsza
rada miejska przyjmuje stanowiska
krytyczne wobec marszu ku czci „Bu-
rego”, a w 2017 i 2019 r. burmistrz
próbował zakazać marszu, jednakże
sąd te zakazy uchylił.

Serafiński podkreślił jeszcze jeden
ważny kontekst kultu „wyklętych”,
który musi budzić opór moralny.
Przywołał sprawę podwójnego be-
stialskiego morderstwa popełniono-
go w 2015 r. w Legnicy na dwóch
starszych małżeństwach. Sprawca
tych zbrodni tłumaczył przed sądem,
że został „wychowany w domu pa-
triotycznym” i wykonał egzekucję na
„zdrajcach narodu” i „komunistach”.
„Kult Żołnierzy Wyklętych – kon-
kluduje Serafiński – jest więc nie tylko
wypaczeniem historii, ale zakamuflo-
waną pozytywnymi pozorami formą

Do „wyklętych” zaliczono także tych, którzy w powojennym
podziemiu nie uczestniczyli i byli mu przeciwni, np. gen. Fieldorfa.

zacierać granicę pomiędzy walczący-
mi o wolność i zbrodniarzami – po to,
by na ideach tych pierwszych prze-
pchnąć kult tych drugich. Tak więc
faktycznym beneficjentem funkcjono-
wania terminu »Żołnierze Wyklęci« są
członkowie organizacji partyzanckich
o katolickim charakterze. Najczęściej
NSZ – które były nacjonalistyczną or-
ganizacją katolicką, czerpiącą swoją
formę polityczną m.in. z przedwo-
jennego Obozu Narodowo-Radykal-
nego. To do nich zasadniczo odnosi
się to pojęcie – i to oni są pod nim
gloryfikowani”².

Dlatego najważniejsi w państwo-
wym kulcie „żołnierzy wyklętych”
są ci związani z podziemiem nacio-
nalistycznym, którzy walczyli nie
o demokrację parlamentarną, ale

promocji ksenofobii, antywolności-
wych idei, nienawiści i agresji. (...)
Ekspozowanie kultu Żołnierzy Wy-
klętych, powiązane z chęcią uciszania
jego krytyki, jest zresztą dla partii ka-
tolickich nie tylko narzędziem szerze-
nia nienawiści, ale i nośnikiem innych
niejawnych sygnałów kierowanych
do wyborców. (...) W tym wypadku
do własnego, świadomego elektoratu
dociera komunikat sugerujący, że
partia taka gotowa jest akceptować
ksenofobię, agresję, pochwalanie
zbrodni i totalitarnych dążeń”.

W imię pięknej patriotycznej legendy

Spostrzeżenia Serafińskiego po-
twierdził prof. Rafał Wnuk, w latach 90. ▶



WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI
**Morderstwa, gwałty
i rabunki!**
**Zamiast prawdy
gloryfikacja
„żołnierzy wyklętych”**



PAKIET – 150 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta,

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki niereje-
strowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość
wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa
kurierem InPost +14,90 zł.

▶ jeden z badaczy podziemia antykomunistycznego i zwolennik jego upamiętnienia, dzisiaj ostry krytyk kultu „wyklętych”. „Szybko hasło „żołnierze wyklęci” – pisze prof. Wnuk – zaczęło pełnić rolę wielkiego baneru reklamowego skutecznie przesłaniającego obraz minionych wydarzeń. Odwołanie się do emocji i języka komiksu sprawiło, że do odbiorców docierać zaczęła nie zobiektywizowana, oparta na naukowej analizie, rzetelna wiedza historyczna, lecz uproszczony i coraz bardziej zideologizowany przekaz. W tak skonstruowanej opowieści nie ma miejsca na światłocienie, dbałość o szczegóły czy choćby rzetelne przedstawienie faktów. Zrzeszenie »Wolność i Niezawisłość«, Narodowe Siły Zbrojne, Narodowe Zjednoczenie Wojskowe i inne, mniejsze organizacje tracą swe oblicza ideowe i zostają zredukowane do ujednoliconej wspólnoty bojowników straceńców. Z tej wersji »historii« nie wynika, że największa powojenna organizacja podziemna – Zrzeszenie »Wolność i Niezawisłość« – sama siebie nazywała Ruchem Oporu bez Wojny i Dywersji, a ludzie wywodzący się z Armii Krajowej i struktur Polskiego Państwa Podziemnego byli przeciwni kontynuowaniu walki zbrojnej»³.

Pełnej zgody na tak jednostronny przekaz o powojennym podziemiu nie ma nawet w obozie czcicieli „żołnierzy wyklętych”. Publicysta Piotr Zychowicz, autor książki „Skazy na pancerzach. Czarne karty epopei Żołnierzy Wyklętych” (Poznań 2018), chociaż nie neguje słusznej, jego zdaniem, walki podziemia antykomunistycznego, to zdecydowanie sprzeciwia się milczeniu o zbrodniach tego podziemia lub zakłamywaniu ich „w imię pięknej patriotycznej legendy”.

„Jaki jest sens kultu żołnierzy wyklętych?”, pytał w marcu 2018 r. na łamach „Polska The Times” Jakub Bierzyński, przywołując groteskową według niego gloryfikację Brygady Świętokrzyskiej NSZ oraz powojennego podziemia nacjonalistycznego. W 2017 r. prokuratura odmówiła wszczęcia postępowania na wniosek dwóch działaczy PiS przeciw częstochowskiej radnej PO Jolancie Urbańskiej, która publicznie przypominała, że wśród „wyklętych” byli też bandyci. W 2016 i 2017 r. Stanisław Aronson – ocalały z Holocaustu, żołnierz AK i organizacji NIE – zwrócił się do prezydenta RP z listami, w których protestował przeciw kultowi „wyklętych”. „Tworzy się fikcję ze szkodą dla wspaniałej tradycji Polskiego Państwa

Podziemnego i Armii Krajowej”, napisał w drugim z tych listów.

Takie wypowiedzi wzmacnia rosnące grono ludzi nauki, którzy coraz częściej prezentują pozbawione hagiografii prace na temat „żołnierzy wyklętych”. Najnowszym tego przykładem jest opublikowana niedawno książka Mariusza Mazura „Antykomunistycznego podziemia portret zbiorowy 1945-1956. Aspekty mentalno-psychologiczne”, za którą otrzymał Nagrodę Historyczną m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego. Mazur pokazał proces bandycenia się i demoralizacji wielu „wyklętych”, ich nadmierne skłonności do agresji, przemocy czy alkoholizmu.

Przykładów sprzeciwu można podać więcej. Zapewne będzie on narastał tym bardziej, im bardziej groteskowy będzie kult powojennego podziemia w ramach państwowej polityki historycznej. I nie powstrzymają go groźby represji czy zakazy mówienia i pisania prawdy o „wyklętych”.

Bohdan Piętko

¹ A. Romanowski, *Antykomunizm, czyli upadek Polski. Publicystyka lat 1998-2019*, Kraków 2019, s. 114.

² K. Serafiński, *Kult Żołnierzy Wyklętych*, „Liberté!”, www.liberte.pl, 17.08.2018.

³ R. Wnuk, *Wokół mitu „żołnierzy wyklętych”*, „Przegląd Polityczny”, www.przegladpolityczny.pl, 8.10.2016.

Zamordowana przez oddział „Burego”

Tomasz Sulima

Renowacja grobu 18-letniej Marysi Pietruczuk, znajdującego się na cmentarzu prawosławnym w Maleszach (woj. podlaskie), to szlachetne dzieło, którego pomysłodawcami są inicjatywa społeczna Nasza Pamięć oraz Białoruskie Towarzystwo Historyczne z siedzibą w Białymstoku.

Marysia padła ofiarą napadu dokonanego 2 lutego 1946 r. przez pluton Włodzimierza Jurasowa, „Wiarusa”, z oddziału Pogotowia Akcji Specjalnej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, dowodzonego przez Romualda Rajsa, „Burego”. Ze śledztwa IPN wynika, że tego dnia od kul i w płomieniach zginęło pięciu mieszkańców wsi, spośród czterech rannych dwie osoby również zmarły. „W jednym z domów dokonano gwałtu na kobiecie. Wymieniona poddała się napastnikowi, gdyż wcześniej Maria Pietruczuk (18 lat), która stawiała opór napastnikowi, została postrzelona w okolicy klatki piersiowej i pleców. Zmarła w wyniku odniesionych ran 6 lutego 1946 roku w szpitalu



w Bielsku Podlaskim”, czytamy w informacjach końcowych ze śledztwa. Z doniesień prasowych z tamtego czasu wynika, że w domu była inna dziewczyna, która poddała się napastnikowi. Gwałtu dokonało czterech polskich żołnierzy. Zdaniem IPN kryterium doboru ofiar miało być białoruskie pochodzenie i wyznanie prawosławne mieszkańców wsi.

W lipcu 2020 r. Sobór Biskupów Polskiego Autokefalicznego

Kościoła Prawosławnego zaliczył Marię w poczet męczenników chełmskich i podlaskich z okresu 1938-1946, których kanonizacja nastąpiła jeszcze w 2003 r.

Miejsce spoczynku Marysi Pietruczuk ustalili w 2018 r. działacze Naszej Pamięci. Projekt nowego pomnika na jej zaniedbanym grobie stworzył białostocki architekt prof. Jerzy Uścińowicz. Inicjatorzy renowacji grobu proszą o finansowe wsparcie pomysłu i wpłaty na konto:

Białoruskie Towarzystwo Historyczne

nr konta 70 1240 5211 1111 0000 4930 2882

W tytule wpłaty można wpisać: „Pomnik Marii Pietruczuk”.

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nacjonalizm – to się leczy

Teoretycznie dobrą wiadomością jest to, że pod naciskiem protestów i sprzeciwów społecznych szefem wrocławskiego IPN nie został (tzn. został, ale zaraz się podał do dymisji) regularnie i konsekwentnie faszyzujący doktor, z KUL, a także, Tomasz Greniuch, współzałożyciel ONR, organizator wielu demonstracji o antysemitycznym i szowinistycznym charakterze, uwieczniony w geście hitlerowskiego pozdrowienia apologeta Léona Degrelle’a – walońskiego nacjonalisty, hitlerowskiego kolaboranta, nazisty i pułkownika Waffen SS, ultrakatolika. Idąc za ciosem, po wybuchu wrzawy o międzynarodowych echach, prezes IPN Jarosław Szarek w ogóle wyrzucił Greniucha z pracy w instytucie, gdzie ten od dobrych kilku lat miał się świetnie, jak to faszystowski pączek w nacjonalistycznym maśle. Nie ma jednak z czego się cieszyć.

Prawdziwym dramatem i wymiarem patologii, do jakiej doszliśmy pod kilkudziesięcioletnimi rządami katolickiej prawicy – czy akurat była ona zjednoczona, czy rozbita, czy jednocząca się, czy odgrywająca złudną walkę między sobą, w głębi duszy mając niemal ONR-owską wizję naszego kraju jako Katolickiego Państwa Narodu Polskiego – jest to, że w ogóle ktoś taki mógł zostać wymyślony na takie stanowisko, że mógł zostać oficjalnie zgłoszony i w końcu został mianowany.

Problemem nie jest tylko pisowskie flirtowanie ze skrajną, radykalną, bojówkarską prawicą. Problemem jest to, że od lat oglądamy ten sam spektakl pobłażania skrajnej prawicy, niezależnie od jej karygodnych zachowań, przy równoczesnym oskarżaniu wyimaginowanych środowisk lewicowych o rzekomy radykalizm. Nacjonalizm, wyrażający się choćby powszechnością używania słowa narodowy, jest wszędzie, gdzie się da i nie da, oraz jeszcze w kilku dodatkowych miejscach. Mgławica naroduwa skrywa nas właściwie bez wyjątku. To nie są już wątki narodowe, lecz tsunami nacjonalizmu jako głównej linii tożsamościowej, historycznej, politycznej. Zapominamy o fakcie, albo jesteśmy zmuszani do jego przemilczania, że ta choroba nacjonalizacji naszego życia, marzeń, instytucji ma dopiero 200 lat, a nie zawsze występowała z taką oczywistością i niepodważalną wszechobecnością. I oczywiście Polska, ani w skali Europy, ani świata, nie jest tu jakimś wyjątkiem – podobnie jak w wielu innych kwestiach, o czym można przeczytać w pasjonującym krótkim wykładzie o naszej historii w książce amerykańskiego historyka prof. Briana Portera-Szűcsa „Całkiem zwyczajny kraj”. Tak dogmatycznie (choć jest to chyba pogląd, którego nie da się inaczej podzielać i głosić) nacjonalizm dokonuje gwałtu na naszym życiu i historii, odziera nas z innych,

wzbogacających doświadczeń i tradycji Rzeczypospolitej, chociażby walki o niepodległość, walki o demokratyczną II RP, walki z hitlerowskim faszyzmem, odbudowy Polski po wojnie i rewolucji społecznej, która wówczas się odbyła. Do znudzenia powtarzana, a co gorsza, wyznawana i głoszona fraza, że Polską rządzą dwie trumny: Piłsudskiego i Dmowskiego, jest karykaturą poważnego podejścia do własnych dziejów, politycznych walk i przemian. Opowieść o Polsce staje się wierszykiem, który wszyscy tłuką jak maluszki w przedszkolu i szkole, jakbyśmy byli na jakiejś bezustannej akademii polskości nacjonalistycznej. Nie ma nawet szczeliny, przez którą próba zakwestionowania tego paradygmatu mogłaby się wydobyć na powierzchnię.

Wprawdzie zaczyna się to dziać. Robotę wykonują badacze i naukowcy, czasem z daleka, jak wspomniany Porter-Szűcs, Padraic Kenney, Małgorzata Fidelis, czasem z bliska, jak Adam Leszczyński w swojej „Ludowej historii Polski”, Michał Rauszer w „Bękartach pańszczyzny” czy Artur Domosławski w ukazującej się właśnie bardzo ważnej i monumentalnej biografii Zygmunta Baumana „Wygnaniec”. Czy jednak jest tu przestrzeń do myślenia i odczarowania nacjonalistycznej baśni obowiązkowej, płynącej wszystkimi porami edukacji i nauki, poprzez instytucje i politykę faktów dokonanych? Wciąż chciałbym mieć nadzieję, że tak.

W przejmującej ciszy intelektualnej przechodzi właśnie 150. rocznica urodzin Róży Luksemburg, jednej z dwóch Polek powszechnie znanych na świecie – w tym sensie

Nacjonalizm dokonuje gwałtu na naszym życiu i historii.

Polska leży poza światem. W rodzinnym Zamościu niezna- ni, choć instytucjonalni sprawcy skuli przed paroma laty tablicę pamiątkową na domu, który miał udawać jej rodzinny. Róża Luksemburg została wyklęta przez wszystkich, bo Polska nie była najważniejszym wyrazem w jej życiu, myśli, działaniach. Rewolucja, sprawiedliwość społeczna, walka z wyzyskiem – były dla autorki sloganu „Socjalizm albo barbarzyństwo” zawsze istotniejsze. Cały wiek XX, wiek mordujących się nawzajem nacjonalizmów, dowodził, że być może to ona myliła się najmniej. Szczepimy się na nacjonalizm dnia codziennego, szczepionki istnieją. Ale my, Polacy, nie lubimy szczepionek, nieprawdaż?

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

POLEMIKA

Niepoważna historia

Gdyby nie Róża Luksemburg, wszyscy jej bliżsi i dalsi krewni mogliby się podpisać pod oświadczeniem prof. Andrzeja Friszkego

Krzysztof Pilawski

Prof. Andrzej Friszke, prezentując w rozmowie z Robertem Walenciakiem (PRZEGŁĄD nr 8/2021) swoją książkę „Państwo czy rewolucja”, rozróżnia Żydów, którzy zasilali Polską Partię Socjalistyczną, oraz tych, którym bliższa była Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy: „Żydzi opowiadali się za głębokimi zmianami, które ich równouprawnią jako ludzi. To pewną ich część poprowadziło do ruchu socjalistycznego. Do PPS, do SDKPiL. Choć mam wrażenie, że jest pewna różnica. To znaczy głębiej zasymilowani do polskości przeważnie trafiali do PPS. Gdzie obowiązywał język polski, gdzie była cała tradycja patriotyczno-państwowa. Zorientowani bardziej międzynarodowo wybierali SDKPiL, która była dla nich prostsza. Bo tam nie było żadnego rozróżnienia na narody, nie miało znaczenia, czy ktoś jest Polakiem, Żydem, czy Niemcem”.

Nie wiem, jaką metodę zastosował prof. Friszke do zbadania, ile Polaka jest w konkretnym Żydzie, np. w Stanisławie Mendelsonie i Róży Luksemburg. Paradoksalnie bowiem główne dokumenty programowe polskiego ruchu reformistycznego (PPS) i rewolucyjnego (SDKPiL) napisały osoby pochodzenia żydowskiego. W dodatku osoby ze sobą powiązane. Jeszcze na początku studiów w Zurychu Róża udzielała się w emigracyjnym środowisku tzw. II Proletariatu, któremu przewodził Mendelson – wskazują na to m.in. dwa jej listy z marca 1890 r. opublikowane 15 stycznia br. przez dr. Holgera Politta w „Neues Deutschland”. Mendelson i Róża Luksemburg mieli wspólnych krewnych. Na jednym z komentarzy żydowskich w Polsce zachowały się groby osób, do których obydwójce mogli się zwracać: wujku, ciociu, kuzynko.



Mendelson zerwał z socjalizmem po kongresie II Międzynarodówki w Zurychu w 1893 r., pod koniec życia został żłociem prezydenta Światowej Organizacji Syjonistycznej, pisał do żydowskiego „Przeglądu Codziennego”. Róża, która po raz pierwszy zabłysnęła na tym samym kongresie („Młoda, piękna, ale kulawa dama w eleganckiej, wcale nie socjalistycznej, toalecie”, opisywał ją w relacji z tego wydarzenia „Dziennik Poznański”), pozostała wierna swoim przekonaniom do końca.

Ojciec Róży co najmniej rok uczył się w warszawskiej Szkole Rabinów, o której mówiono, że nie wykształciła ani jednego rabina, za to całą rzeszę polskich patriotów.

Róża nie wywodziła się ze środowiska kosmopolitycznych Żydów nieprzywiązanych do polskości. I, co istotne, gdyby nie ona, wszyscy jej bliżsi i dalsi krewni mogliby się podpisać pod oświadczeniem złożonym przez prof. Andrzeja Friszkego we wstępie do „Państwa czy rewolucji”: „Nigdy nie miałem związków z komunistyczną tradycją, nie miał ich także nikt z moich krewnych”.

Ojciec Róży, Edward (Elias), co najmniej rok uczył się w warszawskiej Szkole Rabinów. Mówiono o niej, że nie wykształciła ani jednego rabina, za to całą rzeszę polskich

patriotów. Wśród nich byli mężowie dwóch kuzynek Róży ze strony matki: członek rządu powstańczego Traugutta Bernard Goldman i w ostatniej chwili odprowadzony spod szubienicy Aleksander Sochaczewski – jego obrazy przedstawiające zesłanych na Syberię zdobią Muzeum X Pawilonu.

Nikt z rodzeństwa Róży nie przejawiał skłonności rewolucyjnych. Starsza siostra, Anna, najlepiej czuła się w czterech ścianach mieszkania, nie angażowała się w życie społeczno-polityczne. Najstarszy brat, Mikołaj, wyjechał do Berlina, zajmował się handlem, po ślubie z Angielką uzyskał poddaństwo brytyjskie, mieszkał w Londynie. W marcu 1908 r. aresztowano go w Odessie pod fałszywym zarzutem propagandy rewolucyjnej. Za bezpodstawne dwutygodniowe przetrzymywanie w celi naciskane przez oficjalny Londyn władze carskie przyznały mu odszkodowanie przeszło 20 razy wyższe niż kaucja wpłacona dwa lata wcześniej przez

innego brata Róży, Maxymiliana, za jej uwolnienie z X Pawilonu. Maxymilian prawie 40 lat był przedstawicielem francuskich firm farmaceutycznych. Przed I wojną światową wydawał fachowe pismo medyczne „Miesięcznik Terapeutyczny”, w II RP angażował się w działalność patriotycznej Ligi Morskiej i Rzeczej, zanim przekształciła się ona w sanacyjną Ligę Morską i Kolonialną. Ostatni brat, Józef, był typowym przedstawicielem postępowej inteligencji – cenił się jako lekarz angażujący się w sprawy publiczne: ubezpieczenia pracownicze, medycynę pracy.

W ślady Róży nie poszło żadne z dzieci jej rodzeństwa. Syn Maxymiliana, Jerzy, był legionistą, działaczem Związku Legionistów Polskich, jednym słowem piłsudczykiem. W czasie okupacji trafił na Pawiak, zamordowano go w Auschwitz. Z rąk hitlerowców zginął również jego młodszy brat, uczestnik konspiracji, Antoni. Ich siostra Halina, adwokatka, działała w legalnym stowarzyszeniu – Klubie Politycznym Kobiet Postępowych. W czasie powstania warszawskiego udzielała pomocy cywilnym uciekinierom z rejonów ogarniętych walką.

Najstarsze dziecko Józefa, Romana Rozalia, poślubiła aptekarza z Rygi. Wraz z mężem i dziećmi – jako wróg ludu – została załadowana 14 czerwca 1941 r. do bydłowego wagonu zmierzającego na Syberię, co – jak opowiadał mi jej mieszkający w Krasnojarsku syn, profesor informatyki – uratowało wszystkim życie. Gorszy los spotkał starszego syna Józefa, Jerzego Edwarda, chirurga szczękowego, ochotnika w wojnie

1920 r. Jego nazwisko – jako ofiary zbrodni katyńskiej – uwieczniono w warszawskiej Katedrze Polowej Wojska Polskiego.

W czasie wojny polsko-radzieckiej młodocianymi ochotnikami byli także inni krewni Róży, bracia Stanisław i Jan Luxenburgowie – w ich mieszkaniu sto lat temu założono Warszawiankę. Bramkostrzelny Jan wystąpił raz w meczu reprezentacji Polski. Mniej wyróżniający się na boisku pomocnik Stanisław był znanym działaczem piłkarskim, jednym z pierwszych lekarzy sportowych w Polsce, uczestniczył w operacji korekty pęci znanej lekkoatletki Zofii Smętkówny (potem Witolda Smętka). Został zamordowany przez Niemców.

Jedynym lewicowcem w rodzinie Róży był dr Stanisław Löwenstein, syn jej kuzyna ze strony matki, dr. Natana Löwensteina, posła do parlamentu austriackiego i Sejmu Ustawodawczego RP. Stanisław, niepodległościowy socjalista, w młodości należał do środowiska skupionego wokół lwowskiego „Promienia”. Po

śmierci socjalisty Hermana Diamanda przygotował do wydania jego pamiętnik, zawierający kąśliwe uwagi pod adresem Róży. Został zamordowany w Auschwitz, dokąd trafił z Budapesztu – działał w polskiej konspiracji.

I na zakończenie przykład szczególny. W styczniu 1890 r. ojciec Róży Luksemburg był świadkiem spisywania aktu urodzenia swojego bratanka, Jerzego. Po studiach prawniczych w Szwajcarii dr Jerzy Luxenburg – jeszcze w okresie okupacji niemieckiej – rozpoczął karierę w prokuraturze. W II RP jako powszechnie znany z prasy sędzia śledczy do spraw szczególnego znaczenia zaciekle zwalczał rewolucjonistów i tropił radzieckich agentów. Wśród ujętych przez niego komunistycznych wywrotowców był... ojciec Krzysztofa Teodora Toeplitza.

Krzysztof Piławski jest współautorem, z dr. Holgerem Politem, książki o rodzinie Róży Luksemburg wydanej w 2020 r. w Hamburgu: „Rosa Luxemburg: Spurensuche. Dokumente und Zeugnisse einer jüdischen Familie”

Na twoich oczach marnieje
nasz dom – Ziemia.
Obojętność nie jest
rozwiązaniem.

Dowiedz się, jak żyć
w zgodzie z naturą.

interia ZIELONA

Materiały o ochronie środowiska,
wiadomości i ciekawostki z obszarów
nauki, technologii i biznesu



TU BIJE SERCE ZIEMI!

www.zielona.interia.pl

Luz jest słowem kluczem

Wszyscy panowie na planie byli zażenowani, że coś takiego może się kobiecie wydarzyć

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Mówisz o swoich maryjkowych figurkach „dziewczyny”.

Grażyna Misiorowska: – Figurki to lokata kapitału (śmiech), porcelanowe są najdroższe. Józef stracił głowę, jednej urwałam rączkę w kąpiele, płakałam, ale skleilałam. Są ze mną. To moje przyjaciółki, towarzyski, powiernice. Ich obecność powoduje, że nie czuję się sama. Od lat odnajdujemy się nawzajem.

Sylwester Piechura: – W filmie wykorzystaliśmy ponad sto figurek, część była autentyczna i stanowiła dekorację wnętrza, część została spreparowana na potrzeby konkretnych scen. Były wersje normalne, wyuzdane, dominy, SF, święte i nie. Nasze Marie są dziełem rzeźbiarki Doroty Hadrian i scenograf Alicji Kazimierczak wraz z zespołem. Ubóstwiam stare, podmalowane oleodruki Matek Boskich. Patrzą prosto w twoje oczy, łagodnym spojrzeniem. Dałam się wciągnąć i kupuję.

Kto sprzedaje takie Maryjki?

SP: – Świadomi i nieświadomi ich wartości ludzie, śmieciarze, przypadkowe osoby, po dziadkach, po rodzicach. Gipsowe są toporne, przysadziste – biskwitowe lepsze; przy porcelanowych trzeba się handryczyć o ceny.

GM: – Kiedy pewnego dnia weszłam na plan, oszalałam – pełno figurek Marii w dziewiątym miesiącu ciąży! Nigdy takich nie widziałam.

SP: – Jest taka scena, która nie weszła do filmu: głównej bohaterce, Marii, przez ułamek sekundy wydaje się, że jest w stanie błogostawionym.

Ja i reżyserka Daria Woszek mamy specyficzne poczucie humoru. Natychmiast zapełniliśmy całą półkę w jej mieszkaniu ciężarnymi Maryjkami, wszystkie miały wielkie brzuchy.

Jak rodził się pomysł na film „Maryjki”?

SP: – Teatr opolski do czasów obecnej dyrekcji stał Grażyną. To na nią i na Judytę Paradzińską przyjeżdżało się do Opola. Jacek Poniedziałek w 2014 r. z dużą czułością reżyserował tam „Szklaną menażerię” i obsadził nas jako matkę i syna. To była dla mnie poważna szkoła zawodu od najlepszych.

GM: – Nie miał wtedy taryfy ulgowej. Pracuję 30 lat i chciałam mu przekazać wszystko, czego się nauczyłam, znalazłam czeladnika. Koncentrowałam się tak mocno, że czasami zapomniałam o sobie.

SP: – Intensywny proces prób, cały czas razem, bolesne sceny. Nawiązała się między nami szczególna relacja, cenniejsza niż rodzina, związki, bo pozbawiona pożądania, więzów krwi, zależności. Poznałam wielką aktorkę, niesamowitego partnera scenicznego, a przede wszystkim wyjątkowego człowieka. Bardzo chciałam pokazać ją światu, uchwycić na zawsze, a to może zapewnić tylko film. Wiedziałam, że jest jeden adres: Daria Woszek. Bezkompromisowa, odważna i z poczuciem humoru. Przyjaźnimy się od lat, wiedziałam, że wejdzie w ten nieznany świat i wspólnie zaniesiemy ów mało romantyczny, wydawałoby się, temat menopauzalny pod strzechy.

Sylwestrze, jesteś głównym scenarzystą filmu o dziewicy w okresie hormonalnych przemian.

SP: – Te przemiany są wyłącznie pretekstem. Mieliliśmy z Darią i Olą (Aleksandra Świerk, współscenarzystka) pragnienie pokazania osoby żyjącej świadomie, której niczego nie brakuje. To film o wolności, o tym, że żyje się „po swojemu, tak jak chcesz” i nikt nieproszony nie ma prawa tego komentować; o niespełnianiu niczych oczekiwań, niestygmatyzowaniu i nieocenianiu – o tolerancji. Menopauza jest potraktowana jako egzamin dojrzałości Marii z bycia wierną sobie, swojej intuicji i ciału. To nie przegrana stara panna w mieszkaniu po matce, która pod wpływem hormonów nagle chce nadrobić stracone życie, ale opowieść o tym, że pod wpływem efektów ubocznych terapii hormonalnej zaczyna się „lot” bohaterki, odczuwa ona pokusę, by zakosztować modelu życia, którego nie wybrała.

GM: – Prowadzę samotne życie z wyboru. To moja świadoma decyzja. Maryjki to moje towarzyski życia, nie odczuwam braku mężczyzny. W Polsce trudno sobie na to pozwolić: bez faceta, w dresie i srebrze. W Berlinie czy Paryżu nikogo nie dziwi, tu się nie liczy.

SP: – Maryjki są potraktowane jako symbol kobiecości, niezłomności, wrażliwości, a nie wiary. To dla mnie archetyp kobiety.

Jak przekonał się producentów do filmowej debutantki po pięćdziesiątce, która potem dostała główne nagrody aktorskie na festiwalach w Montrealu czy Gijón?

SP: – Daria bardzo dobrze знаła Grażynę z teatru i wiedziała, o jaką jakość walczymy. Było wiele reakcji typu: „Nie no, stara baba, kogo to interesuje, gdzie jest *happy end*?”, „Za mało seksu, po co oglądać starą babę, i to bez seksu?”, „Może ta młoda będzie się puszczać na kanapie, jak ciotka siedzi na kasie?”, „Meno co?!”. Koniecznie musiała być „gęba”, znane nazwisko, aktorka okładkowa. Daria i ja krzyczeliśmy na przemian, że historia była formatowana pod Grażynę i tylko z nią albo wcale.

Grażyna Misiorowska, była aktorka Teatru im. Kochanowskiego w Opolu, zwolniona po 30 latach pracy w marcu 2020 r., debiutuje w filmie. Sylwester Piechura, także były aktor tego teatru, debiutuje jako autor scenariusza. Stworzyli z reżyserką Darią Woszek fabułę „Maryjki”. Menopauza, osiedlowy sklep, smaki życia po swojemu z figurkami Maryjek w tle. Młodzi realizatorzy stworzyli „stary film”, nagrodzony na festiwalach Off Camera w Krakowie, w Montrealu i hiszpańskim Gijón.



Sylwester Piechura
i Grażyna Misiurowska
w filmie „Maryjki”.

GRAŻYNA MISIUROWSKA I SYLWESTER PIECHURA

– aktorzy i realizatorzy filmu „Maryjki”

Grażyno, przeszłaś przez swoją menopauzę. Sylwester, a ty?

SP: – Dwa razy (śmiej). Pierwszy raz kompletnie nieświadomie obserwowałam u mamy, co zbiegło się z pierwszą ciążą mojej starszej siostry i dojrzewaniem młodszej. Mieliśmy z bratem i ojcem te trzy odcienie kobiecości naraz: „Mam k... dosyć, nic wam już nie ugotuję!”, „Nie kluj, bo jestem w ciąży” i „Nikt mnie w tym domu nie rozumie”. Drzwi trzęsały koncertowo. Potem z fukającą Grażyną przy pracy nad kolejnym spektaklem. Wszyscy w teatrze myśleli, że to jakaś ostentacja, a to była jazda hormonalna. Świadome obserwowanie jej w tym procesie stało się inspiracją dla historii Marii. Część scen wydarzyła się w naszym życiu i została przenieśniona do scenariusza.

GM: – Wzdycham głośno, słyszę: „To demonstracja?”. „Nie, to hormonalny”. „O, przepraszam”. To się wydarzało często poza mną, a ja nad tym nie panowałam.

SP: – Wiedziałem, że to stan przejściowy i musi wybrzmieć, jak wszystko, co nas w życiu spotyka. Godzinami rozmawiałem z Darią, słuchałem wymieniałyśmy się historiami, jakie nam opowiadały matki, przyjaciółki, znajome. Fora internetowe są fantastyczne! Prawdziwy kompas świadomości społeczeństwa. Tam odkryłem, że plastry mają w składzie „końskie siury”. Ten tekst wylądował w scenariuszu, w scenie o czytaniu ulotki, pojedynku na wiedzę pomiędzy nieustępliwą Heleną (filmowa krewna) a Marią.

GM: – Byłam wstrętna, zgryźliwa, a plastry sprawiły, że stałam się znośniejsza, pozwoliły mi oswoić ten stan na tyle, aby go zrozumieć i dać sobie prawo do tych wszystkich emocji. Sylwester rozpisał mi harmonogram, bo myliłam kolory i kolejność przyklejania. Było super, póki nie wylądowałam na pogotowiu z częstoskurczem nadkomorowym. Mój ginekolog nie powiedział mi, że przy plastrach nie mogę palić.

Jak się pracowało filmowej nowicjuszcze?

GM: – Teatr i film to dwa różne zawody. Całe życie poświęciłam teatrowi, nie miałam pojęcia, jak się myśli filmem, zdziwiło mnie, jak niewiele ode mnie zależy. Uczyłam się

na błędy filmowego amatora. Wielka lekcja pokory. Dopiero po zdjęciach zdałam sobie sprawę, jak ogromnym zaufaniem obdarzyli mnie Daria i Michał Pukowiec, autor zdjęć.

**Poruszyła mnie, właściwie roz-
wścieczyła, scena z ginekologiem
i to jego: „Nic tam ciekawego nie
ma, to zwykłe klimakterium”. A to
znaczy o wiele więcej.**

GM: – Byłam najstarsza na planie, gdzie byli głównie mężczyźni. Kiedy nagrywaliśmy tę intymną scenę, byłam ja, Daria i „40 rozbójników”. Poprosiłam aktora grającego ginekologa, Krzysztofa Zawadzkiego, o wykonanie gestu klepięcia mnie. Miał opory. Wytłumaczyłam mu, że przeżyłam taką sytuację, nigdy tego nie

Czas zawsze był wyjątkowo okrutny dla aktorek.

nowego zawodu na planie, np. dubel – kiedy coś nie wyjdzie, powtarzasz. Trzeba zachować świeżość i gotowość do powtórzenia ujęcia w tej samej jakości. W teatrze nie mam takiej możliwości. Kiedyś byłam niezadowolona z siebie i to ja powiedziałam „stop”. Gdy zatrzymałam pracę czterdziestu kilku ludzi, zrozumiałam, że myślałam sobą, a to nie jest mój „stop”, tylko całego zespołu. To nie ja decyduję o „stop”, tylko reżyser. Zrobiłam to pierwszy raz. Cały proces przygotowań do filmu, prób, spotkań oraz praca z fantastyczną ekipą młodych, zdolnych i ambitnych ludzi dały mi komfort i poczucie bezpieczeństwa, mogłam sobie pozwolić

zapomnę, coś obrzydliwego. Wszyscy panowie na planie, nie tylko on, byli zażenowani, że coś takiego może kobiecie się wydarzyć. Gest z osobistego doświadczenia zadziałał!

„Kogo interesuje historia starej baby”, czytam o „Maryjkach” w internecie.

SP: – Menopauza zwyczajnie nikogo nie obchodzi. Nie sprzedaje się jak młodość, bycie sexy, bycie „w obiegu”. Kobiety stają się „niejebalne”, mówiąc za Manuę Gretkowską, niewidzialne i niepotrzebne światu. Element jednego z najważniejszych „przeżyć” w życiu kobiety jest pomijany – niezauważany, niedyskutowany, niewspierany. Nie pochylamy się nad

Kadr z filmu „Maryjki”.



► tym jako społeczeństwo, nie rozma-
wiamy, powtarza się poniżające sche-
maty o kobietach, które mają ude-
rzenia gorąca i błyskawiczne zmiany
nastrojów – postrzega się je jako
wariatki. Finalnie lądują na śmietniku,
choć mają tyle do zaoferowania. Po
menopauzie nie ma już gdzie kobiety
obsadzić. Z rozmów wynika, że strach
przed nadchodzącymi zmianami jest
paraliżujący, pojawia się smutek, że
„to już koniec”, a jednocześnie irytu-
jąca niewiedza, jak przed „pierw-
szym razem”. Trzeba się odnaleźć,
ukonstytuować na nowo, zbudować

„spierdalać”. Szczególnie dojmujący
jest okres starzenia się w naszym za-
wodzie. Ile jest w literaturze ról doj-
rzałych, doświadczonych, mądrych
kobiet, które mają głos? Czas zawsze
był wyjątkowo okrutny dla aktorek.
**Romanse kieszonkowe, harlequiny,
to święte, celebrowane chwile bo-
haterki samej ze sobą.**

GM: – Dla filmowej Marii to był
intymny rytuał, chwila wytchnienia
w świecie romansów i uniesień.
Przyjemnostki, które wypełniały jej
świat. Kiedy intensywnie praco-
wałam z wielką literaturą, wielkimi

piosenkę, ale i zagrała. Nosowska
w swoich social mediach nagrywała
cudowne, wręcz terapeutyczne hi-
storyjki o walce z dietą, a diety z nią,
parodiowała siebie i inne ofiary fitza-
jebistości. Była inspiracją do stwo-
rzenia postaci pani Kalorii, dla której
w filmowym sklepie zawsze jest „ma-
kabrycznie drogo”.

GM: – Nosowska jest wspaniałą
poetką. Kiedy jest mi źle, powtarzam
sobie słowa z finałowej piosenki fil-
mu. W pandemii dojmująco brzmią
jej „jednojałowo podobne dni”.

SP: – Pamiętam ogromne wzru-
szenie, kiedy odsłuchiwaaliśmy pierw-
sze wersje. Trafiła w punkt, zawarła
film w pigule, dopełniła go swoją
wrażliwością. A na planie gra jak sta-
ra aktorka. Odlot!

**Twoja Maria, Grażyno, nie ma
w sobie ani odrobiny goryczy.
Uwalnia się od Maryjek.**

GM: – To było dla mnie prywatnie
trudne, bo te moje dziewczyny za-
wsze są ze mną, dekapitacja każdej
z nich była jak dekapitacja mnie sa-
mej. Bo czy my nie jesteśmy swoimi
butaforiami? Imitacją czegoś, co jest
prawdziwe?

**Co film „Maryjki” wniósł do życia
każdego z was?**

SP: – Najważniejsze spośród
ogromu przeróżnych doświadczeń
nauczyły mnie pełnej odpowiedzial-
ności za historię, którą się powołu-
je do życia. Za jej porażki, sukcesy,
wzloty i upadki.

GM: – Zdobyłam nowy zawód
i jak w filmie Woody’ego Allena „Pur-
purowa róża z Kairu” mogłam wejść
w ekran. Poczułam się jak w bajce.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeгляд.pl

**Było wiele reakcji typu: „Nie no, stara baba, kogo to interesuje?”,
„Za mało seksu, po co oglądać starą babę, i to bez seksu?”.**

poczucie własnej wartości na podsta-
wie tego, co można zaoferować sobie
i światu, kiedy kończy się zdolność
do prokreacji. Jako scenarzyści bar-
dzo pilnowaliśmy, aby historia była
maksymalnie uniwersalna. Nagrody,
rankingi i odzew z Zachodu pokazują,
że tamta strona świata potrafi patrzeć
szerzej na zawarte w naszej opo-
wieści konteksty.

GM: – Społeczeństwo widzi nas
przez pryzmat prokreacji, nie dostrze-
gając wartości doświadczenia. Moja
mama wspominała, jak u niej w pracy
kobiety demonstrowały na wszelkie
sposoby wyższość tych płodnych nad
menopauzalnymi. Niby nic mnie to
nie obchodzi. Ale to jest tak: jesteś już
po, nagle masz 60 lat i przechodzisz
na emeryturę, nie musisz pracować,
stajesz się niepotrzebna. Z uwagi
na moją obecną sytuację zawodo-
wą jestem w takim właśnie szpaga-
cie i już słyszę to echo życiowego

reżyserami, przeżywałam to samo.
Miałam małą córkę, lato spędzałam
w mieście, w domu. Na początku
wakacji zawsze czytałam obowiązo-
wo „Mistrza i Małgorzatę”, po czym
wkraczały harlequiny, ten wakacyjny
„sprężysty włos na opalonym torsie”.

Menopauza ma dobre strony.

**Maria pozwala sobie na poznanie
nieznanego.**

GM: – Luz jest słowem kluczem
dla świadomych osób. Dużo kobiet
mówi, że odpada strach przed pro-
kreacją, odchodzą napięcia. Maria
żyje w zgodzie ze sobą, nie zamierza
udawać, że czegoś nie ma. Słucha
swojej intuicji i odważa się na nowe
doznanie.

**Intensywne kolory, wciągający ob-
raz, muzyka niemal anielska zderza
się z mocną piosenką Kasi Nosow-
skiej, która pojawia się na ekranie.**

SP: – Bardzo chcieliśmy udziału
Kasi w filmie, by nie tylko napisała



M.G.

Premiera „M.G.” miała się odbyć w kwietniu ub.r., ale pandemia pokrzyżowała plany teatru. Wprawdzie zaraza nie stała się tematem spektaklu, nawet się o niej nie wspomina, lecz atmosfera kłębski, katastrofy jest widoczna. Wycekiwane przedstawienie Moniki Strzępki (reżyseria) i Pawła Demirskiego (tekst) portretuje stan wielkiego rozczarowania, jakie przynosi

współczesna Polska, pozbawiona wyrazu, solidności i rozsądku. Inteligenckie fascynacje Gombrowiczem (jedna z najlepszych scen) okazują się autoupupieniem, rezultatem powierzchownej lektury, która nijak ma się do rzeczywistości. Po 30 latach od wielkiej zmiany ustrojowej widać, że nie tak miało być, skoro państwa właściwie nie ma, są tylko „mili państwo” na widowni.

Pomysł, aby z pomocą figury Magdy Gessler (Eliza Borowska) dokonać lustracji Polski prowincjonalnej, to doskonały sposób na ujawnienie naszych niedoczytności i braków, którym nawet pełna dobrej woli Matka Boska (jak zawsze znakomita Grażyna Barszczewska) nie zdoła zapobiec.

Tomasz Miłkowski

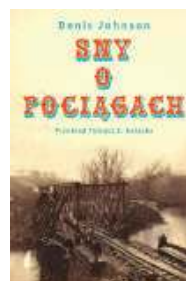
Paweł Demirski, „M.G.”, reżyseria Monika Strzępka, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana, premiera 19 lutego 2021

ŚPIEWACY GRAJĄ ŚPIEWAKÓW

To spektakl o czworgu emerytów operowych, którzy pragną wspólnie wykonać słynny kwartet z opery „Rigoletto” Giuseppe Verdiego. W eleganckim domu starców dla artystów szykują mały koncert i wspominają swoje najlepsze lata. Nie jest to opera, choć owych emerytów grają wykształceni śpiewacy operowi: tenor Ryszard Minkiewicz, mezzosopran Alicja Węgorzewska, bas Maciej Miecznikowski i Olga Bończyk, aktorka i wokalistka. W teatralnej farsie śpiewacy tworzą jędrne role dramatyczno-komiczne, a przy okazji popisują się profesjonalnym śpiewem. W końcu jest jeszcze trochę „kociej muzyki” ku wielkiej ucieście publiczności.

Bronisław Tumiłowicz

Ronald Harwood, „Kwartet”, reżyseria Grzegorz Chrapkiewicz, Warszawska Opera Kameralna-Basen Artystyczny, premiera 20 lutego 2021



Denis Johnson Sny o pociągach Czarne, Wołowiec 2021

Gdyby ktoś wpadł na nieco kuriozalny pomysł zrobienia listy najlepszych króciutkich – tak do 150 stron – powieści na temat XX w., rekomendowałbym na tę listę „Sny o pociągach” Denisa Johnsona. Bardzo esencjonalną, ożywczą, pięknie napisaną i wciągającą powieść, którą można pochłonąć w pół wieczoru, ale o której myśli się przez wiele następnych dni. Fabularnie to opowieść o prostym, wrażliwym i nie-

MIĘDZY OKŁADKAMI

co przesadnym robotniku Robercie Grainierze, który ima się różnych zajęć. Od budowy linii kolejowych, poprzez naprawy mostów, po zwykłe roboty w lesie. Wszystko to w otoczeniu niezwyklej natury pogranicza amerykańsko-kanadyjskiego, gdzie na początku XX w. Bohater jest evermanem czasów dynamicznego rozwoju Stanów Zjednoczonych. Już nie kowbojem z dzikich ziem, ale jeszcze nie znużonym mieszcuchem. Pionierem doby pary i żelaza, który miota się między potrzebą bliskości a żądzą wolności. Nie ma tutaj jednak żadnej historiozofii, bo „Sny o pociągach” to intymna i głęboko metaforyczna przypowieść o Człowieku i Czasie.

Rafał Piłkuła

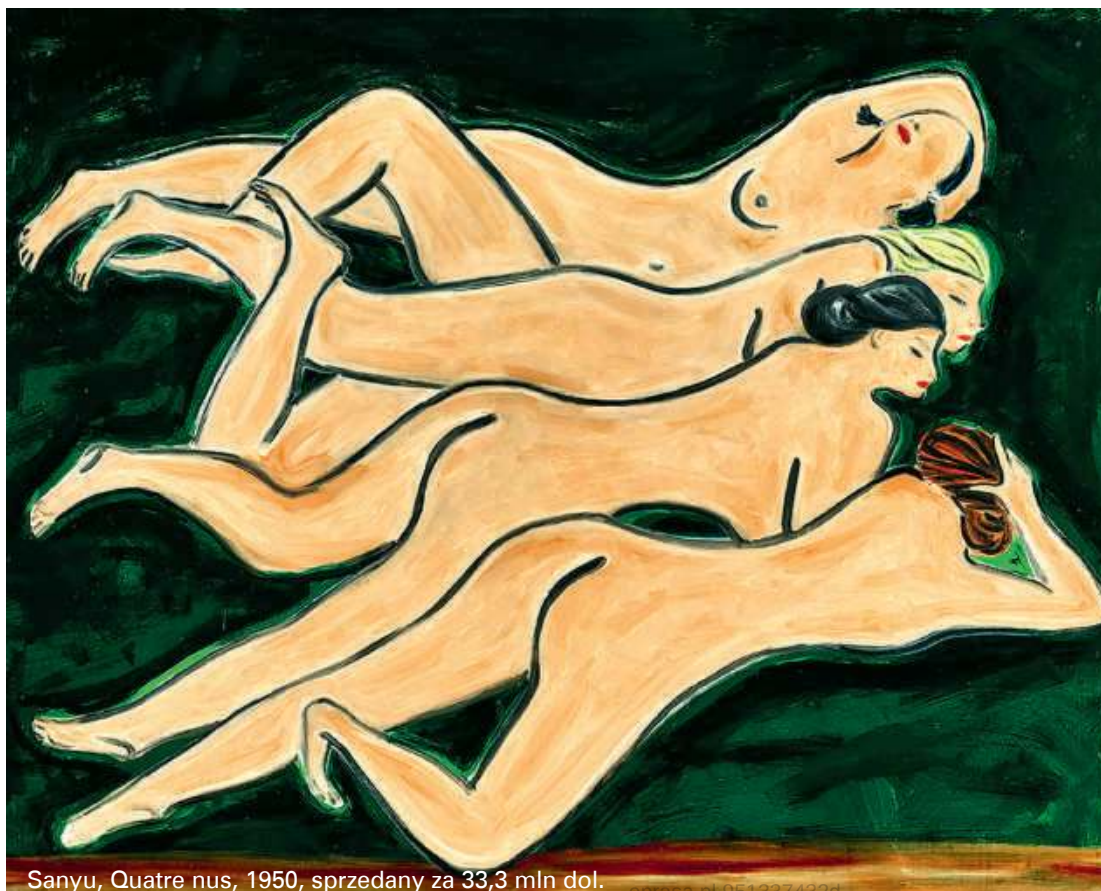


Roy Lichtenstein, Nude with Joyous Painting, 1994, sprzedany za 46,2 mln dol.



David Hockney, Nichols Canyon, 1980, sprzedany za 41 mln dol.

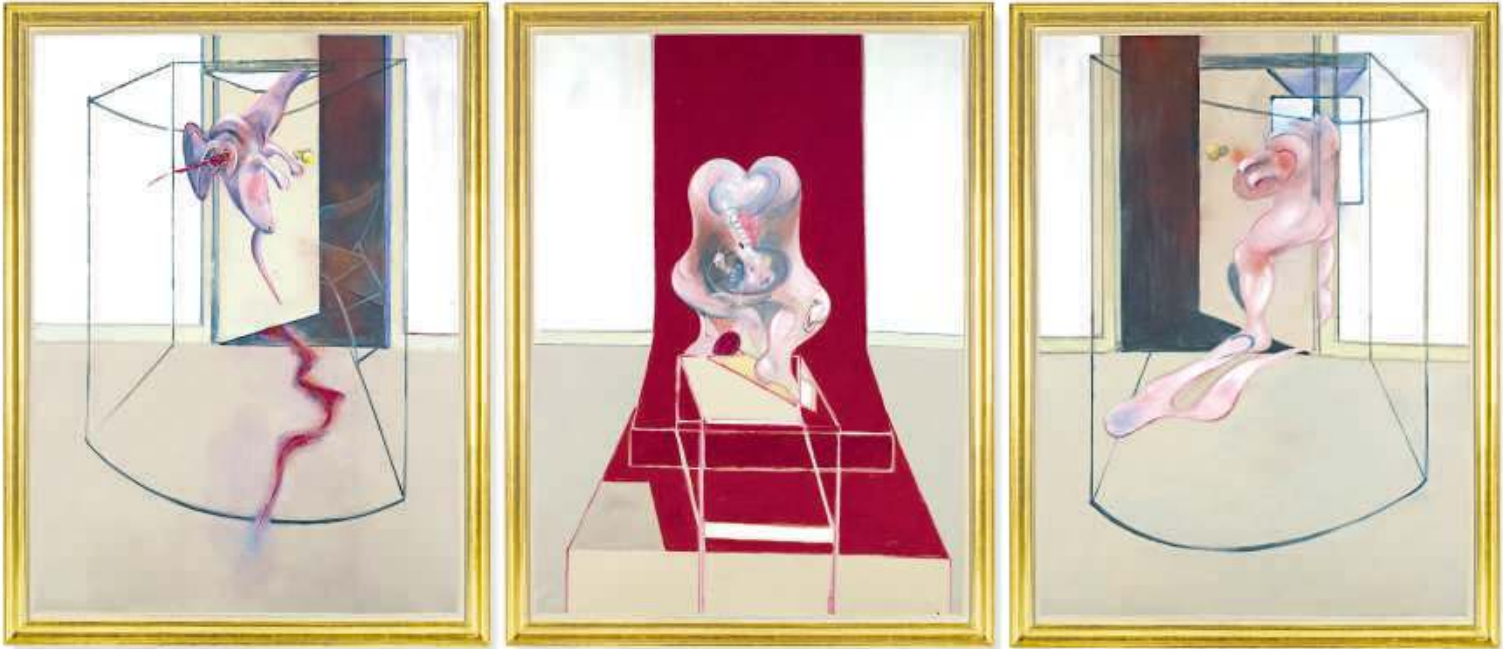
Najdrożej kupione obrazy na świecie



Sanyu, Quatre nus, 1950, sprzedany za 33,3 mln dol.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Francis Bacon, Triptych Inspired by the Oresteia of Aeschylus, 1981, sprzedany za 84,6 mln dol.

Sztuka zawsze jest w cenie, a kolekcjonerzy wydają krocie, by zostać właścicielami upragnionych obiektów. Sumy padające w trakcie aukcji są zaskakujące. Coraz wyraźniejszy wpływ na notowania ma rynek azjatycki – dwie prace chińskich mistrzów sztuki dawnej wylicytowano w Chinach oraz Hongkongu. Na pierwszym miejscu wśród najdroższych dzieł wylicytowanych na świecie w minionym roku znalazł się tryptyk angielskiego malarza Francisa Bacona, który został sprzedany na wirtualnej aukcji za rekordowe 84,6 mln dol., czyli ponad 336 mln zł.



Mark Rothko, Untitled, 1967, sprzedany za 31,3 mln dol.



Wu Bin, Ten Views of a Lingbi Rock, 1610, sprzedany za 76,6 mln dol.



Ren Renfa, Five Inebriated Princes Riding Home, sprzedany za 39,4 mln dol.

Depresja zaburza funkcjonowanie w każdej sferze życia

Ktoś może mieć dobrą pracę, stabilność finansową, dobre relacje w rodzinie i zapas na depresję

Rozmawia Ewa Pągowska

Czuje pan lęk, kiedy zamykają się drzwi za pacjentem, u którego zdiagnozował pan depresję? Zwłaszcza jeśli mówi o myślach samobójczych?

– Czuję raczej napięcie i mobilizację, zwłaszcza wtedy, gdy pacjent jest w gabinecie i muszę ocenić ryzyko podjęcia przez niego próby samobójczej. U jednej trzeciej osób z depresją występują myśli samobójcze, ale mogą one mieć różny charakter. Najpierw pojawia się to, co my psychiatrzy nazywamy „życzeniem śmierci” – pacjent ma w sobie przyzwolenie na to, by umrzeć. Mówi np.: „Nie, nie zabiję się, ale jakbym umarł, to trudno”. (...) Później zaczynają myśleć o samobójstwie – ale jako o zjawisku, które bezpośrednio ich nie dotyczy. Pacjent zastanawia się, co czują ci, którzy odbierają sobie życie. Potem pojawia się refleksja: „Mógłbym popełnić samobójstwo, ale na pewno tego nie zrobię”. Kolejny etap to ruminacje, czyli natrętne myśli, które pojawiają się nieoczekiwanie i same z siebie odchodzą. W tym przypadku dotyczą samobójstwa. Ktoś jedzie samochodem i wpada mu do głowy: „A może bym spowodował wypadek?”, albo będąc w biurze na 11. piętrze, myśli: „Gdyby tak skoczyć?”. Zaraz się jednak hamuje i stwierdza, że absolutnie tego nie zrobi. Dopiero kolejnym etapem jest myślenie o tym, że faktycznie chce się



PROF. PIOTR GAŁECKI

– psychiatra, seksuolog

zabić, i rozważanie, jak to zrobić – jest decyzja i plan. (...)

Nie zawsze chyba jest plan?

– Nie. Niektóre osoby, zwłaszcza mężczyźni, odbierają sobie życie pod wpływem impulsu. Statystyczny samobójca to samotny mężczyzna w średnim wieku z małej miejscowości, nadużywający alkoholu, który próbuje się zabić po deprywacji jakiegoś dobra – już wcześniej myślał o samobójstwie, ale to strata np. pieniędzy, pracy czy żony ostatecznie go do tego popycha. Paradoksalnie lekarzowi często łatwiej dostrzec ryzyko podjęcia próby samobójczej pod wpływem impulsu i jej przeciwdziałać niż tej zaplanowanej. Zwłaszcza że gdy pacjent sobie postanowi: „Wiem, zrobię to jutro”, jego stan psychiczny często się poprawia.

Czuje się lepiej, bo zaplanował samobójstwo?

– Nie do końca o to chodzi. Mam na myśli to, że chwilowo zmniejsza się poziom jego lęku, pacjent uważa, że w końcu znalazł wyjście z sytuacji i ci, którym w swoim mniemaniu robił krzywdę, odetchną, nie będą musieli znosić jego i jego depresji. Miałem pacjenta, którego żona popełniła samobójstwo. Wcześniej wszyscy sądzili, że ona czuje się już lepiej.

Mąż wyjechał na tydzień do rodziny i gdy wrócił, żona już nie żyła. Zostawiła teczkę z dokumentami i informacją, do kiedy są zrobione opłaty, bo to ona zajmowała się domem i finansami. Tak częściej robią kobiety. **Załatwiają wszystkie sprawy?**

– Tak, regulują rachunki, idą do banku, ustalają pełnomocnictwo, piszą testament. Przygotowują samobójstwo w taki sposób, żeby im nic nie przeszkodziło. (...) U takich osób lekarzowi trudniej dostrzec realne ryzyko samobójstwa. Dlatego trzeba być bardzo uważnym, należy dokładnie ocenić wszystkie przesłanki. (...) Jeśli nie mamy pewności, że moglibyśmy wypuścić pacjenta z gabinetu bez lęku o jego życie, kierujemy go do szpitala albo wzywamy zespół ratownictwa medycznego. Informujemy, że są kryteria do przyjęcia pacjenta bez jego zgody. Choć zwykle on jedzie dobrowolnie. (...)

Zdarza się, że pan tłumaczy:

„Nie, nie cierpi pan na depresję, tylko znalazł się pan w trudnej sytuacji. Nic dziwnego, że jest pan przygnębiony”?

– Dość często. Ostatnio powiedziałem to pacjentowi, od którego trzy miesiące wcześniej odeszła żona. Chodził do pracy i z kolegami na kosza, ale zawałił jakiś projekt, zrobił się drażliwy, wieczorami nie mógł

Prof. dr hab. n. med. Piotr Gałęcki jest kierownikiem Kliniki Psychiatrii Dorosłych Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, konsultantem krajowym w dziedzinie psychiatrii, wykładowcą Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury w Krakowie. Twórcą neurorozwojowej teorii depresji. Współautor podręczników dla studentów medycyny.

zasnąć, bo myślał o żonie i dzieciach, więc sięgał po piwo czy drinka. Zaczął częściej popijać, czasem z tego powodu nie mógł na drugi dzień pojechać samochodem do pracy. Taką sytuację najpierw diagnozuję jako zaburzenia adaptacyjne, gdyż wynika z zaistniałej sytuacji. W przyszłości będzie wymagała oceny pod kątem zaburzeń depresyjnych, jeśli będzie się nadmiernie przedłużała.

Czym zaburzenia adaptacyjne różnią się od depresji?

– Cechą charakterystyczną zaburzenia adaptacyjnego jest jego ścisły związek z trudną sytuacją, z którą człowiek nie umie sobie poradzić. Jest przygnębiony, drażliwy, ma zaburzenia snu i apetytu, kłopoty z koncentracją, biegunkę, kołatanie serca. Wszystkie te objawy są jednak odpowiedzią na sytuację, w jakiej się znalazł. Jeśli jednak trwają dłużej niż dwa-trzy miesiące i zaczynają pogarszać funkcjonowanie w każdej sferze życia, np. ktoś pięć miesięcy po zawodzie miłosnym *non stop* płacze, nie podejmuje nowych aktywności, nie może spać ani pracować, rozpoznajemy już depresję.

Rozumiem, że depresja może się pojawić nawet wtedy, gdy nie doświadczamy życiowego kryzysu?

– Tak. To ją odróżnia od zaburzeń adaptacyjnych. Ktoś może mieć dobrą pracę, stabilność finansową, dobre relacje w rodzinie i zapaść na depresję. Wtedy często słyszy, że coś sobie wymyślił. Psychiatrzy też spotykają się z uwagami: „Každy może powiedzieć, że ma depresję. Łatwo ją udawać”. A to wcale nie jest takie proste. (...) Są pacjenci, zwłaszcza młodzi dorośli, osoby między 17. a 30. rokiem życia, którzy przychodzą po jakimś niepowodzeniu życiowym i mówią, że mają depresję albo zaburzenia lękowe, a po badaniu okazuje się, że pewne cechy ich osobowości powodują, że nieadekwatnie reagują na jakąś sytuację. Nie potrzebują leków, tylko psychoterapii. (...)

Kiedy więc rozpoznaje pan depresję?

– Wtedy, gdy co najmniej przez dwa tygodnie utrzymują się dwa spośród trzech objawów podstawowych: obniżenie nastroju, utrata zainteresowań i zdolności do radowania się oraz spadek energii. Muszą też wystąpić co najmniej dwa spośród objawów dodatkowych:

pogorszenie koncentracji, obniżenie samooceny, poczucie winy, pesymistyczne widzenie przyszłości, myśli i czyny samobójcze, zaburzenia snu, zmniejszenie apetytu. Depresja jest czymś, co zaburza funkcjonowanie w każdej sferze życia. Człowiek nie spotyka się ze znajomymi, unika kontaktów telefonicznych, gorsze są jego relacje z partnerem i dziećmi, nie wychodzi do pracy albo gorzej sobie w niej radzi. Badania pokazały, że efektywność pracownika, który ma umiarkowany epizod depresyjny, jest o pięć-sześć godzin mniejsza niż tego, który jest zdrowy. (...)

Czy objawy depresji różnią się w zależności od płci pacjenta?

– Kobiety częściej niż mężczyźni przychodzą z łagodnym epizodem depresji, częściej się leczą, są bardziej zdyscyplinowane. Mężczyźni długo nie dopuszczają do siebie

To, że mamy tak dużo przypadków depresji, nie wynika ze słabości współczesnego człowieka.

myśli o depresji, więc kiedy już trafiają do lekarza, mają dużo cięższe objawy. Kobiety lepiej współpracują, potrafią rozpoznawać i opisywać swoje emocje.

A co mówią mężczyźni z depresją, gdy do pana przychodzą?

– Najczęściej, że nic im się nie chce, że mają problem z alkoholem i myśli samobójcze. Zwykle trzeba wszystko od nich wyciągać, wymieniać kolejne objawy depresji i pytać, czy je u siebie obserwują. Jeśli ich o to nie zapytam, nie powiedzą, że mają obniżone libido czy kłopoty z erekcją. Prędzej wspomną o zaburzeniach snu i drażliwości. Rzadko o smutku. Trudno mieć do nich o to pretensje, bo nie są uczeni rozmowy o emocjach. Często też przyprowadzają ich żony. Czasem mężczyzna wchodzi sam do gabinetu, a żona zostaje w poczekalni. Ona chce mieć pewność, że partner dotarł do lekarza. Czasem wchodzi razem. Niektórzy mężczyźni wolą, żeby to partnerka opowiedziała, jak oni się czują. Czasem kobieta zachęca: „No powiedz o tym, o czym mi mówiłeś”. Na palcach jednej ręki mógłbym policzyć sytuacje odwrotne, kiedy to mąż przyprowadził do mnie żonę.

Czy depresja jest dla mężczyzn powodem do wstydu?

– Dziś dla wielu z nich bycie zwykłym facetem jest niewystarczające. Brak znaczącego sukcesu jest porażką. Jeśli jeszcze pojawi się depresja, to poczucie porażki jest dwa razy większe. Poczucie własnej wartości maleje u nich bardziej niż u kobiet. Często też są niechętni farmakoterapii. Zwłaszcza mężczyźni, którzy trafili do szpitala psychiatrycznego po próbie samobójczej. Kiedy wychodzą, nie chcą kontynuować leczenia. Tak jakby zapadła kurtyna. (...)

Zdarza się też, że nie tylko pacjent uważa, iż nie ma depresji, ale nawet sądzą tak lekarze, do których się zgłasza. Tak chyba dzieje się w przypadku depresji maskowanej?

– Ona jest dość częstym zjawiskiem. Kiedyś poproszono mnie o konsultację trzydziestoletniej pacjentki, która przebywała na oddziale neurologicznym z powodu

bólów głowy o nieznanym przyczynie. Miała już za sobą pobyt na oddziałach laryngologicznym i chirurgii twarzowo-szczękowej. Szukając przyczyny bólu, usunięto jej wszystkie górne zęby po prawej stronie.

To w ciekawy sposób prowadzono te poszukiwania.

– Lekarze byli bezradni, a ból nie dawał się uśmierzyć środkami przeciwbólowymi. Przez półtora roku była praktycznie wyłączona z życia. Konsultowało ją wielu specjalistów, zrobiono jej mnóstwo badań, w tym oczywiście rezonans głowy, ale nie udało się ustalić rozpoznania. Kiedy przyszedłem do niej na konsultację, opowiedziała mi o tym, że ma męża i szczęśliwą rodzinę, ale skontaktował się z nią mężczyzna, który był miłością jej życia. Rozstali się kilkanaście lat wcześniej, a on nagle się zjawił i zaczął zachowywać się w nieodpowiedzialny sposób. Chciał rozmawiać z jej mężem. Nie doszło do zdrady, ale ona była w dawnym partnerze zakochana. Jej osobowość i sytuacja, w jakiej się znalazła, przyczyniły się do powstania poczucia winy. Pojawiło się też wiele innych objawów świadczących o depresji.

Ale nie smutek?

– Nie. U pacjentów cierpiących na depresję maskowaną możemy

► zaobserwować większość objawów klasycznej depresji poza smutkiem. Ekwiwalentem obniżonego nastroju jest dolegliwość somatyczna – ból głowy, zaburzenia widzenia lub słuchu, ból mięśni, różne problemy kardiologiczne, najczęściej arytmia. Niektórym łatwiej jest zaakceptować, że są wykluczeni z życia z powodu bolącego zęba niż z powodu zaburzeń psychicznych. Jeśli zrobimy badania diagnostyczne, np. EKG, okaże się, że wszystko jest w porządku. A ci pacjenci naprawdę źle się czują. Ich objawy nie są udawane, ale kiedy włączymy lek przeciwdepresyjny, mijają.

Tak było w przypadku pana pacjentki?

– Tak, ból zniknął. (...)

Bywają też odwrotne sytuacje. Ktoś myśli, że ma depresję, a cierpi na chorobę somatyczną.

– Objawem wielu chorób somatycznych, na przykład niedoczynności tarczycy i choroby Hashimoto, jest obniżenie nastroju. Dlatego zawsze zlecam wykonanie podstawowych badań, między innymi lipidogramu, stężenia TSH, a u mężczyzn

– Ona spina ze sobą różne teorie, także tę zapalną. Podkreśla jednak wpływ życia płodowego i pierwszych lat życia na wzrost ryzyka zachorowania na depresję. Wpadłem na nią, gdy zacząłem czytać o zmianach w ekspresji genów – o tym, co decyduje, że pewne geny ulegają modyfikacji lub aktywacji pod wpływem czynników zewnętrznych. Te zmiany zachodzą głównie w życiu płodowym i w trzech pierwszych latach życia.

To znaczy, że nastrój ciężarnej ma wpływ na podatność dziecka na depresję?

– Tak. Jeśli kobieta w ciąży ma depresję lub przeżywa przewlekły stres, to w jej organizmie wydziela się zbyt dużo kortyzolu. On powoduje, że pewne geny zostają aktywizowane i wzrasta między innymi ryzyko depresji u dziecka. Zrobiono kiedyś badania na szpakach. Niektóre jaja tej samej pary ostrzyknięto kortyzolem, a inne nie. Ptaki, które wykluły się z ostrzykniętych kortyzolem jaj, szybciej fruwały i zachowywały się bardziej agresywnie. Były przygotowane na to, że znajdą się w niebezpiecznym środowisku. U ludzi jest

1,8 mln Polaków – nie wynika ze słabości współczesnego człowieka, tylko z tego, że żyjemy w świecie, w którym wciąż wszystko się zmienia i musimy na to reagować. Musimy oceniać, czy coś nam zagraża, czy nie, podejmować decyzje. Kiedyś tych zmian było mniej, więc kiedy do nich dochodziło, mobilizacja organizmu była korzystna. Pozwalała przetrwać. Teraz dochodzi do niej tak często, że u niektórych osób prowadzi do rozwoju depresji.

Jak się leczy depresję?

– Między innymi za pomocą leków. Głównie tych z grupy SSRI. To są leki nowej generacji, bardzo skuteczne. U 70% pacjentów, którzy przez trzy miesiące przyjmowali odpowiednią dawkę, stwierdzono poprawę. Trzeba tylko dobrać właściwy lek do obrazu klinicznego – niektóre działają bardziej przeciwlękowo, inne korzystniej wpływają na sen. Wśród 30% pacjentów niereagujących na leki jest wielu tych, którzy mają choroby współtowarzyszące. (...)

Czy można pokonać depresję tylko dzięki psychoterapii?

– Łagodny epizod depresyjny tak. W innych przypadkach jest ona leżeniem wspomagającym. (...)

Czy jest jakiś sposób leczenia depresji, z którym wiąże się duże nadzieje?

– Jest lek, którego substancją czynną jest esketamina (pochodna narkotyku – ketaminy). Badania pokazują, że jest skuteczny i bezpieczny. Natomiast jest on podawany tylko w gabinecie lekarskim. Pacjent musi pozostać pod obserwacją przez dwie-trzy godziny, bo lek czasem najpierw działa euforyzująco. Objawy tuż po jego zażyciu przypominają te po zażyciu narkotyków. Szybko jednak mijają. W przeciwieństwie do leków przeciwdepresyjnych, które teraz są popularne, esketamina poprawia stan pacjenta od razu. Ona może być więc taką rewolucją w leczeniu depresji, jaką było wprowadzenie leków SSRI. Jest szansą przede wszystkim dla pacjentów, którzy cierpią na depresję lekooporną. (...)

Wiele badań potwierdza, że stan zapalny w organizmie przyczynia się do rozwoju depresji.

także stężenia testosteronu. Przy kolejnym epizodzie depresji kieruję na EEG. Miałem pacjentkę, 30-letnią dziewczynę, która co trzy miesiące cierpiała z powodu nasilonego epizodu depresyjnego. Trwał zwykle miesiąc-dwa. Brała przewlekłe leki, okresowo zwiększałem ich dawkę, ale skutek był mierny. Leczenie trwało rok. Kiedy zaobserwowałem, że nastrój jej się pogarsza dwa dni przed pojawieniem się opryszczki, zleciłem badanie ASO (badanie na obecność przeciwciał przeciwko antygenowi paciorkowca grupy A). Okazało się, że ma przewlekłą infekcję paciorkowcową gardła, która była wyciszona, ale uaktywniała się, kiedy dołączała się infekcja wirusowa, którą sygnalizowała ta opryszczka. Miesiąc po usunięciu migdałków depresja minęła. Wiele badań potwierdza, że stan zapalny w organizmie przyczynia się do rozwoju depresji. (...)

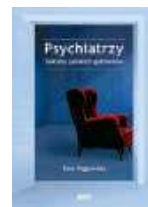
Jak się ma do tego stworzona przez pana neurorozwojowa teoria depresji?

podobnie. Jeśli matka w ciąży ma depresję, to jej dziecko może reagować na różne sytuacje nadmiarowo, uznawać za zagrażające sytuacje, które są dla innych obojętne.

Podsumujmy więc – co sprawia, że niektórzy łatwiej zapadają na depresję?

– Dziedziczenie genowe i zmiany epigenetyczne (zmiany funkcji genów, które zachodzą pod wpływem różnych czynników), które wpływają na to, jaka jest nasza odpowiedź na stres. Na to, kiedy, w jakich sytuacjach i w jakich ilościach wydziela się kortyzol. Ważna jest też gotowość układu immunologicznego do mobilizacji prozapalnej – to, jak szybko i na co zareaguje stanem zapalnym. Układ ten intensywnie się rozwija jeszcze w pierwszych trzech latach życia. Znaczenie ma też osobowość, która kończy się kształtować we wczesnej adolescencji. To, że mamy tak dużo przypadków depresji w dzisiejszych czasach – ostatni raport NFZ pokazuje, że cierpi na nią

Fragmenty rozmowy z książki Ewy Pągowskiej *Psychiatry. Sekrety polskich gabinetów*, Znak, Kraków 2020





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Opowiadania na czas przeczekiwania

Suski szefem rady programowej publicznego radia! Kolejny konsul Incitatus, dowód na to, że pisowska bolszewia nie jest jednak całkiem pozbawiona poczucia humoru, lecz niestety zna tylko jeden rodzaj żartu. To, że jedyną kompetencją wymaganą przy nominacjach kaczystów na odpowiedzialne stanowiska jest przynależność partyjna, wiemy nie od dziś. Od pewnego czasu zdaje mi się jednak, że nominaci muszą wykazywać dodatkowy walor – być doskonałym zaprzeczeniem kompetencji, jak Piotrowicz i Pawłowicz – symbole zajadłej stronnictwa w Trybunale Konstytucyjnym, czy Gliński – kipiący nienawiścią do środowisk twórczych politruk na czele resortu kultury. To już i tak lepsza droga niż powołania merytoryczne – jak w przypadku młodego neonazisty, żarliwego promotora mitu „żołnierzy wyklętych”, którego poglądy i dorobek idealnie dopasowały się do kierowniczego stanowiska w IPN. Niestety, wciąż jeszcze nie bardzo wypada u nas hajlować w biały dzień, nawet pisiorom – partia musiała się ugiąć pod presją i oburzem o skali międzynarodowej.

Mój ojciec przed laty miał wyrobioną opinię na temat sędziów z Kraju Rad, także tych piłkarskich. „Ruski sędzia” oznaczał dla niego każdego arbitra z demoludów, o którego nieuczciwości był przekonany *a priori* – jak się później okazało, nie od czapy były te jego spiskowe intuicje. Ojciec tłumaczył, że aby „ruski sędzia” podyktował jedenastkę dla drużyny, która mu nie zapłaciła, nie wystarczy, że obrońca sfaluluje w polu karnym rywala – on go musi zastrzelić, i to w taki sposób, żeby nijak nie dało się sfingować samobójstwa. Przyparciu do muru „salutem rzymskim” kaczysci musieli ze swojego nominata zrezygnować. Pan Terlecki, wściekły, że utracono nacka z Instytutu Amnezji Narodowej, natychmiast ją jego winy rozcieńczając i tak się w tym zapamiętał, że zrównując żarliwe hajlowanko z przynależnością do PZPR, wyraził wolę, by w takim razie wszyscy byli członkowie tej partii również podali się do dymisji. Liczę na to, że „Pies” będzie dla kolegów z PiS równie bezlitosny jak wobec własnego ojca, tym samym tylko czekać, aż polecą głowy tak podręcznikowych kanalii jak Piotrowicz, Kryże czy Czabański. Wykupiłem cały zapas popcornu w pobliskim dyskoncie.

Tymczasem przybytki kultury otwarte warunkowo, a tu akurat słabostka mnie dopadła; napisałbym za Mironem „słabocho”, ale gdzie mi tam do śmiertelnej słabości

podmiotu jego wierszy antywiosennych, wszelako czuję, że i mnie „dmuchło na zdechło”. Może bym się do kina dowlókt, ale w gardle i w nosie lichy, usiedzieć nie może, wyrывa się kaszlem i smarkaniem, cokolwiek miałbym rozpylić, nie jest to dobro, nie pójde zarażać niedobitków w kinach studyjnych, to byłaby wirusowa *intelligenzaktion*. Czyli jak słabocho prędko nie odpuści, na Wilczyńskiego do kina nie zdążę – w pandemii trzeba być szybkim, nie obejrzyj filmu przedpremierowo, twoja strata, premiery już nie będzie. Znajoma aktorka zaskoczona nagłym odmrożeniem teatrów boi się, że nie wejdzie w kostium z prób jesiennych, zdalny tryb tycia odłożył jej się w talii; uspokajam, że to tylko dwa tygodnie, parę spektakli zagra na wdechu, a potem i tak znowu wszystko zamkną.

Siedzę, a się męczę, jakbym stał, leżę, a rozczulam się nad sobą, jakbym wisiał – pozostaje obłożyć się zaległymi lekturami, zakopać w pierzynie z książek, rozkoszom

Od pewnego czasu nominaci PiS muszą wykazywać dodatkowy walor – być doskonałym zaprzeczeniem kompetencji.

czytelniczym się oddać, najlepiej zaś takim, co przetrwały niejedną próbę czasu, niejedną wielką smutę, o wojnach nie wspominając. Przeczekiwanie PiS nieco się przeciąga, ale jak się wczytać np. w mistrzowskie opowiadania Katherine Mansfield pisane przed stu laty, od razu człowiekowi lżej na duszy – przenosimy się bowiem do rzeczywistości, w której wszyscy kaczysci tego świata nie istnieli jeszcze nawet w postaci – cytuję za Zybertowiczem – „mieszanego materiału genetycznego w macicy”. Ulga na dzień dobry, a potem jeszcze lepiej, bo te czechowowskie z ducha, wściekle inteligentne i kongenialnie przełożone przez Magdę Heydel perełki prozatorskie potwierdzają tylko, że ile by się człek nie naczytał, zawsze czeka na niego niespodziane i zapoznane arcydzieło. Heydel, tłumaczka wybitna, wzięta na warsztat jedyną autorkę, której Virginia Woolf jawnie zazdrościła talentu – i to jest prawdziwy *tour de force*, zwieńczenie jej wieloletniego translatorskiego romansu z angielskim modernizmem. Brawa dla łódzkiej Oficyny, jeśliby mnie kto pytał o książkę roku 2020, bez wahania wskażę „Opowiadania” Mansfield, lekturę pożywną, wykwinną i olśniewającą.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl



Nie wszystko jest biało-czarne

Sroki charakterem są nieco podobne do ludzi,
może dlatego tak ich nie lubimy?

Konrad Malec

Zwierzęta dzielimy na trzy grupy. Najliczniejszą stanowią te obojętne, których nie darzymy ani sympatią, ani antypatią. Łatwo przenieść stworzenie z tej grupy do dwóch pozostałych, pod wpływem przypadkowej informacji o danym gatunku. Drugą stanowią zwierzęta przez nas lubiane, np. sikory, wiewiórki czy słowiki. Zwykle charakteryzują się urodą, pięknym śpiewem lub pożytecznością dla ludzi, nierzadko wszystkimi tymi cechami. W trzeciej grupie znajdują się zwierzęta nielubiane, o szemranej renomie. Zapraszam na opowieść o (nie do końca) czarnym charakterze.

Sroce, bo o niej mowa, zwykle urody nie odmawiamy. Wprawdzie

ma jedynie dwa kolory, za to bardzo ładnie rozłożone, a czerń urzekająco opalizuje. Jednak jej głos, niezbyt przyjemne skrzeczenie, nie przysparza sympatii. Ponieważ sroki są ptakami towarzyskimi, hałaśliwe spędy nie należą do rzadkości. Szczególnie w miastach, gdzie są dość liczne, choć zamieszkują je od niedawna – zaczęły je zasiedlać pół wieku temu. To od mieszkańców miast słyszę najczęściej, że srok jest za dużo i ciągle ich przybywa. Z przybywaniem sprawa nie jest oczywista. W skali Polski sroki wykazują stabilną liczebność, mniej więcej 410 tys. par, plus minus 20 tys. Diabeł tkwi w szczegółach, sroki zdają się podążać za światowym trendem i w aglomeracjach ich liczebność rośnie, ale już w tradycyjnym dla nich krajobrazie wiejskim maleje. W miastach mają dobre

warunki, dużo jedzenia i stosunkowo mało wrogów, chociaż to się zmienia. Za Odrą srok w miastach nieznacznie ubywa, na co wpływ mogą mieć jastrzębie, coraz liczniej zamieszkujące niemieckie aglomeracje. W Berlinie populacja jastrzębi jest oceniana na 200 par. W naszych miastach na razie są rzadkie, ale to pewnie kwestia czasu. Dotyczy to również innych sroczych wrogów, z których część już zadomowiła się w wielu miastach, tak jak kuny i wrony.

Dlaczego ubywa srok na wsiach? Winne są przede wszystkim zmiany w rolnictwie. Sroki lubią krajobraz łąk poprzetykanych zadrzewieniami. Niestety, łąki są coraz silniej uproduktywne, czemu towarzyszy redukcja liczebności owadów – głównego pokarmu srok. Inne łąki są zalesiane, porzucane, co także

proceed do porośnięcia ich lasem, lub zaorywane pod pola uprawne. Coraz też mniej zadrzewień śródpolnych, zarówno pojedynczych drzew, jak i alei czy gajów. Pod tym względem jesteśmy w ogonie UE, warto o tym pamiętać, kiedy politycy będą rozprawiali o największym zalesieniu Polski wśród krajów Unii (co również nie jest prawdą). Srokom zagrażają więksi pobratymcy z rodziny krukowatych – wrony i kruki. Jedne i drugie podbierają srokom jaja i pisklęta. O te same czyny oskarżane są zresztą sroki. Ileż to razy słyszałem,

Z paskudnych sprawek srokom przypisuje się złośliwy charakter i chyba coś jest na rzeczy.

że sroki wyżarty wszystkie wróble i sikorki, a przynajmniej ich potomstwo, niekiedy w skorupce. Tak na marginesie, liczebność wróbli jakiś czas temu odbiła i wróciła do stanu wyjściowego (z wyjątkiem Polski południowo-wschodniej), ale mit pozostał. Liczebność bogatek, w tym miejskich, powoli rośnie. Oba gatunki zaliczają się do najliczniejszych ptaków w Polsce.

W wypowiedziach o wstrętnych srokach pożerających jaja i pisklęta słyszę nutkę zgorszenia, jakby mowa była o kanibalach. Zwykle wówczas pytam, czy wypowiadający się jest wegetarianinem. Z reguły nie jest. Na kolejne pytanie, o jedzenie cielęciny, słyszę na ogół odpowiedź twierdzącą (choć zdarzają się przeczące, poparte argumentem ekonomicznym – niską emeryturą). Pytam więc, dlaczego mój rozmówca ma pretensje do sroki, wszak sam zjada młodocianą postać innego ssaka. Wówczas pojawia się nieco zrozumienia dla sroczych postępów, a kiedy jeszcze dodaję, że taką zdobyczą nieraz karmią młode, najczęściej uzyskuję dla tych ptaków rozgrzeszenie.

Aby jeszcze nieco złagodzić odium, dodam, że badania przeprowadzone na początku obecnego stulecia w Szczecinie wykazały, że dla lęgów drobniejszych ptaków wróblowatych znacznie większym zagrożeniem niż ogół krukowatych są powszechnie lubiane wiewiórki. W tym miejscu warto nadmienić, że główną przyczyną spadku liczby drobnych

ptaków wróblowatych jesteśmy my – to za naszą sprawą znikają owady i chwasty z łąk, pól, miedzi i trawników, tym samym ubywa pokarmu. Dodajmy do tego niszczenie atrakcyjnych siedlisk, plus kilka innych czynników, i mamy winowajcę.

Prześladowanie srok ma konsekwencje. O ile mieszcuchy deklarują niechęć, ale przeważnie nie podejmują żadnych akcji, o tyle na wsiach zdarzają się szykany. Na studiach miałem kolegę z Kielc. Twierdził, że w jego regionie, jeśli chłop zobaczy, że sroka buduje gniazdo, to je zniszczy, a nawet zetnie drzewo, by nie dopuścić do lęgów, bo srocze gniazdo w pobliżu domu jest zapowiedzią śmierci. Twierdził też, że sroki na podpuchę budują lipne gniazda, by odwrócić uwagę od właściwego. Sam podobnego wyrafinowania u srok nie obserwowałem, milczy w tej kwestii również literatura, ale wspomniany znajomek już wówczas był uznanym ornitologiem, pewnie zatem wie, co mówi.

W mieście sroki pozwalają podejść do siebie na metr czy półtora. Na wsi nie ma na to szans, uciekają już z odległości ok. 20 m. Chyba że mamy przy sobie coś długiego, co może się kojarzyć z bronią – wówczas zmykają znacznie wcześniej. Na przykład statyw lunety zwykle źle się kojarzy ptakom, nie tylko srokom. Ów strach jest przekazywany kulturowo (krukowate przekazują potomstwu wiele zachowań i umiejętności nie tylko za pomocą genów)

Sroki z miast i wsi różnią się pod względem preferencji lokalowych.

i niestety ma realne podłoże. Niejednemu myśliwemu zdarza się wypalić w stronę srok, niekiedy celnie. Częste na wsiach jest też strzelanie z wiatrówek do ptaków uważanych za szkodniki, chociaż główną ofiarą powszechnego dostępu do broni pneumatycznej są szpaki.

Sroki z miast i wsi różnią się pod względem preferencji lokalowych. Przed laty miałem okazję pomagać w badaniach sroczych zwyczajów w Łodzi. Przy tej okazji napatrzyłem się na srocze gniazda. Niektóre powstały na bardzo małych, wręcz efemerycznych drzewkach, na

wysokości ledwie 3 m. Co ciekawe, gniazda często były nadbudowywane, na daszku pierwszego sroki konstruowały następne, niekiedy można było naliczyć trzy piętra. Wspomniałem o daszku, ponieważ nad charakterystycznym koszykiem, w kształcie odwróconego stożka, sroki często dobudowują daszek chroniący przed słońcem. Wewnątrz wylepiają gniazdo polepą, którą wykładają delikatnym sianem, liśćmi, sierścią i piórami. Na wsi rzadko widuję gniazda bez daszku. Jego brak tradycyjnie przypisuje się małemu doświadczeniu młodocianych ptaków, ale chyba nikt tego nie sprawdził. Gniazda zwykle też są wyżej, a jeśli ptaki posadowią je nisko, to w gęszczu krzewów, nie rzadko ciernistych, np. tarniny.

Sroki są bardzo czuły i oddanymi rodzicami, w obronie młodych potrafią atakować znacznie potężniejszego od siebie przeciwnika, np. wronę, kunę czy kota. Nie widziałem atakowania jastrzębi – ani nie przypominam sobie, bym o tym czytał – ale tu skutek byłby zapewne opłakany i dla rodzica, i dla młodych. Kiedyś natomiast widziałem walkę krogulca ze sroką. Krogulec jest znacznie mniejszym krewniakiem jastrzębia, zwłaszcza samiec, a właśnie on był jednym z zapasników. Pan krogulec zwykle poluje na ofiary wielkości wróbla, tym razem połakał się na większy kasek i udało mu się, choć po powietrznej walce był wycieńczony – sapał nad ofiarą mimo zimy (ptaki w ten sposób się chłodzą)

i nie miał siły odlecieć ze zdobyczą. W niektórych książkach można przeczytać, że sroki atakują ludzi, którzy dobierają się im do gniazda. Kiedyś dość czę-

sto wybierano ptakom jaja i pisklęta, na co pomstował jeden z antenatów polskiej ornitologii i prekursor ochrony przyrody Władysław Taczanowski. Na podstawie własnych doświadczeń nie jestem w stanie tego potwierdzić, jeden z kolegów badał sroki, obrączkując pisklęta w gnieździe i pobierając materiał genetyczny (krew). Rodzice trzymali się tuż obok, jednak nie zaatakowali ani razu. Ten sam kolega prowadził podobne badania jaskółek, które atakowały go niczym myśliwce szturmowe.

Z paskudnych sprawek srokom przypisuje się złośliwy charakter ▶

► i chyba coś jest na rzeczy. Oswojone sroki w domach prześladowają psy i koty. Dzięki, ale obyte z ich obecnością, również ciągną domowych pupili za sierść i ogony. Znanie są przypadki wabienia kotów na ruchliwe skrzyżowania. Rzecz jasna, skrzydlaci złośliwcy umykają tuż przed pojawieniem się pędzących samochodów, a potem patrzą, jak koty wiją się między pojazdami. Inną cechą przypisywaną srokom jest złodziejstwo. Generalnie krukowate mają skłonność do kolekcjonowania przedmiotów, które różnią się od otoczenia, zwykle błyszczących. Niemal zawsze gdy podczas opowieści przyrodniczych wspomnę o srokach, ktoś opowiada mi historię rodzinną, albo kogoś znajomego, o niesnaskach na skutek zaginięcia drogiego przedmiotu, odnalezionego po latach w sroczym gnieździe, przy okazji ścięcia drzewa. Ponoć rodzina się godzi, ale niesmak pozostaje. Historycznie utrwalony jest przekaz spod Paryża z XVIII w., gdzie za kradzież precjozów ścięto służącą. Po egzekucji natrafiono na

tup w sroczym gnieździe. Jako wyraz skruchy sędziowie ufundowali coroczną mszę za duszę niestusnie skazanej. Ponoć „srocza msza”, jak ją nazwano, nadal jest odprawiana, aczkolwiek służącej przydaje się jak przystawie kadzidło. Ponura historia zainspirowała Gioacchina Rossiniego do napisania opery „Sroka złodziejka”, jednak na teatralnych

Generalnie krukowate mają skłonność do kolekcjonowania przedmiotów, zwykle błyszczących.

deskach wszystko kończy się happy endem. Biorąc pod uwagę mnogość takich opowieści, traktuję je jako miejską legendę, tym bardziej że badania wykazały brak zainteresowania błyskotkami u srok, czym różnią się od reszty krukowatej rodziny.

Sroki charakterem są nieco podobne do ludzi, może dlatego tak ich nie lubimy? Chociaż nielubiane są w naszych stronach, kojarząc się

z cwaniactwem i wypadaniem spod ogona. Tubylcy ze wschodniego pogranicza amerykańsko-kanadyjskiego utożsamiają je z zapowiedzią zmian. W krajach skandynawskich sroki są lubiane i darzone szacunkiem, ponieważ ostrzegają tamtejszych mieszkańców przed niebezpieczeństwem. U nas sroczy alarm jest wezwaniem do czujności dla wszystkich zwierząt,

które baczą na sroczy skrzek.

W Chinach zaś sroki są symbolem trwałości i wierności małżeńskiej. I chyba mieszkańcy Państwa Środka są najbliżej prawidłowej interpretacji sroczej symboliki – sroki jak mało

które ptaki są wierne i przywiązane do partnerów aż po grób. Gdy pojawi się jeden z ptaków, niemal na pewno po chwili dostrzeżemy drugiego. Badania wykazały, że po śmierci małżonka drugi ptak przeżywa żałobę, bardzo podobną do ludzkiej. Może warto więc na srokę spojrzeć w sposób inny niż czarno-biały?

Konrad Malec



Twój 1% działa!

**Przekaz jeden procent podatku
Polskiej Akcji Humanitarnej
KRS 0000 136 833**

Opah
Polska Akcja Humanitarna

Co dla partii, a co dla kraju

Wnowej ustawie o służbie zagranicznej jest pewna bzdura, która lepiej pokazuje rozumowanie jej autorów niż wiele, wiele słów. Otóż ustawa oddziela ambasadora od personelu placówki. On ma realizować politykę, być częścią korpusu ambasadorów, natomiast reszta urzędników ma być apolityczna.

Cóż... Tak się składa, że kierownictwo MSZ, minister i wiceministrowie nie przepracowali nawet pół dnia na zagranicznej placówce ani w ogóle wcześniej w dyplomacji. Są więc w sprawach resortowej praktyki dyletantami i to widać w proponowanych zapisach. Bo jak rozdzielić politycznego ambasadora od niepolitycznego podwładnego?

Po pierwsze, są placówki, gdzie tygodniami, a nawet miesiącami, nie ma ambasadora, bo dotychczasowy wyjechał, a nowego jeszcze nie powołano. Na przykład w Szwecji od 30 czerwca 2018 r. do 20 marca 2020 r. nie mieliśmy ambasadora (co samo w sobie było skandalem), placówką kierował najwyższy rangą urzędnik, *chargé d'affaires ad interim*. I co wtedy? Przechodzi on do korpusu „politycznych”? A potem, gdy ambasador przyjeżdża, z niego wychodzi? I już mówi inaczej? To przecież totalna bzdura.

Po drugie, w działaniach placówki jest tak, że całą masę uroczystości i wydarzeń obsługują dyplomaci niższej rangi. I co wówczas? Gdy się odzywają – to są polityczni czy nie są? W myśl ustawy w ogóle nie powinni się odzywać.

Po trzecie wreszcie, i to jest chyba najważniejsze, wynika z tego wszystkiego, że twórcy ustawy zakładają dualizm zachowań za granicą. Polityczny i niepolityczny. A co to w rzeczywistości znaczy? Że ambasador jest przedstawicielem partii rządzącej, działa w jej imieniu.

A urzędnicy ambasady to już jest korpus służby zagranicznej, więc oni działają w innej logice, państwowej. Partyjne od państwowego zostało w ten sposób oddzielone... Twórcy ustawy najwyraźniej uznali, że polityka partii rządzącej jest tak egzotyczna, tak różni się od interesów państwa, że szeregowi dyplomaci nie są (nie będą) w stanie jej realizować. Niech więc to czyni tylko ambasador.

Śmieszne? Historia polskiej dyplomacji zna śmieszniejsze rzeczy. Nie tak dawno wspomniano w PRZEGŁĄDZIE ambasadę w Helsinkach. Ostateczny kształt przyjęła ona w latach 60., kiedy powstały jej budynek główny i blok, w którym znajdują się mieszkania dyplomatów. Jest również część wspólna, a tam – wiadomo, Finlandia – sauna. Obok miał być też basen. Ale, jak głosi legenda, dowiedział się o nim Gomułka. I wpadł w szał, że basen sobie budują. Zrezygnowano więc z tego luksusu, zasypano dół i jest świetlica.

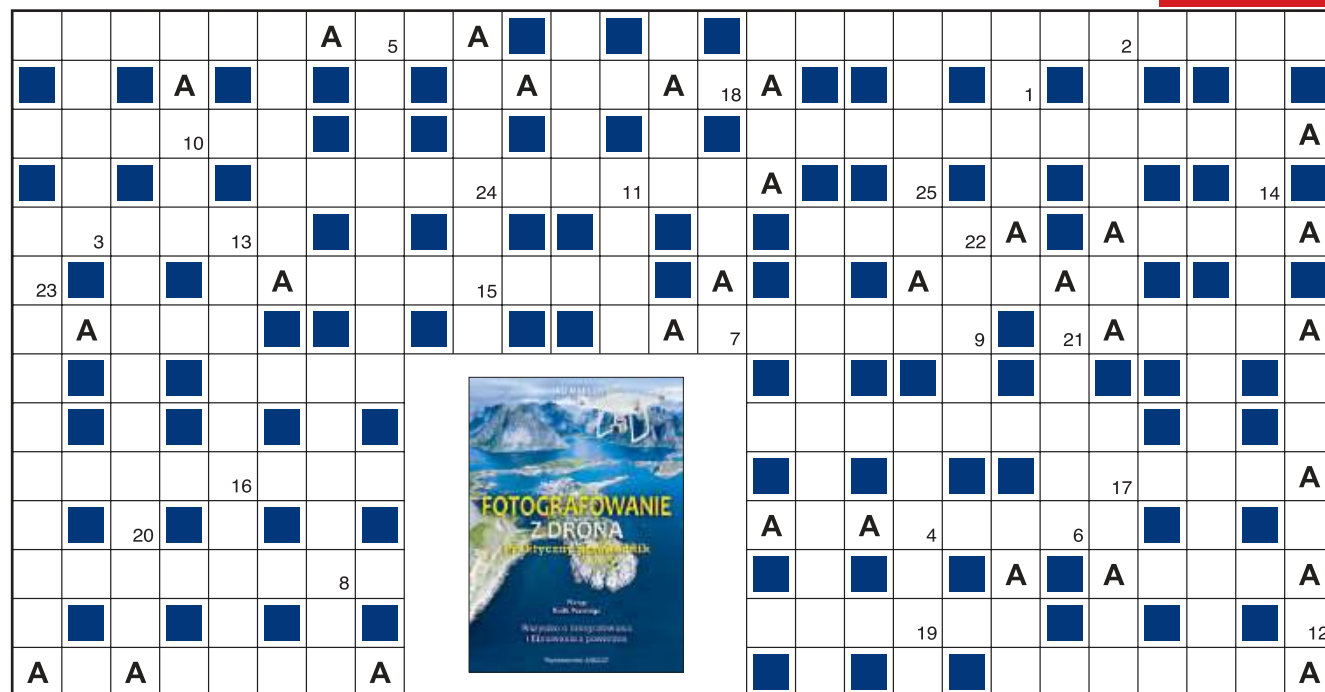
Ale oszczędności często stają się bardzo kosztowne. Jest np. przepis, że dyplomaci mogą mieszkać „na mieście”, w mieszkaniach będących własnością ambasady albo w wynajmowanych. Państwo płaci za te lokale. Ale nie za miejsca postojowe. Za parking dyplomata musi płacić z własnej kieszeni. Ta pozorna oszczędność prowadzi do dziwnych sytuacji – z reguły w większości miast do wynajmowanego dyplomatom mieszkania przypisane jest miejsce w garażu podziemnym, a czasami nawet dwa. W takich sytuacjach centrala nakazuje zrezygnować z parkingu, nawet jeżeli nie zmienia to ceny wynajmu lokalu.

Tak państwo polskie dba, by dyplomaci nie poczuli się zbyt luksusowo.

Attaché



Zabytkowy, 139-letni wiktoriański dom, znany jako Englander House, przenoszony w nowe miejsce. San Francisco, 21 lutego.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- Maciej... Dawidowski, zdyktował tablicę z pomnika Kopernika
- miłośniczka lub nieprofesjonalistka
- kawałek Grecji w Szwecji
- imię lunatyczki z opery Belliniego
- giełdowy – komentuje hossy i bessy
- odwaga połączona z zapalem

- Ekberg, zagrała Sylwię w „Słodkim życiu”
- sznur do chwytania zwierząt lub jeńca
- ważna cecha wartownika
- schlebia królowi
- na czele szajki
- obłuda, dwulicowość
- japońska sztuka układania kwiatów
- Szyszkin albo Turgieniew

- architektoniczny, leśny lub niższości
- w przenośni rząd rosyjski
- nazbyt pozytywna opinia o kimś
- nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu
- ze Spencerem w nazwie sieci sklepów
- usunięcie usterek, zmiana na lepsze
- pomnik w kształcie ostrosłupa
- chroni na linii frontu
- niemiecki samochód produkowany w Gliwicach
- kandyzowane do ciast

- lekkie, płytke buty
- ...Dance, zespół z lat 80.
- niewielki dziedziniec wewnętrzny
- zupełna klęska zadana komuś
- kojarzenie kontrahentów w transakcjach
- źródło i rozwój zjawiska lub zespołu zjawisk psychologicznych
- podstawka do nut albo sterowniczy
- koncert jednego muzyka, piosenkarza
- jej zadaniem drobna korekta fotografii
- kuchenne w rolce
- był nim Robinson Crusoe
- nauka o trzęsieniach ziemi
- i dystans, i porcja wódki

- np. Igor Tuleya
- ciasto w postaci walca z dziurą, pokryte zgrubieniami
- posługiwanie się sylabowymi nazwami dźwięków w nauce śpiewu
- sprzyjająca okoliczność, okazja
- dwudzielny w muzyce
- Długi w Gdańsku
- spokrewniona z lososiem atlantyckim
- jej szum rozgłaszał sekret króla Midasa
- przyjacielski... dłoni
- do zalania torebki z herbatą
- odwet, porachunki
- parali się nim Cellini i Fabergé
- ...Raka na półkuli północnej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1002”. Do rozlosowania książki „Fotografowanie z drona” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 marca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-999” z nr. 7: *Patrzmy w przyszłość.*

Nagrody otrzymują: Aleksandra Kurasz z Warszawy, Danuta Spychała z Elku, Grzegorz Szustak z Wrocławia.

PENETRACJE

odra

PROF. ADAM CHMIELEWSKI,
FILOZOF, UWR

Szereg faktów wskazuje na systematyczną antyeuropejskość władz Polski. Jako gorliwy członek NATO Polska zbroi się, lecz sprzęt wojskowy kupuje głównie w USA, nie zaś u producentów europejskich. Polska chce zbudować elektrownię atomową, lecz nie współpracuje z europejską agencją EUROATOM, ale podpisuje porozumienie o kosztownej współpracy jądrowej z USA. Amerykańskie korporacje internetowe zostały zwolnione z podatku dochodowego. Wśród 85 maszyn Polskich Linii Lotniczych LOT nie ma ani jednego samolotu pasażerskiego marki Airbus, produkowanego przez europejskie konsorcjum.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

MARTA LEMPART,
LIDERKA OGÓLNOPOLSKIEGO STRAJKU KOBIET

Ilu tu jest szpiegów?

– U nas? Myślę, że z 20% składu. Trudno zgadnąć kto. Byli też tacy wystawieni po to, byśmy ich rozpoznali, czuli się takie bardzo sprytne. Taka zabawa. Na temat innych mamy różne domysły, ale szkoda na to czasu. I tak dowiemy się dopiero za wiele lat, kto był kim. Mamy też jawną, bezprawną inwigilację – samochód z pilnowaczami. Zdaję sobie sprawę, że to są ci, których mamy widzieć, mamy się bać, czuć się obserwowane. Prawdzi-

we zbieranie informacji, zdjęć, kwitów dzieje się na innym poziomie.

KRAKÓW

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Jest wspólna nić tych książek – chęć ukrycia rodzinnego pochodzenia nie tyle PRZED DZIEĆMI, ile DLA NICH. Dla ich bezpieczeństwa. I dzieciaki te ni stąd, ni zowąd faktycznie dowiadywały się o swoich protoplastach dopiero w wieku jako tako inteligentnym. Chciałbym powiedzieć tym, którzy są teatralnie znudzeni: czy widziacie, że żyliśmy w kraju, gdzie głośniejsze westchnięcie o dziadku Szłomie czy babci Ester budziło strach, że TO znowu wróci? Przepraszam – „żyliśmy”? Użyłem czasu przeszłego? *Mea culpa*. Przecież ten faszystowski-nacjonalistyczny pysk od kilku lat znowu się unosi.

charaktery

PROF. TADEUSZ
ZGÓŁKA,
JĘZYKOZNAWCA, UAM

Prezydium Sejmu uznało, że gest środkowego palca pokazanego postom obraźliwy nie jest, podobnie jak słowa „zdradzieckie mordy”. Ale nie jest to decyzja przekonująca kogośkolwiek. Bo o tym, co kogoś obraża, decyduje obrażany, który wszakże może się unieść honorem i nie musi się poczuć obrażony. I wtedy obrażający poniesie fiasko.

Aby język giętki...

TOMASZ SEKIELSKI
O SYTUACJI DZIENNIKARZY

Poprawi się, jeśli internauci zrozumieją, że rzetelna informacja musi kosztować, i będą za nią płacić.

SZYMON HOŁOWNIA O PO

Ma potężny elektorat negatywny. I tysiące ludzi, którzy zagłosują na kogośkolwiek, byle nie z PO.

JAROSŁAW GOWIN O ADAMIE BIELANIE

Jest politykiem sprawnym w dezintegracji środowisk, do których wchodzi.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA
O TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM

Żle działający i obsadzany w sposób wadliwy. Na naszych oczach nastąpiła korupcja instytucji.

DANIEL PASSENT
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Może się domagać głowy Gowina, ale nie głowy prezydenta Bidena.

PROF. PAWEŁ ŚPIEWAK
O BORYSIE BUDCE

Jest chyba najstarszym liderem PO z możliwych. Nie ma ani wyrazistości, ani poglądów.

OTYLIA JĘDRZEJCZAK O WODZIE

Powinniśmy pić minimum półtora litra wody, najlepiej dwa litry dziennie. Dobrze nawodnienie to podstawa prawidłowego działania mózgu.

ARTUR ANDRUS O NAUCE PŁYWANIA

Na pierwszych zajęciach pani instruktorka stwierdziła, że mam „złe nogi do żabki”.

KINGA PREIS O PRACY NAD ROLĄ

Za każdym razem staram się od nowa i za każdym razem uważam, że zrobiłam za mało, i za każdym razem się boję.

MARCIN ŚWIETLICKI
O ZMIENNOŚCI OCEN

Za czasów poprzednich rządów byłem uważany za prawaka, a teraz za lewaką.

EMILIA KRAKOWSKA O NAGOŚCI

Nie miałam żadnych pseudo-wstydów. Moja nagość nie była moim problemem ani epatowaniem.



Groźne piękno.
Niebieska żmija
z Indonezji.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Złapano na zimnym uczynku

Mieszkaniec powiatu wąbrzeskiego, który od pięciu lat ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości, wpadł przez modę na morsowanie. Miłośnik chłodu był poszukiwany listem gończym, ponieważ dał dyla podczas przepustki z zakładu karnego, a niedawno lokalni policjanci ustalili, że wrócił do Polski. „Kryminalni intensywnie i skrupulatnie analizowali wszelkie możliwości, gdzie mógł pojawić się 45-letni mieszkaniec gm. Dębowa Łąka. Ku ich zdziwieniu wizerunek mężczyzny pojawił się w jednej z lokalnych gazet, gdy ten morsował w zamrożonym jeziorze”, poinformowali mundurowi. Poszukiwany trafił już za kraty, gdzie w cieple spędzi najbliższe dwa lata.

Okazja czyni seniorkę

Zatrzymano także dwie kobiety z Florydy, które udawały znacznie starsze, by poza kolejnością zaszczepić się przeciwko koronawirusowi. 34- oraz 44-latkę ucharakteryzowały się na staruszki i stawily w stosownej placówce – co ciekawe, uzbrojone w dokumenty potwierdzające przyjęcie pierwszej szczepionki. Gdy odkryto, że w rzeczywistości są dużo młodsze, oddano je w ręce policji. A podobno kobietom nie wypomina się wieku.

MEMY BEZ ŚCIEMY



TO JAK TERAZ GRAMY?



TERAZ GRAMY NA SIEBIE



Metoda kija i... piłeczki

Nieszablonoowo radzą sobie z pandemią także władze Tajlandii, które walczą z kryzysem branży turystycznej, kusząc potencjalnych gości wizją kwarantanny w klubach golfowych. Ma to przyciągnąć osoby, które odstręcza obowiązek spędzenia 14 dni w izolacji. Urzędnicy zaczęli od zaproszenia do programu golfistów z Korei Południowej. „Wszyscy jego uczestnicy zostali przebadani po przybyciu – powiedziała Thapanee Kiatphaibool z Urzędu Turystyki. – Zostaną ponownie przetestowani w 9. i 13. dniu pobytu”.

Samotnym samurajom z odsieczą

Z kolei Japończycy konstruktywnie zareagowali na drastyczny wzrost liczby samobójstw – powołali ministra ds. samotności. Koordynatorem rządowych wysiłków na rzecz zwalczania problemu został Tetsushi Sakamoto. Ma on nadzieję podjąć działania zapobiegające samotności i izolacji społecznej oraz chronące więzi międzyludzkie, jak zapowiedział podczas konferencji prasowej. Media przypominają, że Japonia ma najwyższe wskaźniki samobójstw wśród najbardziej rozwiniętych państw świata.

Bratankowie na łowach

Budapeszt zaś w odpowiedzi na swoje zmartwienia z dzikami zatrudnił trzech łuczników. Wybór takiego modelu walki z leśną nierogacizną, która plądruje ogrody i działki, wynika z tego, że na terenach zamieszkanych myśliwi nie mają prawa używać broni palnej. Łucznicy wypatrują zwierząt z czatowni na wzgórzach. Eksperci twierdzą, że wystarczy zgładzić kilka osobników, by reszta watahy wycofała się w góry. Niezbyt nam się to wszystko podoba. Nie można najpierw spróbować się dogadać, jak Węgier z Węgrem?



Taniec w ochronie życia i natury. Lagos – baletnica z akademii Leap of Dance, wspierającej dzieci z biednej dzielnicy, i zatoka Batarejnaja, gdzie tancerka Teatru Maryjskiego broni tamtejszej cennej przyrodniczo plaży.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordynski, Wojciech Osinski (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tuńłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Zdrowia, szczęścia i rozsądku!

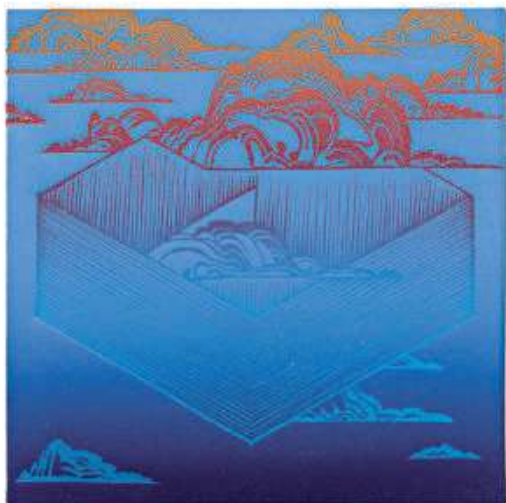
Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej w życzeniach dla młodzieży kończącej 14 lat przypomni jej zapisy Kodeksu karnego. „Od tego dnia sam będziesz odpowiadał za zabójstwa i wywołanie uszczerbku na zdrowiu, a także za inne przestępstwa, takie jak kradzież, rozbój, porwanie i wymuszenie. Zostaniesz surowo ukarany za terroryzm i branie zakładników. Jako młody dorosły powinieneś wiedzieć, że poniesiesz odpowiedzialność za zgwałcenie i napaść na tle seksualnym”, można usłyszeć w okolicznościowym wideo. Instytucja zastrzega, że nikomu nie grozi, a jedynie uświadamia młodym obywatelom, że „trzeba pomyśleć, zanim kopniesz kolegę w głowę lub żartobliwie zepchniesz go ze schodów”.

Gdy stres nie znika, jest Metallica

Turecka firma Vera Clinic zbadała relacje pomiędzy muzyką, stresem i wypadaniem włosów. W tym celu zebrała grupę ponad 1,4 tys. osób, u których wywoływała napięcie emocjonalne, a następnie puszczała rozmaite utwory. Okazało się, że skołatanе nerwy najlepiej koją pop z lat 80. oraz klasyczny heavy metal, natomiast kiepskim wyborem jest techno. To by się zgadzało, bo po konferencjach premiera Morawieckiego ulgę najszybciej nam przynosi pierwsza płyta Madonny. Inaczej rwałibyśmy sobie włosy z głowy garściami.



FOT. ANONIMOWY INTERNauta, SEKCJA GIMNASTYCZNA, AMEM,
ALEXANDER SOKOLOV/TASS/FORUM, BENSON IBEABUCHI/AFP/EAST NEWS



Jakub Jaszewski, Boxcloud, 2019



Ioannis Anastasiou, Déjà vu, 2019, akwaforta, akwatinta, serigrafia

Międzynarodowa wystawa i konkurs odbywają się od 1979 r. Na triennale reprezentowane są wszystkie techniki graficzne, te tradycyjne oraz będące efektem poszukiwań i eksperymentów. Znowu prym wiodą wklęsłe techniki metalowe: akwaforta i akwatinta, ceniona przez kolekcjonerów mezzotinta i miedzioryt. Dużo także linorytów, mniej prac drzeworytniczych i litografii. Mała forma graficzna pozostaje oryginalną formą dialogu, szczególnie dzisiaj, gdy możliwości bezpośredniego

kontakty z twórcą i z odbiorcami sztuki są ograniczone.

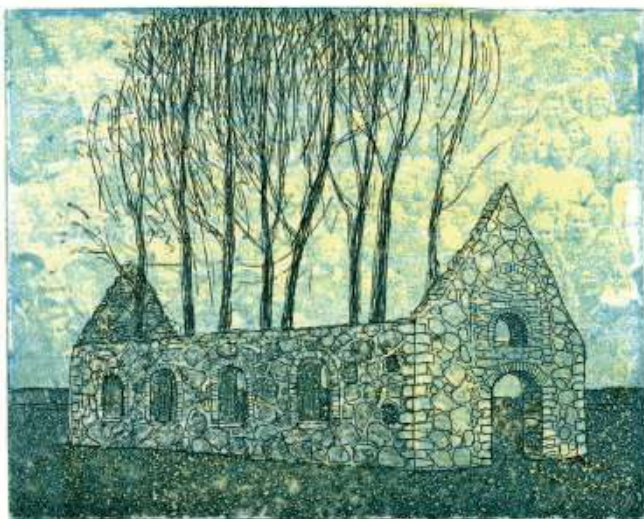
Podczas tegorocznej edycji w Galerii Re:Medium wystawiane są prace Jiříego Brázdy, wyróżnionego w 1985 r.

Galeria Willa
Łódź, ul. Wólczańska 31
do 7 marca

Galeria Re:Medium
Łódź, ul. Piotrkowska 113
do 14 marca



Jiří Brázda, Girl's Nude, 2013, miedzioryt



Kalli Kalde, Abandoned Villages I, 2018, druk wklęsły



Masaaki Sugita, Cuckoo Clock S. No 1081025, 2017, miedzioryt



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

MAJ 05 1991

**Dzieci wykorzystywane
seksualnie są bezsilne,
pomagamy im od 30 lat.**

**Przekaż 1%
i daj dzieciom siłę!**

KRS 0000 20 44 26

REC ●

FDDS.pl



MAZOWIECKI
TEATR MUZYCZNY

IM. JANA KIEPURY

ORKIESTRA SINFONIA VIVA POD DYREKCJĄ KRZYSZTOFA HERDZINA

PIOTR
LEMPA
BAS

IGOR
HERBUT
VOCAL

KRYSTIAN
KRZESZOWIAK
TENOR

ROBERT
JANOWSKI
GOSPODARZ WIECZORU



KRÓLEWSKI
KONCERT
W DNIU KOBIET



8 marca 2021 r., godz. 19:00

BEZPŁATNA TRANSMISJA ONLINE PROSTO Z ZAMKU KRÓLEWSKIEGO W WARSZAWIE

SZCZEGÓŁY NA: WWW.MTEATR.PL I [FACEBOOK.COM/MTeatr](https://www.facebook.com/MTeatr)

ORGANIZATOR



SPATROKAT POLSKOWY



INICJATOR



SUKCES JEST KOBIETĄ!
Pielkna i inne historie

INICJATOR MEDIALNY



WSPÓRZACZKA REDAKCYJNA

